

ZAKŁAD

ANDRZEJ BORUSZEWSKI



Andrzej Boruszewski

ZAKŁAD

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'MB' in a bold, cursive font.

- A może tamten? Wydaje mi się, że by się nadał.

Mężczyzna, który wypowiedział te słowa już dawno przekroczył pięćdziesiątkę, ale trzymał się dzielnie, w czym podobny był trochę do starego samochodu, mającego wprawdzie czasami kłopoty z ruszeniem z miejsca, ale takiego, co to jak już ruszy, to do mety dojedzie.

Jeśli trzymać się tego porównania, to należy uczciwie powiedzieć, że połysk karoserii nasz samochód zawdzięczał nie tyle jakości lakieru, co ilości i jakości kosmetyków użytych do podkreślenia koloru i połysku, tudzież zatuszowania rys, a w jego sylwetce było coś, co sugerowało wojskowe pochodzenie. Krótko mówiąc, mężczyzna przypominał nie pierwszej młodości, ale jeszcze na chodzie samochód terenowy, z napędem na cztery koła oczywiście, podrasowany w pierwszorzędnym warsztacie tuningowym.

Jego towarzyszką była sportowa limuzyna. Niestety, tylko na pierwszy rzut oka firmowa. Każdy fachowiec po dokładniejszych oględzinach nie miałby wątpliwości, że to składak. Za to, z jakich części! W oczy przede wszystkim rzucały się zderzaki, z pewnością sprężyste i gotowe przyjąć na siebie niejedną czołówkę, a także kufer, który chociaż niewątpliwie pojemny, to jednak zgrabny, a chociaż noszony wyzywająco, to przecież z gracją i z wdziękiem. Z sylwetki wnioskować można było znakomite przyspieszenie i z pewnością dużą prędkość maksymalną. Jaskrawy, czerwony lakier przyciągał wzrok każdego miłośnika sportów ekstremalnych, a chociaż na dnie lamp czaiła się pustka, to jednak świeciły one blaskiem mocnym, niejednego wprost oślepiającym. I tylko hamulce pozostawały wiele do życzenia, co w połączeniu z nie najlepszym prowadzeniem na zakrętach, jazdę tym wozem czyniło na tyle podniecającą, by niejeden śmiałek spoglądał ku niemu okiem tęsknym, a nawet rozmarzonym i to pomimo jego dość już zaawansowanego wieku.

- A może tamten? Wydaje mi się, że by się nadał.

Kobieta podążyła za wzrokiem męża i zapytała: - Mówisz o tym brunecie w czerwonej koszulce?

Mężczyzna potaknął głową i przytknął do ust kufel z piwem, co uczynił z ledwie ukrywaną odrazą. Nie lubił piwa i nie lubił smrodu frytek. Nie lubił swojego dawnego życia.

Kobieta kontynuowała:

- Niezły. Myślisz, że...

- W końcu to ty będziesz z nim sypiała, nie ja.

- Mam nadzieję.

- To nie był udany żart.

- Masz rację, przepraszam - przyznała kobieta, ale już nie patrzyła na męża.

Obserwowała wskazanego przez niego młodego mężczyznę i wcale się z tym nie kryła.

Jeśli trzymać się porównań motoryzacyjnych, mężczyzna ów był znakomitym przykładem samochodu o ciekawej, acz niezbyt odkrywczej sylwetce, wytrzymałym, z pewnością szybkim, lecz - prawdopodobnie - także o dużym zapotrzebowaniu na paliwo. Jego największą zaletą był niewątpliwie niewielki przebieg i młody rocznik.

- I jak?

- Dla mnie bomba.

- Pewna jesteś?

- Wiem, co mówię. Do zobaczenia wieczorem.

Odprowadzana niejednym wyglodniałym spojrzeniem mężczyzn kobieta zniknęła za drzwiami baru. Jej mąż wstał od stolika, przy którym siedzieli razem i podszedł do mężczyzny wskazanego przez jego żonę.

- Mogę postawić panu piwo? - zapytał.

Młodzieniec spojrział na niego nieprzychylnym wzrokiem. Wtedy on powiedział:

- Przepraszam, nie przedstawiłem się, Ryszard.

Jego ręka na chwilę zawisła w powietrzu i już, już miała opaść, gdy młody człowiek uścisnął ją i powiedział:

- Paweł.

- Ładne imię. To jak, można postawić ci piwo?

- Obawiam się, że pomylił pan adres.

- Obawiam się, że to ty mnie źle oceniłeś.

- Mam nadzieję.

- Mówmy sobie po imieniu.

- Nie będzie mi łatwo.

- Może jednak spróbujesz? - zaproponował Ryszard, którego wprawdzie ukłuł przytyk Pawła do jego wieku, ale chwilowo nie zamierzał na to reagować. - To może być oplącalne.

- Co ma pan na myśli?

- Zauważyłeś tę kobietę, z którą byłem?

- Trudno było jej nie zauważyć. W szkole pewnie przezywali ją „żyleta”?

- To moja żona - prawie szczerze oburzył się Ryszard.

- Gratuluję.

Mężczyźni chwilę milczeli. Paweł nie wiedział, o co chodzi Ryszardowi, a ten nie wiedział, jak o tym powiedzieć. W końcu wrócił do tematu piwa, aby nieco okrężną drogą dojść do celu.

- Lubisz jasne, czy ciemne?

- Kobiety czy piwo? - pytaniem odpowiedział chłopak, a Ryszard zaśmiał się i rzekł: - Najpierw porozmawiajmy o piwie.

- Jasne i zimne.

- Ona nie jest zimna.

Paweł nawet nie spojrzął na Ryszarda. Zaciągnął się papierosem, a potem zapytał:

- I co z tym piwem?

Ryszardowi nie podobał się przebieg rozmowy, ale wstał i poszedł po piwo.

Bar nie należał do najlepszych. Bezbarwny lakier na drewnianych stołach i takich samych krzesłach zaczął schodzić ani nie w tym, ani nie w poprzednim roku, ale znacznie dawniej. Serwowano tutaj głównie tanie piwo, frytki, kurczaka z różną i tym podobne tanie i nieskomplikowane dania. Był jedną z tych knajp, w których bywają ludzie niezamożni, głównie mężczyźni, a jeśli i kobiety, to nie należało się spodziewać, że będzie to jakaś dama. Chyba, że poszukująca przygód. Ryszardowi Nowakowi nie podobało się tutaj, ale to właśnie takie miejsce wybrał z Jolą, swoją żoną, celem znalezienia dla niej jakiegoś młodego, niezamożnego, niezbyt rozgarniętego, ale przystojnego - byczka. Paweł był właśnie takim młodym i przystojnym byczkiem, tyle, że zbyt dumnym, jak na gust Ryszarda. Niepotrzebny był mu strugający waźniaka cwaniak, lecz nieco zagubiony młodzian, o ciele wystarczająco ponętym, by zabawić jego żonę, i umyśle na tyle nieskomplikowanym, by można nim było manipulować. Mimo to postawił przed nim piwo, a także przed sobą, chociaż wcale nie miał na nie ochoty. Przyniósł dwa, aby chociaż w ten sposób zaznaczyć, że nie usługuje chłopakowi.

- No to o piwie już wiem - zaczął rozmowę - jasne i zimne.

A kobiety?

- Gorące, mogą być nawet rude.

Ryszard uśmiechnął się, bo jego żona była właśnie ruda. Paweł pociągnął łyk piwa i powiedział: - Mów pan, o co chodzi.

- Zdaje się, że to nie jest twój najlepszy dzień.

- To już nie pana problem.

- Zgadza się - powiedział Ryszard, a w jego serce wstąpiła nadzieja, że problemy Pawła są natury finansowej. - Ja mam inne kłopoty. Może moglibyśmy sobie pomóc?

- Niby w jaki sposób?

- To zależy od tego, jakie są twoje problemy.

- A pana problemy? Bo jakoś mi pan nie wygląda na człowieka mającego jakiegokolwiek.

Ryszard wiedział, że Pawłowi chodzi o jego ubranie i zapach, jaki wokół siebie roztaczał. Zauważył też, że tamten odnosi się do niego z nieukrywanym lekceważeniem, a nawet złością, jakby nie lubił bogatych ludzi. Pomyślał też, że sposób wysławiania się Pawła może świadczyć o jakimś wykształceniu i może nie wielkiej, ale jednak, inteligencji.

- Co robisz w takim miejscu? - zapytał młodzieńca.

Ten zaśmiał się, a potem powiedział: - Śmiesznie to zabrzmiało w pana ustach.

- Wracając do kłopotów...

- Nie są moją specjalnością. Lepiej niech pan powie, jakie są pana problemy. Oprócz tego, że się pan nudzi.

- To nie mi się nudzi, nudzi się mojej żonie.

Paweł kiwał ze zrozumieniem głową i uśmiechał się. Wyglądało na to, że już od pewnego czasu wiedział, w jakim kierunku podąży rozmowa.

- I ja mam ją trochę rozerwać? - zapytał.

- Nie za darmo - odparł Ryszard.

- Dlaczego?

- Dlaczego chcę za to płacić?

- Dlaczego pan to robi?

- Jak się zapewne domyślasz, jestem człowiekiem - jak to mówią - ustosunkowanym...

- Domyślam się, że pana żona nie jest ustosunkowana.

Chłopak był bezczelny i Ryszard zaczynał mieć tego wszystkiego dosyć. Chciał nawet wstać, wylać chłopakowi piwo na głowę, a potem, gdy tamten zacznie brykać, kazać swoim ochroniarzom, aby zrobili z nim porządek, ale wtedy chłopak powiedział:

- Przepraszam, rzeczywiście mam dzisiaj zły dzień. Niech pan kontynuuje.

- Chodzi po prostu o to, że jej potrzebny jest mężczyzna i doskonale wiem, że prędzej, czy później znajdzie sobie kogoś. Wolałbym, żeby to nie był nikt z naszego towarzystwa, i żebym wiedział, kto to jest. Nie chciałbym, żeby stała się jej jakaś krzywda. Ani żeby ode mnie odeszła. Ja nie mam zbyt dużo czasu, jestem zapracowany, ale nadal ją kocham i nie chcę, żeby odeszła. Chce przygód - proszę bardzo, ale bez angażowania się i bez robienia mi wstydu w towarzystwie.

- I wymyśliliście sobie...

- O nie - tym razem Ryszard przerwał Pawłowi. - To nie tak. Oona o niczym nie wie.

- Przecież była tu z panem i gapiała się na mnie.

- Dlatego do ciebie podszedłem. Zauważyłem po prostu, że się jej podobasz.

- A po co ona przyszła w takie miejsce?

Chłopak był bystry i nie podobało to się Ryszardowi. Z drugiej strony idioty też nie potrzebował. Dlatego powiedział: - Widzę, że nie od parady nosisz głowę na karku. Ona już taka jest. Boję się, że kiedyś wpadnie w jakieś tarapaty.

- Mam robić za wentyl bezpieczeństwa?

- Sam bym tego lepiej nie ujął.

- Za ile?

Pytanie było tak bezpośrednie, że Ryszarda zatkało.

- Myślę, że się dogadamy - odparł po chwili teatralnym szeptem.

- Ile pan proponuje?

- Coś się nagle zrobił taki rzeczowy?

- Chce się pan wycofać?

Paweł uśmiechał się. Ryszard nie wiedział, czy chłopak go podpuszcza, czy bada. Postanowił przestać być dobrym wujkiem i przejąć inicjatywę.

- Teraz ty mi powiedz o swoich kłopotach.

Paweł chwilę walczył z sobą, a w końcu zaczął mówić:

- Moje problemy są banalne, otwierają drugą stronę „ciemnej strony”.

- Drugą stronę ciemnej strony... A jaka jest twoja ciemna strona?

Chłopak uśmiechnął się rozbawiony, ale i trochę z pogardą. Ryszard to zauważył i niezadowolonym głosem zapytał:

- Mógłbyś jaśniej?

- Money.

Ryszard odetchnął z ulgą i powiedział:

- Jeśli mamy razem współpracować, muszę wiedzieć o tobie więcej.

- Wylali mnie z roboty, a moja dziewczyna studiuje. Wprawdzie mamy gdzie mieszkać - mieszkanko jej babci, której się zmarło, - ale coś jeszcze trzeba jeść i z czegoś płacić czynsz. Jeśli nie będę umiał jej tego zapewnić, jej starzy zrobią wszystko, żeby znalazła sobie lepszą partię.

- Nie będą musieli. Jeśli się dogadamy.

- Dlatego pytam: ile?

- Zatrudnię cię jako szofera mojej żony - zaproponował Ryszard.

Paweł pokręcił przecząco głową.

- Dlaczego?

- Jeśli moja dziewczyna zobaczy, kogo wożę... Jest strasznie zazdrosna.

- Rozumiem. - Ryszard zmarszczył czoło. - Więc co proponujesz? Jeśli tak po prostu

będę ci dawał pieniądze, to... Sam rozumiesz.

- Dlatego powinien mnie pan zatrudnić w swojej firmie, ale z dala od żony. Chyba ma pan jakąś firmę?

- Myślisz, że byś się nadał?

- Do czego?

- Mam między innymi firmę budowlaną i... Jakie ty masz w ogóle wykształcenie?

- Niedoszły inżynier.

- Kierunek?

- Jeszcze nie zdecydowałem.

- Może jako kierowca na budowie?

Paweł znowu zaprzeczył ruchem głowy, co pomału zaczęło denerwować Ryszarda.

Zapytał:

- Jeśli chcesz zrezygnować, powiedz od razu.

- Chcę, żeby to miało ręce i nogi - odpowiedział chłopak, wyglądało, że szczerze.

- Dobra, pomyślę nad tym - zgodził się z nim Ryszard. - Dostaniesz wynagrodzenie za pracę - jakakolwiek będzie - i gratis za przysługę, o której mówiliśmy wcześniej.

- Ile będzie tego gratisa?

- Na początek pięćset.

- Za numer?

Uśmiech Pawła nie podobał się Ryszardowi ani trochę, odpowiedział jednak, że pięćset za tydzień.

- Tysiąc - targował się chłopak.

Ryszard westchnął i zgodził się. Chłopak jednak targował się dalej:

- To zależy, jaką mi pan znajdzie pracę i za ile.

Ryszard stężał od środka, a na zewnątrz uśmiechnął się; potem nagle spowaźniał i powiedział:

- To zależy, czy będziesz grzeczny i jak się spiszesz. Jeszcze nie pokazałeś, co potrafisz, a skaczesz, jak mój były księgowy.

To najwyraźniej ostudziło chłopaka, bo zapytał:

- Kiedy i gdzie wyznacza szef następne spotkanie?

- U mnie w biurze, jutro, o jedenastej. To moja wizytówka, tam jest adres i telefon.

Po tych słowach Ryszard Nowak wstał i ruszył ku wyjściu. Przechodząc obok ostatniego stolika w ogóle nie zwrócił uwagi na siedzących przy nim dwóch mężczyzn, z których jeden z pewnością nie mył się od dawna, jadł rzadziej niż pił i miał w przyszłości

wpłynąć pośrednio na jego losy, chociaż żaden z nich nigdy się o tym nie dowiedział.

* * *

- Bardzo pana proszę, niech pan nie nalega.

Sekretarka Ryszarda Nowaka była osobą młodą i ładną i jedyne, czego jej brakowało, by być w typie prezesa, to 30 centymetrów wzrostu, o które bezskutecznie modliła się każdego wieczora. Jak tylko Paweł ją zobaczył, postanowił, że nie będzie jej niczego ułatwiał. Taki miał w tej chwili kaprys.

- Zapewniam panią, że pan Ryszard ucieszy się na mój widok - mówił, uśmiechając się bezczelnie.

- Jeśli nie jest pan umówiony...

- A jeśli jestem?

- Kogo mam zaanonsować?

- Pawła.

- Jakiego Pawła?

- Po prostu Pawła - odpowiedział, patrząc na nią z wysoka.

Kobieta spojrzała na niego zza okularów i powiedziała:

- Proszę posłuchać, bardzo lubię swoją pracę i nie zamierzam jej tracić tylko dlatego, że jakiemuś przystojniakowi zachciało się...

- Jakiś problem, pani Aniu? Ach, to ty, dlaczego jeszcze nie wszedłeś?

Obydwoje spojrzeli w stronę, z której dobiegał głos. W drzwiach stał Ryszard Nowak. Gdy z powrotem wszedł do gabinetu, Paweł spojrzał na panią Anię i powiedział:

- W życiu nie widziałem większych oczu. - Po czym wszedł za

Ryszardem Nowakiem i zamknął za sobą drzwi, wskutek czego nie widział już, jak pani Ania wielkie oczy zdziwienia zamieniła na wielką purpurę wściekłości pomieszanej z zawstyżeniem.

Dopiero teraz, po wejściu do gabinetu Ryszarda, zdał sobie sprawę z tego, z kim ma do czynienia. Takiego biura nie widział nigdy dotąd, jeśli nie liczyć filmów w telewizji. To, co widział wcześniej, czyli pokój sekretarki, było zaledwie wstępem, który wprowadził go w dobry nastrój, jak to zwykle bywa, gdy pracownik widzi, że jego firma ma czym płacić. W domu postanowił, że będzie twardy i tanio skóry nie sprzeda, ale poczuł, że teraz mięknie, w

dodatku - tak to czuł - niemal dosłownie. A tak to sobie dokładnie przemyślał...

Gdy Ryszard Nowak wyszedł z piwiarni, Paweł dłuższą chwilę wpatrywał się w zostawioną przez niego wizytówkę, ale nie myślał o tym, co było na niej napisane, ale dlaczego tak łatwo się zgodził.

Był w sytuacji podbramkowej, to fakt, ale żeby aż tak się sprzedawać?! No i Katarzyna - gdyby się dowiedziała... Ale dlaczego miałyby się dowiedzieć? Albo dlaczego miałyby to coś zmienić między nimi? Wystarczy, że utrzyma wszystko w tajemnicy, a nikt nawet nie zauważy, że coś jest nie tak. Grunt to umieć oddzielić sprawy prywatne od zawodowych. I umieć zachować godność, nie dać sobą pomiatać.

Siedział teraz w gabinecie swojego nowego pracodawcy i z przykrością stwierdzał, że rura nieco mu mięknie.

- Nie zamyślaj się tak - przerwał mu rozmyślenia Ryszard. - Przyszedłeś, czyli się zgadzasz?

Pytanie było proste, a mimo to Paweł nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się onieśmielony i zmieszany. Miał przed sobą prezesa wielkiej firmy, niewątpliwie bardzo bogatego i wpływowego gościa, który niewiele miał wspólnego z Ryszardem, jakiego poznał w piwiarni.

- Tak, zgadzam się - usłyszał swój głos.

- Warunki są takie - mówił prezes, przypalając sobie papierosa.

- Moja żona ma nie wiedzieć, że ja wiem. Rozumiesz?

Paweł potaknął głową i pomyślał: „Nawet nie zapytał, czy zapalę, a przecież widział mnie z papierosem.”

- Po drugie - ciągnął tamten - to ja będę kontaktował się z tobą, a nie ty ze mną. Po trzecie, nigdy nie zapomnisz, kto cię wynajął i kto ci płaci, rozumiesz?

Paweł znowu potaknął głową.

- I najważniejsze: zabawa może zostać przerwana w każdej chwili bez żadnego tłumaczenia z mojej strony.

- Jestem za - zgodził się Paweł. - Jestem za do tego stopnia, że aż powtórzę: zabawa może zostać przerwana w każdej chwili bez żadnego tłumaczenia z mojej strony.

Prezes Nowak spojrzał na niego z ledwie skrywaną pogardą i powiedział:

- Wracając do twojej pracy - będziesz kierowcą w moim biurze.

Nie znaczy to, że będziesz mnie woził. Będziesz siedział w samochodzie i będziesz czekał, aż ktoś zadzwoni. Mam nadzieję, że najczęściej będzie to moja żona. Oczywiście

zdarzy się, że będziesz musiał po kogoś wyjechać na lotnisko, albo kogoś lub coś gdzieś zawieźć, ale z pewnością nie będzie to zbyt uciążliwa, czy czasochłonna praca. Dostaniesz trzy tysiące na rękę, komórkę i zaliczkę na drobne wydatki. To chyba nie najgorsze warunki. Oczywiście plus wcześniej ustalona premia za twoje właściwe zajęcie. Cieszę się, że się dogadaliśmy. - Ryszard wstał, jakby miał zamiar się pożegnać.

- Mam jedno pytanie - powiedział wtedy Paweł, również wstając. - Skąd pan wie, że pana żona na mnie poleci?

- Znam jej gust. Zaufaj mi. Jeszcze jedno. Musisz zrobić badania lekarskie. Pani Ania da ci skierowanie. Co się dziwisz? To normalna procedura.

Dokładnie w tym momencie do gabinetu weszła kobieta.

W pierwszej chwili Paweł jej nie poznał, ale gdy zapytała czy można i spojrziała na niego, już wiedział, że to ta sama, z którą Ryszard

Nowak był w piwiarni. Nie wiedział, czy ma wyjść, czy zostać, więc stał jak jakiś niepotrzebny przedmiot.

Z pomocą przyszedł mu jego nowy szef. - Do widzenia panu -

powiedział. - Pracę zaczyna pan od jutra.

- Do widzenia.

- Przepraszam bardzo. - Żona Ryszarda zwróciła się do Pawła. - Czy my się już gdzieś nie widzieliśmy?

Paweł poczerwieniał jak dziecko i powiedział:

- Nie sędzę.

- A mi się zdaje, że jednak.

- Gdyby tak było, z pewnością bym panią zapamiętał.

- Jaki miły młody człowiek... Czy on u ciebie pracuje? - Kobieta zwróciła się do męża.

- Tak, jest nowym kierowcą.

- To się świetnie składa - zaszczębiotała. - Bo ja trochę wypłam i nie mogę prowadzić. Czy mógłby pan zacząć pracę od zaraz?

- Z miłą chęcią - odpowiedział Paweł, a kobieta zaczęła pomału wychodzić.

- Zrobimy tak - mówiła do męża. - Pan... Jak panu na imię?

- Paweł.

- Urocze... A więc pan Paweł odwiezie mnie moim samochodem, potem przyprowdzi ci mój wóz i wrócisz nim do domu. Zgoda?

Może mi być potrzebny jutro rano.

- Jak sobie życzysz, skarbie.

- Pa, kochanie - powiedziała w drzwiach. - Miłej pracy. - A potem uśmiechnęła się do Pawła, co ten natychmiast poczuł w portfelu.

* * *

- Ciężką ma pan nogę - zauważyła, gdy ruszył z parkingu z piskiem opon.

- Lubię szybką jazdę - odpowiedział.

- Dosłownie, czy w przenośni? - zapytała, a on pomyślał, że dodatkowe zajęcia znacznie szybko i będą one nieporównanie bardziej wyczerpujące, niż bycie kierowcą w jakiegokolwiek innej firmie.

- To zależy od okoliczności.

- Filozof z pana.

- Mechanik samochodowy.

- W dodatku dowcipny.

- Dziękuję. Dokąd jedziemy? Muszę wiedzieć, bo zaraz skrzyżowanie.

- Do domu. Mojego domu, oczywiście. A pan myślał, że...?

- Że do domu. Pani domu, oczywiście. Tylko, że ja nie wiem, gdzie to jest.

- Za miastem oczywiście. Teraz pojedziesz w lewo, a potem prosto, przez jakiś czas. Chyba wyjeżdżałeś już kiedyś z tego nudnego miasta? Skoro jeszcze nie umarłeś z nudów, to znaczy, że wyjeżdżałeś. O następnym zakręcie uprzedzę. A może wolisz nawigację?

- Raczej nie - odpowiedział. - Nie mam do tego urządzenia zaufania.

- A do mnie masz?

Zobaczyła jego lekko wystraszoną minę i się zaśmiała:

- Żartowałam.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Ona siedziała z tyłu i obserwowała go, on też od czasu do czasu zerkał na jej odbicie we wstecznym lusterku. Jeszcze nie wyjechali z Warszawy, a już zaczynało robić się gorąco pomimo znakomicie działającej klimatyzacji. Atmosferę dwuznaczności czuło się w każdym centymetrze sześciennym samochodu.

- To pani samochód? - zapytał, gdy cisza zaczęła mu zbyt ciężko, a było to zaraz za miastem.

- Tak, dostałam go od męża na - nie powiem, które - urodziny.

- Pani mąż musi być bogatym gościem, skoro kupuje pani na urodziny taki samochód.

- Nie na każde; zrobił to tylko raz, z okazji okrągłej liczby, niech się pan domyśli, jakiej, rok temu.

- Mimo wszystko. W końcu nie każda kobieta dostaje na urodziny najnowszy model mercedesa.

- Czy równie dobrze, co na samochodach zna się pan na kobietach? - zapytała.

- Nie wiem; niezbyt często sprawdzam się w tym temacie.

- W takim razie proszę zgadnąć, o jakiej liczbie mówiłam w związku z samochodem i odbić w lewo na najbliższym rozjeździe.

Paweł doskonale wiedział, że chodzi o czterdzieści, ale zapytał:

- Trzydzieści?

Kobieta zaśmiała się i powiedziała:

- Nieważne, że pan kłamie. Ważne, że jest pan miły. Mamy też odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie - otóż zna się pan na kobietach.

- Dziękuję.

- Proszę przestać zachowywać się jak lokaj! Przepraszam, pewnie pana uraziłam.

- Owszem.

- Taki pan wrażliwy?

- Nie, tylko trochę inaczej sobie panią wyobrażałem.

- Nie rozumiem. - W głosie kobiety była i ciekawość i oburzenie.

- Robi pani z siebie kobietę złą i zepsutą, a tymczasem - to widać w pani oczach - jest pani wrażliwa, tylko, że trochę znudzona.

- Nie zabrzmiało to jak komplement - zauważyła z kiepsko udawanym niezadowoleniem.

- Widocznie nie znam się na kobietach - odparł.

- I pan udaje innego niż jest.

Zdanie było wypowiedziane głosem tajemniczym i nie było już w nim oburzenia.

Paweł zapytał:

- Co ma pani na myśli?

- To, że jest pan - jak na tak młody wiek - wielkim znawcą kobiecych dusz. Czy nie zabrzmiało to zbyt staroświecko?

- Pewne rzeczy nigdy się nie zestarzeją.

- Co ma pan na myśli? - zapytała wesoło.

- Uczucia.

- A wie pan, że właśnie tego się spodziewałam? Takiej właśnie odpowiedzi?

- Nie myślałem o tym, gdy jej udzielałem.

- Pewnie, bo i dlaczego miałby mi się pan przypochlebiać? Zaraz skręcamy w lewo.

- Do lasu? - zdziwił się Paweł. - Myślałem, że w lesie mieszkają tylko wilki i więdźmy.

- Może jestem jedną z nich?

- Mam się bać?

- Nie wyglądasz na takiego, który się boi.

Po chwili stali na podjeździe czegoś w rodzaju pałacu. Dom był na pewno nowy, ale miał tyle wieżyczek i kolumn dźwigających balkony, że bardziej Pawłowi przypominał właśnie pałac niż współczesną willę. Zwłaszcza, że prowadziła do niego stara aleja lipowa.

Ponieważ kobieta nie wychodziła z samochodu, powiedział:

- Szkoda, że to już koniec naszej przejażdżki; cudownie się z panią rozmawiało.

- Nie boi się pan, że powiem mężowi?

- O czym?

- O pańskim stanowczo zbyt poufałym tonie.

- Przepraszam, ale ja nie potrafię inaczej rozmawiać.

- Uroczy z pana człowiek. Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Do zobaczenia - powiedziała i wyszła z samochodu.

- Do widzenia - odpowiedział jej i zapytał: - Czy tu nie ma straży?

- Ma pan na myśli ochronę?

Paweł potaknął kiwnięciem głowy.

- Jest, ale jak tylko bym to zauważyła, natychmiast kazałabym ich wszystkich zwolnić.

- To dlatego brama otworzyła się jak tylko pod nią podjechaliśmy?

- Przygotowujesz napad, że się tak wypytujesz?

Zaraz po tym pytaniu kobieta odwróciła się i odeszła, nie czekając na odpowiedź. Paweł nie odjeżdżał jeszcze chwilę, bo nie wiedział, czy jest bohaterem jakiegoś kiczowatego filmu, czy też to wszystko dzieje się naprawdę. Najpierw to dziwne spotkanie w barze, potem jeszcze dziwniejsza propozycja, bogato wyposażone biuro Ryszarda, a wreszcie ten wielki dom przypominający pałac. Jednocześnie zdał sobie sprawę z faktu, że wróciła mu wrodzona pewność siebie. Bez dwóch zdań - przy tej kobiecie czuł się o niebo lepiej niż przy jej mężu. Nawet luksus, w jakim żyli nie był w stanie stłumić w nim tej pewności siebie.

* * *

Czuła, że dokonała dobrego wyboru. Nawet nie sądziła, że już za pierwszym razem tak dobrze trafi. Myślała, że będzie miała do czynienia z jakimś nieokrzesanym gburem, albo nieśmiałym i zakompleksionym młokosem, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że trafiła jej się perła. Musi teraz o nią dbać, chuchać i dmuchać, żeby jej nie stracić, żeby jej ktoś nie ukradł, albo nie zepsuł. Oszlifuje ją i będzie się nią cieszyć, aż jej się znudzi. Taki młody, przystojny i wrażliwy... W dodatku inteligentny, dowcipny i... chyba chętny?

Na to wyglądało. Zresztą, już ona wie jak z takimi postępować. Gorzej, jeśli się okaże, że to jakiś wyrachowany drań. Tak, to też możliwe. Nawet wiele na to wskazywało. Ta jego wrażliwość była szyta dość grubymi nićmi. Może tylko udawał pewnego siebie Don Guana? Tym lepiej, tym większą będzie miała frajdę z ujeżdżenia tego dzikiego mustanga. Przerobi go na miazgę, a potem - do rzeźni.

Nie była kobietą młodą, ale wciąż była bardzo atrakcyjna - zdawała sobie z tego sprawę doskonale, w czym upewniała się patrząc w lustro, przed którym właśnie robiła sobie wieczorny makijaż.

Właściwie to dziwiła się, że jej mąż ma kochankę. A już do głębi oburzał ją fakt, że była nią osoba tak młoda, wprost smarkula! Najbardziej zaś wkurwiało ją to, że spotykał się z nią wcale nie po to, by uprawiać seks! Wkurwiało - dawno nie używała tego słowa...

- Zamierzchła przeszłość, z której przybywamy daje o sobie znać w sposób tyleż dziwny, co i zabawny - podsumowała w myślach, a ponieważ w tym samym czasie kroki na schodach, a potem głośnie „kochanie, jesteś tam?” obwieściły przybycie męża, dalsze rozmyślenia odsunęła na później.

- Witaj, skarbie. Jak się jechało? - zapytała, gdy wszedł do jej pokoju po tym, jak go zawołała.

- Bardzo dobrze - odpowiedział. - To duża przyjemność prowadzić samochód, nadal to lubię.

- Świadczy to o twojej męskości.

- A propos, jak twój młodzian?

- Czyżby kompleks przekroczonej sześćdziesiątki?

- Skądże znowu, przy tobie czuję się taki młody...

- Zejźdźmy więc na kolację i porozmawiajmy o naszej zdobyczy.

W końcu to ty pomogłeś mi go wypatrzeć.

- A co dzisiaj jemy?

- O ile wiem, stek z tuńczyka po prowansalsku. Czy to nie wszystko jedno? Mam pełne zaufanie do naszego kucharza, na pewno przygotował coś smacznego.

Ryszard zatrzymał się na schodach i uśmiechając się mile, powiedział:

- Ja mam większe zaufanie do ciebie.

- Ale chyba nie w sprawach kulinarnych? - zapytała, figlarnie mrużąc oczy.

- Nie ma takiej potrzeby. Chyba, że masz na myśli wybór restauracji - powiedział i odsunął żonę krzesło, gdyż już doszli do jadalni.

- Dziękuję - powiedziała ona i usiadła przy stole.

Przez chwilę patrzyła na ogrom jedzenia, które niewątpliwie się zmarnuje, a potem zapytała:

- Nie masz nigdy wyrzutów sumienia?

Ryszard zmarszczył czoło, a ona dodała:

- Chodzi mi o to jedzenie, którego innym brakuje, a my je wyrzucamy.

- To nigdy nie było moim problemem. Jak chcesz, mogę ci to wytłumaczyć. Co miesiąc na wsparcie biednych, poprzez rozmaite fundacje, przeznaczam...

- I potem odpisujesz to od podatków? - zapytała i uśmiechnęła się do męża, by w ten sposób przykryć zbyt wyeksponowaną złośliwość.

- Dlatego tak dobrze o nas mówią, a my tak dobrze żyjemy - odpowiedział on.

- W zgodzie i harmonii - dodała.

- Czy mi się wydaje - zapytał pomiędzy jednym kęsem a drugim.

- Czy wyczuwam w twoim głosie ironię?

- Nie wiem, co wyczuwasz, ale najważniejsze, że się rozumiemy.

- Czy to nie wspaniałe, że możemy tak sobie ufać i tak na sobie polegać?

- Cóż, mamy to szczęście. Chcę się ciebie o coś zapytać - powiedziała i przestała na chwilę jeść.

- Tak?

- Czy nie boisz się, że zostawię cię dla tego młokosa? Że się w sobie zakochamy?

- Myślisz, że aż tak leci na pieniądze?

Jolanta na ułamek sekundy zatrzymała widelec przed ustami. Jej mąż powiedział:

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Uważasz więc, że widzi we mnie jedynie mamonę?

- Nie tylko. Z pewnością możesz się jeszcze podobać.

- Wyjaśnij mi - podniosła nieznacznie głos. - Co znaczy słowo „jeszcze”?

- Bądźmy szczerzy, moja droga, obydwójce nie jesteśmy już dwudziestolatkami. Nie mniej jednak twoje ciało nadal jest pełne...

- Daruj sobie.

- Mówię zupełnie szczerze, twoje piersi...

- Więc uważasz - przerwała mu, mocno już rozgniewana. - Że żaden młody mężczyzna nie zakochałby się we mnie?

- Co innego przygoda erotyczna, a co innego...

- Tak, czy nie?

Cisza była nieprzyjemna, kojarzyła się Joli z czekaniem na ogłoszenie wyroku.

- Wybacz, ale te żarty...

- Tak czy nie?

- Tak - powiedział, co zabrzmiało jak poddanie się. - Sądzę, że prawdziwe uczucie jest w tym wypadku niemożliwe.

- Założmy się - zaproponowała.

- O co? - zapytał zdziwiony.

- O cokolwiek. Nowy samochód, futro, kolie, diamenty...

- A co dla mnie?

- Sądysz, że wygrasz? - zapytała i poczuła jak ryba nadgryza przynętę.

- Jestem tego pewien.

- Więc założmy się.

- Dobrze. O co?

- Jeśli wygram. - Jola zrobiła efektowną pauzę. - Kupisz mi jaguara.

- Kota, czy samochód?

- Wszystko mi jedno. Jeśli przegram...

- To więcej niż pewne - przerwał jej mąż.

- Jeśli przegram - kontynuowała, niezrażona jego zachowaniem. - Zrobię, co zechcesz.

- Dosłownie?

- Dosłownie: mam do ciebie pełne zaufanie.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnął się sztucznie. - Że nie mniejsze, niż ja do ciebie. A jak sprawdzimy, kto wygrał? - zapytał po chwili.

- Nie wiem. Coś wymyślimy.

- Zgoda.

Reszta wieczoru upłynęła Nowakom na miłej konwersacji na niezobowiązujące tematy. Kiedy zrobiło się już wystarczająco nudno, każde z nich poszło do siebie i w dość krótkim czasie zasnęło.

Dlaczego już nigdy nie będzie młodszy? Dlaczego, podobnie jak samochód, którym teraz jedzie do swojej młodziutkiej kochanki, jego rocznik będzie coraz mniej atrakcyjny?

Gdyby Ryszard Nowak był chociaż trochę młodszy, nie zastanawiałbym się ani chwili - rozwiódłbym się i zacząłbym wszystko od początku. Tymczasem jednak przekroczył sześćdziesiątkę i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie coś w tym temacie mogło zmienić się na lepsze. Doskonale też zdawał sobie sprawę z tego, że w przypadku rozwodu z jego winy, co najmniej połowę majątku musiałby oddać żonie, a nie ma już tyle sił i zapału, żeby to, co by mu zostało, pomnożyć razy dwa. Wprawdzie dla niej, swojej nowej kochanki, tej cudownej istotki z zupełnie innego świata, zrobiłby wiele, ale nie aż tyle. Już by mu się nie chciało.

Po raz pierwszy zobaczył ją u jubilera, gdzie kupował swojej poprzedniej kochance prezent gwiazdkowy. Stała przed kontuarem i podobna była do głodnego dziecka patrzącego przez szybę na ludzi objadających się w luksusowej restauracji. To porównanie przyszło mu do głowy pewnie dlatego, że był wtedy piękny, gwiazdzisty zimowy wieczór, a dzień wcześniej widział gdzieś taki właśnie obrazek: głodne i zmarznięte dziecko patrzy przez okno na ludzi objadających się w restauracji. On, bogaty starszy pan, i ona, młoda śliczna acz niebogata młoda dziewczyna, a w tle śnieg padający za oknem jubilera - byli jak współczesna wersja tamtego obrazka. Podszedł do dziewczyny i zapytał:

- O czym pani marzy?

Bez słowa wskazała kolczyki, ani ładne ani specjalnie drogie.

- Proszę to zapakować tej pani - powiedział do sprzedawcy i wskazał upatrzoną przez dziewczynę rzecz.

- Służę uprzejmie - odpowiedział sprzedawca i zaczął pakować kolczyki.

- Ależ ja nie mogę tego od pana przyjąć - protestowała zażenowana.

- A dlaczegoż to? - zapytał.

- Bo... Bo... - dukała. - Bo ja pana nie znam.

- Ryszard. - Wyciągnął do niej rękę. - Teraz już znasz.

Uśmiechnęła się, ale nie podała mu ręki.

- Przecież ja nic od ciebie nie chcę - powiedział wtedy, a sprzedawcy pytającemu miną, czy w tej sytuacji ma nadal pakować kolczyki, potaknął głową.

- Więc dlaczego kupuje mi pan te kolczyki? - zapytała.

Ponieważ sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna, odbierając od sprzedawcy

kolczyki i dając mu pieniądze, zaproponował:

- Może wyjdziemy na zewnątrz? Proszę mi zaufać. Weźmie pani te kolczyki i powiemy sobie do widzenia. Jeśli tego będzie sobie pani życzyła. Proszę to potraktować jako prezent od niespodziewanie spotkanego u jubilera Świętego Mikołaja. Reszty nie trzeba - rzucił na odchodne do sprzedawcy.

Dziewczyna tylko chwilę z sobą walczyła i w niedługim czasie, gdy byli już na chodniku, kolczyki spokojnie leżały na dnie jej torebki.

- Więc do widzenia? - zapytał.

- To zależy tylko od pana.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał, a dziewczyna odwróciła się nagle na pięcie i szybko odeszła.

Dogonił ją, złapał za ramię i powiedział:

- Proponuję kawę. Mam nadzieję, że nie czuje się pani urażona?

Nie czuła się urażona ani trochę, a po jakimś czasie oswoiła się na tyle, że powiedziała jak ma na imię: Katarzyna.

* * *

- Jesteś piękna - mówił do niej po kilku tygodniach, gdy siedziała w fotelu w mieszkaniu, które dla nich wynajął na Saskiej Kępie, a on leżał nieopodal na kanapie i patrzył na nią zauroczony.

- Przesadzasz i zawstydzasz mnie.

- Gdy wyobrażę sobie ciebie nagą... Jesteś taka świeża i delikatna.

Mówił prawdę. W porównaniu z jego żoną, która chociaż ponętna, to jednak z pewnością nie szczupła i ani trochę niekojarząca się z świeżością, prawie chuda i prosto trzymająca się Katarzyna była jak delikatny kwiat przy... Burak cukrowy to przesada, ale coś musiało w tym być, że to właśnie ta roślina przyszła mu do głowy.

Zaraz po tych słowach Katarzyna bez słowa zdjęła sweter i Ryszard zobaczył jej nieduże, kojarzące się z niewinnością i czystym pięknem piersi.

- Chcę tylko na ciebie patrzeć - powiedział. - To i tak dla mnie bardzo dużo.

Była to najprawdziwsza prawda. Chciał tylko na nią patrzeć.

A ona wcale nie musiała przyjmować jakichś wymyślnych, wyuzdanych póz; wprost

przeciwnie, miała być naturalna; naga, ale naturalna i niewinna. I taką była, była czystym pięknem jaśniejącym w blasku świec, które palili jak na jakimś wieczorku poetyckim.

* * *

Teraz wchodził po schodach do mieszkania, które dla nich wynajmował, i z nadzieją patrzył w przyszłość. Przy Katarzynie zawsze z nadzieją patrzył w przyszłość. Jak w młodości, gdy wszystko mogło się jeszcze zdarzyć.

Nacisnął dzwonek. Słyszał jak dziewczyna zbliża się do drzwi, potem chwila ciszy, w której patrzyła na niego przez wizjer, wreszcie wpuściła go do środka i przywarła do niego całym swoim młodym i nagim ciałem.

- Dlaczego nie zaczekałaś na mnie? - zapytał z wymówką, patrząc na jej nagie piersi i nagi brzuch, i mając na myśli to, że była już rozebrana.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę - odpowiedziała, zamykając za nim drzwi.

- A wiesz, że to niezły pomysł? Byłoby cudownie, gdybym mógł oglądać cię tylko nagą - odparł przechodząc do pokoju i patrząc, jak

Katarzyna wchodzi do kuchni.

- Nie mam nic przeciwko temu. Czego się napijesz?! - zawołała stamtąd.

- Jak zwykle herbaty!

Usiedli przy niskiej ławie - ona naga, on w ubraniach - i rozmawiali. Nigdy nic więcej między nimi nie zachodziło. Była to taka cicha umowa - on jej kupował drogie upominki, a ona pozwalała paść mu swoje oczy swoim młodym ciałem. Wiedział, że nie może prosić o nic więcej, a nawet nie chciał. Miało to swój urok i czar.

Było czymś zupełnie niezwykłym w jego życiu i - tak to czuł - niewinnym.

- Moja żona ma kochankę - powiedział w pewnym momencie.

- Czy to jakaś nowość? - Dziewczyna zapytała tonem pozornie tylko niewinnym, a w rzeczywistości nie pozbawionym pogardy.

- Tak, bo to jawny kochanek. Ja o nim wiem, a nawet mu płacę.

I... założyliśmy się o coś.

- O co? - zapytała, ale w jej głosie nie było zbyt wiele zainteresowania.

- Ona twierdzi, że on się w niej zakocha. Ja myślę, że to jest nierealne.

- I co? - zapytała po chwili ciszy.

- Nie wiemy jak się przekonać, kto wygrał zakład.
- Powinien kogoś zabić. Jeśli zabije ją, jest wierny tobie, swojemu chlebodawcy; a jeśli zabije ciebie, to znaczy, że zakochał się w twojej żonie, że zrobi dla niej wszystko.

Ryszard siedział nieporuszony. Katarzyna wybuchnęła śmiechem i krzyknęła:

- Żartowałam! Chyba nie wzięłaś tego na serio?
 - Nie, no skądże - odpowiedział niezbyt pewnym głosem.
 - Chcesz, to poprawię ci humor. Opowiedzieć ci bajkę?
- Chciał.

To nie prawda, że na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Na początku Bóg odkręcił kran z czasem. Z czasem kran zaczął przeciekać, ale nikt o tym nie wiedział. Obok głównego nurtu, który był silny i regularny, kapały od czasu do czasu kropelki nieduże, cichutkie i nie wadzące nikomu. Życie w kropelkach toczyło się wolniej i spokojniej niż w głównym nurcie, a ludzie żyli tam dłużej i byli szczęśliwsi. Ktoś mógłby powiedzieć, że byli bękartami wszechświata, ale oni tak nie uważali. Mieli się za wybrańców losu, za szczęśliwców w czepku urodzonych.

Z początku nikt nie wiedział, że jest jakieś inne życie, jakiś inny, szybszy czas, ale nawet jak już wykryto, że tuż obok pędzi taka szalona lokomotywa dziejów, która zmywa po drodze wszystko i wszystko z sobą porywa - nawet wtedy nikt nie myślał o przeprowadzce. Zdarzały się oczywiście krótkie wypadki, a nawet organizowano wycieczki do tego większego i szybszego świata, ale nikt nigdy nie przeprowadził się tam na stałe. Już prędzej zabierano z sobą kogoś stamtąd, a wtedy ten ktoś zniknął ze swojego świata na zawsze i nawet najlepsza policja nie mogła go odnaleźć. Kapały więc krople czasu jedna za drugą, jedna za drugą, a życie toczyło się w nich leniwie i spokojnie, aż któregoś dnia zaczęły kapać coraz szybciej, tak, że niemal utworzyły prawdziwy strumień. Wtedy Bóg wezwał hydraulika, a ten naprawił usterkę niestety zbyt dobrze. Kran zupełnie przestał przeciekać. Wypada mieć tylko nadzieję, że hydraulik nie był najlepszym fachowcem, i że wkrótce znowu pojawią się małe, szczęśliwe kropelki czasu, które

nie gnają zbyt szybko, a ludzie w nich żyją spokojnie, nie śpiesząc się zbytnio.

Gdy Ryszard odzyskał mowę, powiedział tylko: „moja ty Szeherezado” i pocałował ją bardzo delikatnie w czoło.

- Jak chcesz, mogę na każdym spotkaniu opowiadać ci jakąś bajkę - zaproponowała.

Jasne, że chciał. Od tej pory była nie tylko jego Kwiatuską, ale też Szeherezadą. Prywatną Szeherezadą opowiadającą mu bajki na każdym spotkaniu. Nago i przy świecach. Czyż mógł jej nie wielbić?

* * *

Jego spotkania z kochanką nigdy nie trwały długo, więc i teraz rozstali się zaledwie po dwóch godzinach. Jak zwykle prosto stamtąd poszedł do jednej z agencji towarzyskich, by sobie ulżyć. Jednak tym razem poczuł w sobie jeszcze inny rodzaj podniecenia. Zaświtała mu w głowie myśl, aby romans swojej żony (już przestał liczyć który) wykorzystać do pozbycia się jej i to wcale nie w sposób ogólnie znany i aprobowany, czyli poprzez rozwód, lecz aby ją zlikwidować rękoma jej kochanka, czyli najzwyczajniej w świecie zamordować. Tak właśnie pomyślał: najzwyczajniej w świecie zamordować.

Skoro najzwyczajniej w świecie korzystał z luk prawnych, żeby płacić mniejsze podatki i najzwyczajniej w świecie wykańczał konkurencję niezupełnie zgodnie z prawem, a nawet posuwał się do szantażu, to dlaczego nie miałby najzwyczajniej w świecie zamordować żony?

* * *

Jolę poznał dwadzieścia lat temu, kiedy jeszcze nie był bogaty.

Wprawdzie nigdy nie był biedny, ale bogaty naprawdę stał się stosunkowo niedawno. Był pierwszym bogaczem w rodzinie, chociaż już jego ojciec zgromadził niemałą fortunę. Jak na peerelowskie okoliczności, oczywiście. Miał bardzo dobrze prosperujący zakład

samochodowy. Liczył na to, że jego jedyny syn przejmie interes.

Chyba miał szczęście, że nie dożył chwili, w której Ryszard miał mu powiedzieć, że ma inne plany. Odziedziczony interes, ku rozpaczy matki, która wkrótce też zmarła, sprzedał, a pieniądze zainwestował w spółkę z pewnym Niemcem. Wkrótce Niemca oszwabił i stał się jedynym właścicielem szwalni szyjącej głównie na eksport. Właśnie wtedy poznał Jolantę. Była piękna i młoda, a także wyuzdana i... jeszcze nie perfidna. Podobało mu się w niej to, że była taka łakoma na życie, na wrażenia, a przy tym miała w sobie tę świeżość, której jemu zaczynało pomалу brakować. Możliwe nawet, że ją kochał, a już na pewno podziwiał i nie wyobrażał sobie, by mógł u swego boku mieć kogoś innego. Za jej namową - najwyraźniej, jak i on miała zamiłowanie do ryzyka - zainwestował w kolejną szwalnię.

Potem drugą i trzecią. Polska tania, ale wykwalifikowana siła robocza pozwalała na produkcję dobrej odzieży w konkurencyjnej cenie przez dobrych kilka lat. W porę wyczuł zmiany i sprzedał wszystko, a pieniądze zainwestował w branżę budowlaną. Tu jednak dla Joli nie było miejsca. Nie знаła się ani na handlu nieruchomościami, ani na handlu materiałami budowlanymi, ani na stawianiu domów, hal, biur, bloków... Była pomocna jedynie przy zmiękczeniu urzędników państwowych, od których zależało, z usług której firmy budowlanej skorzysta ich miasto albo gmina. A ponieważ gdzieś jej żywiołowa natura musiała znaleźć ujście, to znalazła je w bujnym życiu towarzyskim. Po pewnym czasie przestał za nią nadążać i to pod wieloma względami. Od czasu do czasu dawał się jednak namówić na jakiś szalony pomysł swojej żony (jak chociażby znalezienie dla niej kochanka w barze), ale zdarzało się to coraz rzadziej i robił to bardziej dla niej niż dla siebie. Chociaż, obiektywnie zaglądając w jego duszę, należało stwierdzić, że Jola wyrobiła w nim nawyk i zamiłowanie do pewnych ekstrawagancji, do nietypowych, czasami dość ryzykownych sytuacji, bez których ona nie potrafiła żyć, a jemu sprawiały nieduże, ale jednak - zadowolenie.

Ale to już nie było to, co dawniej, kiedy tworzyli znakomicie się rozumiejącą parę. On dostrzegł w niej perfidną i egoistyczną modliszkę, a ona... Prawdę mówiąc nigdy nie widziała w nim nic oprócz pieniędzy. Dochodziło między nimi na tym polu do sprzeczek, a nawet kłótni. Na szczęście po pewnym czasie zawarli pakt o nieagresji. Żyli teraz bardziej obok siebie niż ze sobą, a jeśli już coś razem robili, to każde czerpało z tego własną przyjemność.

Ten kruchy układ zburzyło pojawienie się w życiu Ryszarda Katarzyny. Kiedy więc jego żona zaproponowała, by razem wybrali dla niej kochanka, co rzekomo miało bardziej zbliżyć do siebie coraz bardziej oddalających się od siebie małżonków, wtedy przystał na to z ochotą, bo pomyślał, że prędzej czy później przyniesie to z sobą jakieś bliżej nieokreślone rozwiązanie.

I oto teraz, za sprawą żartu Katarzyny, okazało się, że rozwiązaniem może być zamordowanie żony rękoma jej kochanka. Musiał przyznać, że jego i tak niekonwencjonalne życie, zaczęło zamieniać się w coś w rodzaju groteski. Poczul to, gdy Mary, dwudziestoletnia

Murzynka, jedna z najdroższych dziwki w mieście, naprawdę mająca na imię Maria, bardzo modna w niektórych kręgach, otworzyła mu drzwi i zapytała nienaganną polszczyzną:

- Co słysząc u wujaszka Ryszarda?

- Dobre pytanie - pomyślał, a głośno powiedział: - Nic nowego.

- W twoim głosie wyczuwam jakieś nowe nuty. Czego się napijesz?

- Wszystko jedno.

- To do ciebie nie podobne, zwykle wiesz, czego chcesz. Połóż się, zrobię ci masaż.

Ryszard zdjął marynarkę, a potem położył się na wielkim łóżku, na brzuchu, a Mary usiadła na niego okrakiem i zaczęła masować mu najpierw kark, a potem plecy.

- Chcesz pogadać? - zapytała w pewnym momencie.

- Nie - odpowiedział. - Po prostu rób swoje.

* * *

Kiedy podniecenie zaczęło mu przeszkadzać w sposób czysto fizyczny, przekręcił się na plecy. Mary zaczęła wtedy zdejmować półprzezroczysty peniuar, który miała na sobie. Ryszard szybko złapał ją za ręce i zaprotestował: - Nie. Nie chcę, żebyś się rozbierała.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem i zapytała:

- A co z resztą? Też nie chcesz?

- Reszta bez zmian - odpowiedział i Mary zaczęła odpinać mu rozporek. Ponieważ pod peniurem nie miała nic, wkrótce usiadła na jego sterczącą męskość i zaczęła pomału, metodycznie jeździć na nim, jakby przyjemność miała zrobić sobie, nie jemu.

- Zrób to szybko - powiedział.

Kobiecie było wszystko jedno, więc zwiększyła tempo i zmieniła nieco sposób, w jaki się poruszała. Wkrótce poczul ulgę. Zawsze w takich chwilach czuł ulgę.

- Dlaczego nie chciałeś, żebym się rozebrała? - zapytała potem, kiedy on się ubierał, a ona paliła papierosa..

- Dlatego, że... - zaczął. - Nieważne - dokończył i wyszedł. Nie mógł przecież powiedzieć, że teraz jedyną kobietą, jaką chce oglądać nago jest Katarzyna. To nawet jemu

wydawało się niepoważne.

* * *

Gdy wsiadł do samochodu, pomyślał: - To już nie są żarty. - I sięgnął po komórkę. Dzwonił do Marka Krokusa, prywatnego detektywa, z którego usług korzystał już nie raz.

- Słucham.

- Cześć, Nowak z tej strony, Ryszard Nowak.

- Witam. Jakaś sprawa?

- Jakbyś zgadł. Ale nie na telefon. Pojutrze u mnie w biurze o jedenastej, okey?

- Okey.

* * *

Marek Krokus, dawny esbek, nie mogąc znaleźć żadnej sensownej pracy po tym, jak nie przeszedł weryfikacji, której poddał się dobrowolnie w 1990 roku, postanowił zająć się tym, co w swoim mniemaniu umiał najlepiej: węszeniem. Kiedyś węszył za państwowe pieniądze, teraz za prywatne. Było mu wszystko jedno, za jakie to robi - żadne nigdy mu nie śmierdziały. Ale Nowakowi nie odmówił nie dlatego, że ten dobrze płacił, ale dlatego, że ten mógł go pozbawić licencji detektywa przekazując policji materiały, których

Markowi Krokusowi nie udało się spalić. Te materiały obciążały go za wypadek przy pracy, który obecna władza niewątpliwie uznałaby za morderstwo. Drugim powodem była nadzieja. Detektyw liczył na to, że zlecenie prezesa ubarwi jego monotonne życie detektywa od małżeńskich zrad, a przy okazji poprawi nienajlepsze notowania w branży.

* * *

- Elementarna uczciwość wymaga, żebyś się z tego wytłumaczyła. Dowiem się

wreszcie, skąd się tu wzięło to cholerne pudełko z tymi cholernymi świecidełkami?! - pytał, a właściwie krzyczał

Paweł, trzymając w rękach drewnianą szkatułkę, którą znalazł na dnie kosza na brudne ubrania, gdy szukał suszarki do włosów.

- Ukradłam - ze złością odparła Kasia, jego dziewczyna, a potem lekkim tonem, jakby opowiadała o pójściu do kina, dodała: - Napadłam na bank, a potem poszłam do jubilera i sobie nakupowałam różności.

- Nie żartuj sobie, to poważna sprawa.

- Wielkie rzeczy, trochę świecidełek.

- To może wyjaśnisz mi skąd masz te świecidełka?

- Już ci mówiłam. Jedne kupiłam sama, inne dostałam w prezencie od rodziców, jeszcze inne od babci, gdy żyła, a jeszcze...

- A jeszcze inne - przerwał jej mocno podniesionym głosem. - Od dziadziusia! Pewnie sprzedał swoje złote zęby i nakupował ci kolczyków. A może to rodowe srebra twoich rodziców, nauczycieli z Ochoty? - Po czym wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami.

* * *

I co ją podkusiło, żeby przynieść do mieszkania pudełko z biżuterią od Ryszarda? Nie znała odpowiedzi na to pytanie; domyślała się tylko, że musiało to być coś bardzo głupiego, bo przecież nie chciała stracić Pawła, a straciłaby na pewno, gdyby dowiedział się, że ona ma romans. Nie rozumiałaby, że nie robi nic złego. Bo co może być złego w tym, że pozwala się oglądać nago jakiemuś starszemu facetowi, opowiadając mu przy tym bajki, które sama wymyśla. Ale Paweł by tego nie zrozumiał.

Jest jej chłopcem, być może zostanie mężem, dlatego też od jakiegoś czasu mieszkają razem w mieszkaniu po jej babci. Jednak, od kiedy Paweł stracił pracę, coś zaczęło się między nimi psuć. Zdarzało to się już wcześniej, ale nigdy dotąd tak często. Gdyby miała porównywać ze sobą Pawła i Ryszarda, to ten pierwszy byłby niesfornym, acz uroczym chłopcem, a ten drugi dobrym wujkiem. Ten pierwszy kusił urodą i nieznanym, a ten drugi pieniędzmi i spokojem. Tym pierwszym można się było pochwalić koleżankom, znajomości z tym drugim trzeba było trzymać w tajemnicy. I to właśnie bardziej podniecało Katarzynę, niż wspaniałe ciało Pawła. Znajomość z Ryszardem była czymś niezwykłym w jej życiu. Chodzi

o to, że miała kogoś w rodzaju kochanka; właśnie w rodzaju, a nie wyświechtanego, splugawionego, ośmieszonego, opisanego wszerek i wzdłuż, tak pospolitego jak chleb albo woda, kochanka tradycyjnego.

Dla Ryszarda była księżniczką, Kwiatuską, jak ją czasami nazywał, prywatną Szeherazadą, istotą cudowną, nieomal ze snu, tymczasem dla Pawła była tylko dziewczyną, wprawdzie o nieskazitelnej urodzie, ale, jak twierdził, beznadziejną w łóżku. Ryszard nie wymagał od niej nie tylko żadnej ekwilibrystyki, ale w ogóle nic prócz tego, by z nim była. W dodatku to ona mu to zaproponowała, aby odwdziżyć się za prezent, jaki jej zrobił u jubilera. Nie mogła go nie przyjąć (taki był piękny) i nie mogła mu za niego ofiarować siebie, gdyż wtedy czułaby się jak... A może powinna wreszcie pogodzić się z tym słowem i nazwać rzeczy po imieniu? Nie, z pewnością to słowo, które ciągle jej nie chce przejść przez gardło ma się do niej tak, jak żarówka do słońca.

- Cóż za głupie porównanie - zbesztła się w myślach. - Tracę rozum. Przystaję byś sobą.

Czyżby kochała Ryszarda? Tego starego, nieprzytomnie bogatego i - przynajmniej dla niej - dobrego jak przysłowiowy wujek, ale jednak żonatego i jakby z zupełnie innego świata - czyżby kochała kogoś takiego? Bo jeśli nie jego, to co? Samą sytuację? W takim razie, musiała to przyznać, jest nieźle zakręcona. W dodatku ta jego żona - czy normalny facet żyje z kimś takim? A czy normalna dziewczyna paradyje nago przed tym facetem w zamian za kolczyki, pierścionek lub naszyjnik? Tylko, że ona robi to teraz już nie z wdzięczności, lecz dla zwykłej przyjemności. Jeśli swojej, to jest zbzikowana nie mniej niż żona Ryszarda, a jeśli dla niego... To jest w nim zakochana? Pytanie powróciło jak bumerang i wyglądało na to, że niełatwo będzie się go pozbyć. A co, w takim razie, z Pawłem?

- Przepraszam - powiedział Paweł, jakby słyszał jej myśli.

- Nie słyszałam cię, wszedłeś tak cicho...

- Widocznie nad czymś myślałaś.

- Myślałam o tobie - odpowiedziała prawie zgodnie z prawdą.

- Tak bym chciał, żeby wszystko między nami było jasne...

- Myślałam, że teraz, kiedy znowu masz pracę, będzie już dobrze, że nie będziesz się awanturował i... nie będziesz tyle pił.

- I tak by było, gdyby nie to pudełko. Obiecuj mi coś.

Katarzyna stężała, wyczuła w powietrzu coś niedobrego.

- Tak? - powiedziała niepewnie.

- Zapytamy twoich rodziców, czy rzeczywiście kupili ci te błyskotki, a potem

zapomnimy o wszystkim.

- Wynoś się stąd. Wynoś się stąd!

Wyszedł. Katarzyna miała łzy w oczach. Jak mógł?! Jak on mógł?! I nie chodzi wcale o to, że wystraszyła się sprawdzianu, który zaproponował, ale o to, że w ogóle zaproponował. Przecież nie robi nic złego. Ale on by tego nie zrozumiał. Nie może mu powiedzieć prawdy. Więc co dalej? Musi coś z tym zrobić, musi coś wymyślić. Jak bardzo chciałyby teraz znowu być małą dziewczynką z małymi dziewczęcymi problemami i znowu patrzeć z ulicy Malowniczej na Ochocie, gdzie do dzisiaj mieszkają i pracują jej rodzice, na samoloty startujące i lądujące na Okęciu. Albo swoją starszą siostrą, która - jak społeczeństwo przykazało - skończyła studia, wyszła za męża, urodziła dwójkę dzieci i zaprasza do swojego nowo wybudowanego domu rodziców na każde święta. Oddałaby za to

Pawła? Zazdrościły go jej wszystkie koleżanki. Czasami nawet miała wrażenie, że i siostra go jej zazdrości. Był nie tylko przystojny, ale i zaradny. Trochę zbyt pyskawy i zbyt pewny siebie, ale wynikało to bardziej z jego przesadnego poczucia godności niż zarozumiałstwa.

Co nie znaczy, że nie był zarozumiały, o nie. Przede wszystkim dumny był ze swego ciała i opinii dobrego kochanka. Jeśli chodzi o ciało, to i owszem, Katarzyna rozumiała to doskonale, ale co do opinii dobrego kochanka, nie podzielała jej nic a nic. Możliwe, że winna była ona, ale nie zmienia to faktu, że - w przeciwieństwie do wszystkich innych dziewczyn Pawła - wolała z nim rozmawiać niż się z nim kochać. Nie rozumiał jej wstydlivosti i potrzeby bycia w odpowiednim nastroju.

Poza tym potrafił być uroczy. Robił jej niespodzianki w postaci małych upominków, co bardzo lubiła, a także sprawiał, że czuła się przy nim bezpieczna. Nie bujał w obłokach jak wielu jej kolegów ze studiów, a twardo stał na ziemi i potrafił wiele rzeczy zrobić własnymi rękoma. Zwłaszcza przy samochodach. Imponowało jej to bardzo. No i był od niej starszy, a to zawsze robiło na niej wrażenie.

Może dlatego tak łatwo uległa czarowi Ryszarda? Możliwe, chociaż bardziej prawdopodobne jest to, że kupił ją drogimi prezentami i tym, że zrobił z niej swoją królową. Uwielbiała te wieczory, kiedy przy świetle świec podziwiał jej nagie ciało, a ona opowiadała mu wymyślone przez siebie bajki. Miał wtedy w oczach jakiś dziwny smutek, a także... Miłość? Tego nie była pewna. Pewna była miłości

Pawła i tego, że nie chciała go stracić.

Głupio zrobiła, że przyniosła do domu pudełko z biżuterią. Skąd jednak mogła wiedzieć, że Paweł będzie grzebał w jej rzeczach? Teraz go wyгнаła, chociaż to on powinien

mieć pretensje do niej.

- Ale wróci - pomyślała - na pewno wróci.

I wrócił. Szkoda tylko, że późno w nocy i pijany. Gdyby nie to, pewnie wybaczyłaby mu i może nawet kochaliby się na zgodę, a tak wykopała go z łóżka i spał na podłodze. Miało to ten plus, że stawiało to ją w jego oczach w świetle prawości, ale miało też ten minus, że jak na razie byli z sobą skłócenii, a tego na dłuższą metę nie trawiła.

Rano, patrząc z wysokości łóżka na jego niewyspane, skacowane i „połamane” ciało zwinięte w kłębek na podłodze, zrobiło się go jej żal i poczuła coś na kształt wyrzutów sumienia.

- Zrobić ci kawy? - zapytała czule.

Pokiwał głową, ale na nią nie spojrzał.

- Miałam straszny sen - byłam wielkim treflem. Dookoła mnie też leżały same trefle, a ty byłeś kierem i w ogóle do mnie nie pasowałeś. Myślałam: Boże, ja taki wielki trefl, a on kier - jak my się dogadamy?

- A skąd ja w tym śnie? - zapytał. - Przecież nie gram z tobą w brydża.

- Nie wiem - odpowiedziała, a potem wstała z łóżka, założyła kaptcie i ruszyła do kuchni. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że jej spotkania brydżowe na uczelni są jedynie pretekstem, by wyjść na spotkanie z Ryszardem, a sen zmyśliła, by być bardziej wiarygodną.

Gdy mijala Pawła, złapał ją nagle za kostkę, a ona wrzasnęła, bo była zamyślona i jeszcze nieco zaspana, więc się wystraszyła. Spojrzała w dół, by zobaczyć, co się stało, a on uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Kocham cię. Ja też miałem sen, byliśmy talerzykami i leżeliśmy jeden za drugim w zmywarce. Było bardzo miło jak na zmywarce.

Złość uleciała z niej natychmiast. Zaśmiała się i żartobliwie uderzyła go poduszką w głowę. On również się zaśmiał, a ona odetchnęła wtedy z ulgą i radośnie poszła do kuchni, by zrobić sobie i jemu poranną kawę. Stamtąd krzyknęła:

- Połóż się do łóżka, będzie niespodzianka.

Zamierzała przynieść mu do łóżka nie tylko kawę, ale i śniadanie.

Wiedziała, że najchętniej widziałby ją przy tym naga, a potem zrobiłby z nich talerzyki leżące w zmywarce, ale coś powstrzymało ją przed zdjęciem chociażby góry pidżamy. Może miało to jakiś związek z Ryszardem, a może po prostu bała się, że Paweł będzie chciał się kochać, w każdym razie poprzestała na kawie i śniadaniu.

Paweł był tylko trochę zdziwiony (w swej pewności siebie uważał, że takie rzeczy jak seks po prostu mu się należą) i chętnie zgodził się na bycie krzyżówką skrzywdzonego

kochanka i kochanka, któremu wybaczone. Ani on, ani ona chwilowo nie zamierzali rozstrzygać, która z tych ról była bardziej na miejscu. Co do jednego jednak byli pewni - ona spóźni się na wykłady, a on do pracy.

- Nie boisz się, że cię wywalą z tej nowej roboty? - zapytała między jednym kęsem jajecznicy a drugim.

- Mam nienormowany czas pracy - odpowiedział. - Poza tym wcale nie jestem pewien, czy ta praca to jest akurat to.

- To, co tygrysy lubią najbardziej?

- Nie rozumiem - niemal się obraził.

- Tak się mówi - wyjaśniła. - „To, co tygrysy lubią najbardziej” to takie powiedzonko.

- A co lubią najbardziej? - zapytał, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

Popatrzyła na niego w milczeniu, a w końcu on nie wytrzymał i uśmiechnął się. Udała, że ją rozgniewał i zaczęła okładać go poduszkami. Skończyło się na tym, że rozebrał ją w końcu do naga i wykorzystał ją w taki sposób, o jakim marzy większość zakochanych kobiet. Ona wprawdzie nie mogła powiedzieć, by o tym marzyła, ale nie miała też nic przeciwko temu.

Podczas gdy on nad nią sapał i jęczał, ona myślała o tym, że dobrze zrobiła obrażając się na niego na zasadzie, że najlepszą obroną jest atak, a także o tym, że o ile dobre to było na początek, to na dłuższą metę nie wystarczy.

* * *

Filigranowa sekretarka Ryszarda Nowaka udawała, że nie wie, po co Paweł przyszedł i patrzyła na niego wyczekująco. Ten, jak zwykle, nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Rozsiadł się w fotelu, wyjął paczkę papierosów, jednego z niej wyciągnął, a resztę położył przed sobą na stole, jakby miał zamiar palić jednego za drugim.

Pani Ania nie wytrzymała już po drugim zaciągnięciu i gdy Paweł wypuścił z ust starannie uformowane kółka, rzuciła przed nim kluczyki i powiedziała:

- Samochód czeka na pana na parkingu dla vipów. Ma pan w nim czekać na telefon.

Paweł uśmiechnął się bez słowa, bez słowa wziął kluczyki i bez słowa wyszedł, cały czas lekko się uśmiechając.

* * *

Samochód, który oddano do jego dyspozycji, był prawie nowym mercedesem cls 350, a jednym z elementów jego wyposażenia był telefon komórkowy. Jedyńm mankamentem samochodu był właśnie ten telefon. Coś się w nim popsuło i działał tylko z zestawem głośnomówiącym. To dlatego Paweł na telefon miał czekać w samochodzie. Na szczęście zadzwonił już pięć minut po tym, jak zajął miejsce za kierownicą.

- Kierowca pana Ryszarda Nowaka, słucham.

- Proszę nie być takim służbistą. - Głos żony Ryszarda był nieco zachrypiały i przymilny. - Niech pan przyjedzie po mnie.

- Jestem tutaj służbowo, więc jaki mam być? Dokąd mam przyjechać?

- Do mnie do domu, głuptasie.

- Pani prośba jest dla mnie rozkazem.

- Bo to był rozkaz, palancie.

- Oczywiście, już jadę.

* * *

Tym razem przed bramą musiał postać chwilę, zanim mu ją otworzono. Miał czas, żeby się rozejrzeć. Mur był tak samo solidny jak brama. Nawet drzewa rosnące wokoło wyglądały na solidne.

Z samochodu niewiele więcej udało mu się zobaczyć prócz tej wszędobyłskiej solidności.

Tak, jak poprzednio, tak i tym razem nie zauważył żadnej ochrony. Brama otworzyła się przed nim jak jakiś Sezam. Dopiero, gdy otworzono mu drzwi domu, spotkał się z kimś, kogo kiedyś określało się mianem służby.

- Dzień dobry, jestem...

- Wiem - przerwał mu starszy, niezwykle dystyngowany mężczyzna ubrany we frak. - Pani na pana czeka. Proszę wejść.

Paweł wszedł do środka, zrobił kilka kroków i nie wiedział, co ma robić dalej.

Zwłaszcza, że wyzywająco patrzył na niego niebieski kot siedzący nieopodal drzwi. Stał więc mniej więcej pośrodku czegoś w rodzaju wielkiego holu, który kojarzył mu się z magazynem dekoracji do filmów historycznych i fantastycznonaukowych i wyobrażał sobie jak dekorator wewnątrz najpierw oburza się na pomysły Jolanty Nowak, a potem mięknie widząc czek przez nią wypisywany.

Te wyobrażenia przerwał mu mężczyzna we fraku:

- Pan pierwszy raz?

- Tak - odpowiedział, a w myślach dodał: „cokolwiek miałyby to znaczyć.”

- W takim razie proszę za mną.

- Przepraszam, dlaczego ten kot jest ufarbowany?

- Pan Kot nie jest ufarbowany - niemal obrażonym tonem odpowiedział mężczyzna we fraku. - To jego naturalny kolor.

Paweł z trudem powstrzymał śmiech.

Przeszli przez hol i znaleźli się przy schodach. Biorąc łagodne zakręty, jedne prowadziły w prawo, drugie w lewo.

- Którymi? - zapytał, wskazując schody.

- Wszystko jedno - odpowiedział służący. - Wszystkie drogi prowadzą do pani Joli.

Paweł wzruszył ramionami i zaczął się wspinać na górę tymi po lewej. Za nim z wielką godnością stąpał Pan Kot.

- A potem? - zapytał w połowie drogi z wysokości kilkunastu stopni.

- Trafi pan, z pewnością pan trafi.

I rzeczywiście trafił. Wystarczyło iść korytarzem i dojść do jedynych otwartych drzwi na piętrze. Stał w nich i zobaczył siedzącą tyłem do niego kobietę i jej odbicie w lustrze toaletki. Jolanta Nowak uśmiechała się do niego, czesząc swoje piękne, długie, rude włosy. Widział już takie sypialnie. W kinie. Katarzyna wyciągnęła go kiedyś na indyjski film. Tam też łoże w sypialni głównej bohaterki miało baldachim z wzorzystej tkaniny i zrobione było z ciemnego litego drewna zdobionego kwiatowymi wzorami. Pozostałe wyposażenie nie odbiegało od klimatu łoża. Kufry, parawany, komody, szafy - wszystko ciężkie i w intensywnych barwach.

- Miło cię widzieć, Pawle - powiedziała właścicielka bollywoodzkiej sypialni. - Z Panem Kotem już się poznaliście?

- Dlaczego wszyscy mówią o nim „pan”?

- To imię, głuptasie, Pan Kot - odpowiedziała, czule witając się z kotem.

Paweł nie przypominał sobie, by przeszli na ty, więc zapytał:

- Pani go tak nazwała?

- Tak. Ale: nie uważasz, że to głupio, że mówię ci po imieniu, a ty mówisz do mnie „pani”?

- Wprost przeciwnie, głupio by mi było mówić pani po imieniu.

- Tak staro wyglądam?

- Czy mogę być szczery?

Jolanta Nowak na chwilę zatrzymała rękę z grzebieniem i na chwilę przestała się uśmiechać, ale zaraz wróciła do poprzednich czynności i powiedziała:

- Oczywiście.

W jej głosie była lekko zauważalna trwoga i złość. Paweł spodziewał się czegoś takiego i wiedział, że wszedł na bardzo cienką linię. Mimo to powiedział:

- Głupio mi o tym mówić, bo jestem pani szoferem, w dodatku zupełnym smarkaczem... Czy rzeczywiście mogę?

- Radzę ci, żebyś się pośpieszył.

- Jest w pani więcej wdzięku i kobiecości niż w tych wszystkich wychudzonych szkapinach chodzących po wybiegach na światowych pokazach mody.

- Szkapinach, powiadasz - zaśmiewała się Jola. - Trafne określenie. Ale czy nie przesadziłeś z tą moją kobiecością i wdziękiem? Odwróć się, bo muszę się ubrać.

Po wykonaniu polecenia Jolanty, znalazł się na wprost jeszcze jednego lustra, będącego drzwiami szafy. Jola Nowak stała tyłem do niego i po zdjęciu szlafroka zakładała sukienkę. Nawet jej do głowy nie przyszło, by na swe nagie ciało założyć coś jeszcze.

- Możesz się odwrócić.

Paweł posłusznie odwrócił się i stanął oko w oko z kobietą, którą jeszcze przed chwilą widział naga, co - tego był pewien - było przez nią zamierzone.

- Skoro jestem taka kobieca - powiedziała. - To czemu jeszcze mnie nie pocałowałeś?

- Brak mi śmiałości.

- Nie wyglądasz na takiego. Myślę, że grasz kogoś innego, niż jesteś.

Zabrzmiało to jak wyzwanie, więc powiedział:

- Nie tylko ja tutaj gram. - A potem podszedł do niej, objął ją i zaczął całować.

- Jak na szofera jesteś zbyt śmiały.

Zesztywniał, a potem puścił kobietę i ruszył ku wyjściu.

- I zbyt dumny - rzuciła za nim, więc wrócił i niemal ją zgwałcił.

Przy czym słowo „niemal” było tak wielkie, że w zasadzie o gwałcie nie mogło być mowy. Tym bardziej, że potem kobieta powiedziała: „jesteś cudowny”, a wcześniej w pełni

kontrolowała całą sytuację.

Paweł nie po raz pierwszy słyszał o sobie coś takiego z ust kobiety, ale po raz pierwszy była to taka kobieta. „Taka” w tym wypadku oznaczało i to, że taka bogata, i to, że taka zepsuta, i to, że taka zmysłowa.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział, leżąc na plecach obok niej i patrząc na baldachim, który miał nad głową. Jedyne, co mu się w tej całej sytuacji nie podobało, to Pan Kot patrzący na ich wyczyny swoimi wielkimi ślepiami. Niemal z obrzydzeniem pomyślał: „Przyszedł kot i usiadł. Siedzi i patrzy. Patrzy i słucha.

Słucha i nic nie rozumie. Głupi kot.” Pomyślał jeszcze, że kocisko działa mu na nerwy, a głośno zapytał:

- Czy on zawsze pani towarzyszy?

- Pan Kot? W domu prawie zawsze. Przeszkadza ci to?

- Nie, ale trochę czułem się nieswojo, gdy tak się na nas gapił.

Raz nawet na mnie fuknął. Prawdę mówiąc rozumiem go, na jego miejscu też bym fukał.

Kobieta zaśmiała się, po czym położyła się na boku i bawiąc się włosami na jego klatce piersiowej mówiła:

- Chciałam amerykańskiego rysia...

- Rysia? - zdziwił się.

- To taka rasa. American Lynx, amerykański ryś. Przypomina prawdziwego rysia, ale to kot. Chociaż większy od kotów domowych. Ma kikutowaty ogon... No, ty kikutowatego ogona nie masz. - Zaśmiała się, dotykając jego „ogona”, a potem kontynuowała: - Na uszach ma pędzelki (ty nie masz), futerko cętkowane albo pręgowane, też inaczej niż u ciebie. W sumie jest w ogóle do ciebie niepodobny.

- Tak samo jak to niebieskie stworzenie.

- Coś mi się zdaje, że nie lubisz Pana Kota.

- Pozory mylą.

- Mam nadzieję - powiedziała, wstając. - Bo nieprzyjaciele moich przyjaciół są moimi nieprzyjaciółmi.

Idąc w jej ślady, zapytał:

- Jak to się stało, że jest niebieski?

- Podobno klimat i izolacja. To rosyjski kot. Interesują cię koty?

- Niespecjalnie - odpowiedział, wciągając spodnie. - Interesujesz mnie... Pani mnie interesuje. I to w sposób, że tak powiem, niepowierzchny.

- Zrobisz karierę - powiedziała, zakładając sukienkę.

- Jako szofer? - zapytał, uśmiechając się zaczepnie.

- Jako lodołamacz.

- Lodołamacz? - zdziwił się tak bardzo, że aż na moment przestał zapinać guziki od swojej koszuli.

- Lodołamacz serc. Nie udawaj, że nie zrozumiałeś. Gdybym nie sądziła, że cię zepsuję, powiedziałabym ci, że jesteś uroczy w pewien interesujący sposób. Interesujący dla niektórych kobiet. Ależ ta sukienka jest pognieciona.

- To znaczy? Pani wybaczy, ale nie jestem mistrzem intelektu.

- To znaczy - odpowiedziała, idąc do łazienki sąsiadującej z pokojem. - Że jest w tobie wystarczająco dużo chłopięcości, żebyś był interesujący jako mężczyzna. Kto ma uszy, niech słucha.

Kot ruszył za nią, ale Jola zamknęła mu drzwi przed nosem. Stał skonfundowany, a Paweł skomentował jej słowa:

- „Kto ma uszy, niech słucha”, dobre.

- To cytat! - odskrzyknęła z łazienki.

Podszedł do drzwi, nogą przegonił Pana Kota i spróbował je otworzyć, ale były zamknięte.

- Domyśliłem się, ale wyleciało mi z głowy, z czego.

- Z Nowego Testamentu!

„Ale mi się trafił dziwoląg”, pomyślał.

- Widzę, że cię zaskoczyłam - stwierdziła Jola, wychodząc z łazienki.

„Nie po raz pierwszy”, pomyślał, a głośno powiedział:

- Nigdy by mi do głowy nie przyszło, żeby kojarzyć panią z Nowym Testamentem.

Z miny kobiety wynikało, że dobrze się bawi.

- A ze Starym? - zapytała.

- Ze Starym to i owszem.

- Czyżbyś znał Biblię?

- Obiło mi się to i owo o uszy.

Jola, siadając przed lustrem i biorąc do ręki grzebień, zapytała:

- Dlaczego?

- Podobno sporo tam seksu.

- Podobno?

- Mówiłem, że tylko tak mi się o uszy odbiło. A co, to nieprawda?

Kobieta wstała, podeszła do niego, dmuchnęła mu dymem papierosowym prosto w twarz, następnie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Chcesz rozmawiać o Biblii?

Paweł zaczerwienił się, a z oczu popłynęły mu łzy. Jola zażartowała:

- Nie myślałam, że cię to wzruszy. - Po czym podeszła do szafy z ubraniami.

Paweł oczywiście wcale się nie wzruszył, a jedynie dym gryzł go w oczy, ale nie zamierzał się użalać. Zamiast tego zaszedł kobietę od tyłu i złapał ją za piersi, gdy oglądała sukienki.

- Myślisz, że jak masz takie królewskie cycki, to ci wszystko wolno? - zapytał bardziej żartobliwie niż złośliwie.

Kobieta wyrwała mu się i uderzyła go w twarz.

- Nie pozwalaj sobie za wiele - powiedziała, najwyraźniej urażona.

Stał zdziwiony i zły, bo wyglądało na to, że nie on tu będzie rozdawał karty, a w dodatku nie zawsze będzie rozumiał zasady gry.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem pani urazić.

- Czyżby? Zachowujesz się, jakbym to ja uraziła ciebie. Gdzie jest Pan Kot?

- Nie wiem, koty chodzą swoimi drogami. Może od razu ustalmy granice...

- Nie będziemy ustalać żadnych granic - przerwała mu, wyjmując z szafy sukienkę. - Nasze stosunki. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - nasze stosunki muszą wyklarować się w sposób naturalny.

„Mam się bać?” - pomyślał.

- Nie interesują mnie tradycyjne układy...

„Tak, powinienem się bać.”

- Interesują mnie układy skrzywione, niejednoznaczne.

- Więc jestem pani kolejnym doświadczeniem?

- Tego też nie wiem. Możesz już sobie iść? - zapytała jakoś dziwnie smutno. - Muszę się przebrać. Pogmiotłeś mi sukienkę.

- Jasne - odpowiedział. - Murzyn zrobił...

- Proszę cię - przerwała mu i zawiesiła głos.

Potaknął tylko głową - jakby wszystko rozumiał, a przecież wcale tak nie było - i wyszedł. Gdy znalazł się na korytarzu, dla odmiany skierował swe kroki ku schodom po prawej.

* * *

Tymczasem Ryszard Nowak spotkał się z prywatnym detektywem Markiem Krokusem i zlecił mu, by dowiedział się wszystkiego, dokładnie wszystkiego, o Pawle, nowym kochanku jego żony.

* * *

- Grzegorz, czy mógłbyś zostawić nas samych?

Grzegorz mógł i po chwili państwo Nowakowie zostali sam na sam z sobą, rybą oraz tym, co mieli sobie do powiedzenia. Siedzieli na dwóch końcach długiego stołu uśmiechając się do siebie poprzez wielki świecznik stojący na jego środku, a przed każdym z nich stał półmisek z czymś, co przypominało prehistoryczną rybę, a w istocie było farszem z zupełnie współczesnej limandy w zupełnie współczesnym cieście.

Jolanta, biorąc do ręki sztućce, zwróciła się do męża:

- Czy wymyśliłeś już coś?

- Myślę, że tak - odparł zanim włożył do ust pierwszy kęs. - Myślę nawet, że pomysł ci się spodoba.

- Nie dręcz mnie, mów - zachęcała męża Jolanta, uśmiechając się przy tym do niego mile.

- Jak wiesz, a on nie wie, został wynajęty przeze mnie za twoją wiedzą, jestem więc jego tajemniczym pracodawcą, a ty jawną kochanką. Z twojego punktu widzenia - w jego mniemaniu - ja nie wiem o waszym romansie... A propos, czy coś już między wami zaszło?

- Jeśli zaraz nie skończysz poprzedniej myśli...

- Już, kochanie, już kontynuuję. Więc, jak już mówiłem... To jest stanowczo za zimne... A więc...

- Pamiętam, co mówiłeś i wiem wszystko to, czego on nie wie, a także, co z tego może wynikać.

- Proponuję więc, żebyś kazała mu mnie zabić. Ja zrobię to samo. W pistolecie będą oczywiście ślepaki, po prostu naboje hukowe.

W ten sposób przeżyjemy i dowiemy się, czy więcej warta dla niego jesteś ty, czy ja. Jeśli próby nie podejmiemy... Cóż, wtedy okaże się, że zbyt duże mieliśmy mniemanie o sobie.

Jola była zaskoczona, ale postanowiła, że nie da tego po sobie poznać. Zapytała:

- Jaką mam pewność, że go nie przekupisz?

- Taką samą jak ja, że ty tego nie zrobisz.

- Myślisz, że możemy sobie zaufać?

- A czy mamy inne wyjście? Poza tym: jaką przyjemność mielibyśmy z tej gry, gdybyśmy nie grali uczciwie?

- Myślałam, że już nie bawią cię gry.

- To wstyd, że żona tak słabo zna męża - odpowiedział Ryszard, po czym wstał od stołu, podszedł do żony, pocałował ją i powiedział:

- Teraz muszę już iść, obowiązki wzywają.

- Nie zaczekasz na deser? Będą twoje ulubione muffinki.

- I tak jestem za gruby. Ale ty spokojnie możesz zjeść. Pa.

Jolanta Nowak została przy stole sama, nie licząc Pana Kota, który posilał się w tym czasie nieopodal niej. Uśmiechała się tajemniczo do limandy przerobionej na farsz, więc niepodzielającej jej radości i myślała o tym, co zdarzyło się przy stole, a także o tym, że jej mąż jedzie teraz na spotkanie z kochanką. Nie знаła jej imienia, ale nie ono było istotne, lecz fakt, że dziewczyna była młoda i świeża, czyli do pewnego stopnia była jej, Joli, przeciwieństwem.

Pewnej nocy, jednej z nielicznych, kiedy kochali się z Ryszardem, w przypiływie jakiejś dziwnej szczerości opowiedział jej o niej. Po raz pierwszy była zazdrosna. Przez skórę czuła, że nie jest to zwykła znajomość. Jeśli ktoś taki jak jej mąż czerpie przyjemność z przebywania w towarzystwie nagiej, a mimo to nadal - jak twierdził jej mąż - niewinnej dziewczyny, to jest to coś znacznie gorszego i znacznie bardziej niebezpiecznego niż fizyczna zdrada, której zresztą Jola nie uważała za zdradę. Możliwe, że się myliła, że był to po prostu jeden z objawów starzenia się jej męża, ale wolała być czujna i gotowa do interwencji.

Tymczasem teraz Ryszard zaproponował jej grę, która nijak nie pasowała do jego nowego wizerunku romantycznego dżentelmena, który przy świecach wielbi piękno swej muzy. Uśmiechnęła się więc

Jolanta Nowak i pomyślała, że oto jej małżeństwo na powrót wraca na utarte szlaki kontrolowanego zepsucia i zgnilizny, której owocem jest nieustanny stan odurzenia.

- Grzegorz, czy mógłbyś przynieść butelkę szampana?

- Deseru nie podawać?

Wzięła do ręki gorącą kokilkę i szybko odstawiła.

- Nie, dziękuję. Możesz wreszcie przynieść tego szampana?

- Przepraszam, że się pani oparzyła, to moja wina.

- Już dobrze, idź po szampana.

Po chwili raczyła się swoim ulubionym napojem.

- Grzegorzu, jeszcze jeden! - krzyknęła po drugim kieliszku. - Wezwij też któregoś z panów z ochrony, bo mam wrażenie, że okna w mojej sypialni nie są wystarczająco zabezpieczone. Niech od razu skieruje swe kroki właśnie tam i niech z miejsca weźmie się do pracy.

I Grzegorz i ochroniarz wiedzieli, o jakie okna i jaką pracę chodzi

Jolancie, więc kiedy ochroniarz wszedł do jej sypialni i zobaczył ją nagą na łóżku, nie zadając zbędnych pytań z miejsca przystąpił do „naprawy okien”, w czym było mu potrzebne tylko jedno narzędzie i bynajmniej nie był to ani młotek, ani śrubokręt, chociaż mogło się ono z wymienionymi narzędziami kojarzyć jak najbardziej.

* * *

Idiotą byłby ten, kto myślałby, że Ryszard w tym czasie miał jakiegokolwiek złudzenia co do swojej żony. Jednak, podczas gdy ona gziła się z ochroniarzem, on zapalał świece, by w ich blasku zawiesić na szyi swojej kochanki kolejny złoty łańcuszek, co w zasadniczy sposób odróżniało rodzaj zdrady, jakiej się wobec siebie dopuszczali. Rzecz jasna nie tylko szyja Katarzyny była naga, lecz także i cała jej piękna reszta, która zasiadała w fotelu niczym jakiś posąg. Jej długie ciemnoblonde włosy opadały aż do piersi, ale nie przykrywały ich całkowicie. Nogi miała podkurczone tak, że na nich siedziała, a ręce złożyła na swych szczupłych udach.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Ryszard wyczuł w głosie dziewczyny smutek i niepokój.

- Co się stało? - zapytał.

- Wzięłam do domu pudełko z twoimi prezentami i znalazł je mój chłopak.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał z wyrzutem, chociaż w gruncie rzeczy cieszył się, że być może dzięki temu nierozważnemu posunięciu będzie miał Katarzynę tylko dla siebie.

- Nie wiem. Pewnie chciałam mieć to wszystko przy sobie - odpowiedziała.

- I co teraz?

- Powiedziałam, że to są prezenty od rodziców i od babci, ale chyba nie uwierzył.

- Dziwisz mu się?

- Chce to sprawdzić.

- Jak on to sobie wyobraża? - zapytał rzeczowo i zapalił papierosa.

- Nie mam pojęcia. Na początek obraziłam się.

- Boisz się wpadki?

- Nie. - Katarzyna zaprzeczyła, a zaraz potem poprawiła się: - Nie tylko i nie przede wszystkim. Przede wszystkim obraził mnie podejrzeniem.

Ryszard zrobił wielkie oczy, a dziewczyna nieco się zaczerwieniła.

- No dobrze - powiedział. - Ale co zrobisz, gdy przycisnie cię do muru?

- Kopnę go w jaja - odpowiedziała, czym nieco zburzyła romantyczny nastrój, jaki panował w pokoju.

- Wiesz, że żadne słowo, żadne wyrażenie nie jest w stanie zabić w tobie tej uroczej niewinności, jaką masz w sobie? Właściwie, to ile ty masz lat?

- Zgadnij.

- Jesteś na pierwszym roku studiów, więc pewnie masz dwadzieścia lub coś koło tego, ale wyglądasz na... Piętnaście? Nie więcej.

- Powiedz mi lepiej, co mam zrobić ze swoim chłopakiem.

- Jak on ma na imię?

- Przecież się umówiliśmy - prosząco i z wyrzutem jednocześnie powiedziała Katarzyna.

- Dobrze, o nim nic.

- Poradź mi.

- A nie możesz się z nim rozstać?

- Nie i nie mówmy o tym - odpowiedziała i wstała z fotela. - Może kiedyś - dodała, całując go w policzek.

- Dobrze - zgodził się. - Spróbujmy coś wymyślić.

- To ty myśl, a ja zjem kolację.

W czasie, gdy Ryszard myślał, Katarzyna jadła kolację, czyli jabłko. Bardzo lubiła jeść jabłko. Jej chłopak miał nawet o to do niej pretensje, bo zawsze musiała najpierw dokończyć zaczęty przysmak, podczas, gdy on, rozpalony do białości, już od dawna nie myślał o niczym innym, jak tylko o sfinalizowaniu tego, co zwykle zaczynał od miętoszenia jej piersi i wpychania łap pod sukienkę.

- Myślę, że mógłbym cię zatrudnić w jednej ze swoich firm i wtedy mogłabyś powiedzieć swojemu chłopakowi, że zarabiasz dużo pieniędzy i dlatego stać cię na takie

kosztowne szkiełka - odezwał się po chwili Ryszard.

- A dlaczego trzymałam to w tajemnicy? Nie, to odpada.

- W takim razie dam ci walizkę pełną dolarów i powiesz, że znalazłaś ją na ulicy. Gdy zapyta, dlaczego mówisz mu o tym dopiero teraz, powiesz, że miałaś zamiar pozbyć się tej walizki, bo masz niejasne przeczucie, że forsa jest trefna.

- I pewnie wiele bym się nie myliła?

- Wszystko, co robię, robię zgodnie z prawem - ze stoickim spokojem skłamał prezes Nowak. - Poza tym - dodał. - Podobno umówiliśmy się, że nie będziemy o pewnych sprawach rozmawiać.

Katarzyna zignorowała ostatnią uwagę i zapytała niedowierzająco:

- I miałbyś tyle forsy, żeby mi ją tak po prostu dać?

- Z małą korektą. Nie dolary i nie walizkę - odpowiedział Ryszard, gasząc w popielniczce papierosa.

- I nie bałbyś się, że uciekłabym z nimi ze swoim chłopakiem?

- Nie, bo wtedy nie dostałabyś całej reszty.

- Jakiej reszty? - zapytała rozbawiona, wciąż jedząc jabłko.

- Domu, który wygląda jak pałac, a także spadku po mnie w postaci całkiem sporego kapitału.

- Jak na biznesmena mówisz pięknie i wyszukanie.

- U ciebie, studentki, jest to pewnie naturalne, ale u mnie... Powiem tak: wielu ludzi musiało się sporo natrudzić, żeby z chama, jakim byłem, zrobić człowieka kulturalnego. A najwięcej namęczyłem się ja sam. Kosztowało mnie to sporo czasu, pieniędzy i wysiłku.

- Ale opłaciło się. Wprawdzie nie wiem, kim byłeś kiedyś, ale efekt jest imponujący.

Ryszard postanowił wrócić do tematu:

- Więc co z walizką? - zapytał.

Katarzyna zrobiła zdziwioną minę, a potem zaśmiała się głośno:

- Mówiłeś poważnie?

- Prawie.

- To znaczy?

- Jak już mówiłem, nie dam ci walizki dolarów, ale wystarczająco dużo złotych, żeby podpadało to na znalezisko, o jakim mówiłem. Chłopakowi powiesz, że nie możecie tego wydać, bo nigdy nie wiadomo, czy nie zjawi się po to jakiś podejrzany typ bez jednego oka i z blizną na twarzy.

- „Znalezisko”, zabawne słowo - zaśmiała się Katarzyna. - A nie będziesz się bał o te

pieniądze?

- A ty nie bałabyś się człowieka z blizną?

Dziewczyna przestała się uśmiechać i przez chwilę z niedowierzaniem, a także trochę z lękiem patrzyła na Ryszarda. W końcu on nie wytrzymał i powiedział:

- Żartowałem. Więc jak?

- Nigdy w życiu nie spotkałam takiego faceta jak ty.

- I pewnie nigdy w życiu nie sądziłaś, że będziesz zdolna do życia jak z filmu? - zapytał.

- Zgadłeś.

- To znaczy, że zgadzasz się na moją propozycję?

- To może być zabawne.

- Zabawne?! To będzie cudowne, bo skończy się jak bajka.

- Żyli długo i szczęśliwie?

- Tak, żyli długo i szczęśliwie...

- Jak w niebie.

- A propos, opowiedzieć ci bajkę?

- Pytanie. Jasne, że opowiedzieć.

- No to posłuchaj.

Opinię znakomitego detektywa inspektor Archi zyskał po tym, jak wykrył mordercę Abła. Nie było to jego pierwsze śledztwo, ale to właśnie dzięki aresztowaniu Kaina, brata Abła, zaczęto o nim mówić, że jest prawą ręką Pana. Pierwszą sprawą, jaką kazano mu się zająć, była kradzież jabłka z Ogrodu Rajskiego. Potem przyszły dalsze sukcesy, jak chociażby wykrycie spisku na Dworze Niebiańskim, a jedyną wpadką, jaką Archi odnotował w swojej karierze było szukanie na własną rękę sprawcy Wielkiego Potopu. Teraz Pan go wzywał, a on nie wiedział, po co. Miał swoich ludzi tu i ówdzie i przeważnie to on o wszystkim wiedział pierwszy, tym razem jednak... - „Wygląda na to - pomyślał - że sprawa jest wyjątkowo poufna i, jeśli można tak powiedzieć, prywatna.”

- Wezwałem cię, Archaniele - powiedział Pan służbowo. - Bo jest pewien problem. Chodzi mój drogi o to, że już dłużej nie mogę patrzeć na tych idiotów na Ziemi. Zawsze mówili i pisali w moim

imieniu (jakby mieli pojęcie o tym, co myślę), ale ostatnio zaczęło mi to przeszkadzać. Zachowują się, jakbym codziennie udzielał im wytycznych; jakby to oni - a nie ja - mieli monopol na Prawdę.

A jakby tego wszystkiego było mało, to są też i tacy, którzy we mnie nie wierzą! Nie chce mi się już gadać...

- Czy mam ich jakoś ukarać? - zapytał Archi po chwili, ze smutkiem patrząc na zde gustowane oblicze Pana.

- Nie, skądże znowu - odpowiedział Pan. - Pomyślałem sobie, że mógłbym upozorować samobójstwo... Widzę, że nie rozumiesz. Pomyśl tylko - gdybym tak po prostu zniknął, to ci, co nie wierzą, powiedzieliby, że mnie nigdy nie było. Jeśli nic nie zrobię, to z kolei ci różni zawodowi przemądrzalcy dalej będą bredzić, jakby wszystkie rozумы pozjadali. Jeśli natomiast popelnię samobójstwo - niewierzący uwierzą, że byłem, a przemądrzalcy zamkną usta, bo już nie będą mieli, o kim ani po co pleść bzdur. Co ty na to?

- Znakomity pomysł, Panie. A jak to chcesz zrobić?

- To już twój problem.

Zadanie nie było łatwe. W końcu jednak Archi wymyślił coś, co, jak sądził mogło zyskać aprobatę Pana. Poszedł więc do Niego, a On zapytał:

- I co wymyśliłeś, Archi?

- Proponuję, Panie - odpowiedział. - Żebyś pojawił się nad Ziemią jako wielki cień, potem rozerwał się granatem i opadł na Ziemię jako dym, który następnie zniknie.

Ponieważ Pan milczał, Archi kontynuował:

- Zobaczą na niebie twój wizerunek, potem rękę z granatem i na koniec wielkie bum! Nie zostanie nic, co mogliby czcić.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział Pan. - Kupuję.

Kiedy zrealizowano pomysł Archiego, ludzie na Ziemi podzielili się na kilka obozów. Jedni utrzymywali, że cień był zbiorowym złudzeniem, inni, że to jakaś sztuczka techniczna, a jeszcze inni zaczęli czcić wszelkie cienie, dymy i materiały wybuchowe. W ten sposób potwierdziła się teoria, że Bóg jest ludziom potrzebny nie-

zależnie od tego, czy rzeczywiście istnieje.

Co do Archiego, to stracił pracę, a wtedy nie pozostało mu nic innego jak przejść do konkurencji. Ale to już zupełnie inna historia.

* * *

Humor wprawdzie Pawłowi dopisywał, gdy jechał do Jolanty

Nowak na jej wezwanie, ale nurtowało go pytanie, czy przeważa w nim wrażenie, że jedzie do kochanki, czy że jedzie do pracy?

Rozmyślał o tym jeszcze nawet wtedy, gdy stał opierając się o framugę drzwi jej wspaniałej sypialni.

- Dlaczego nie podejdiesz i nie pocałujesz mnie? - zapytała, leżąc na łóżku.

- Boję się, że to się skończy tak jak ostatnio? - odpowiedział pytaniem, nie ruszając się z miejsca.

- Miałbyś coś przeciwko temu?

- Chyba podobało mi się to za bardzo.

Była to absolutna prawda. Nie był święty i miał na sumieniu różne grzeszki, ale z takim żywiołem jak Jolanta Nowak spotkał się po raz pierwszy w życiu. W porównaniu z Kasią, Zielonym Jabłuszkiem, jak ją czasami nazywał, jego kochanka była słodką, dojrzałą gruszką, która puszcza swoje słodkie soki już po pierwszym ugryzieniu. Nawet nie przypuszczał, że z kobietą bądź, co bądź już niemłoda, przeżyje takie szaleństwo. Z drugiej strony zachowywała się chwilami dziwnie i trochę się bał kolejnego spotkania. Za to przestał przejmować się kotem. Po tym jak na niego prychnął w hallu, ten czmychnął schodami na górę, a gdy podążył za nim, uciekł drugimi z powrotem na dół. Od tej pory ilekroć Paweł wchodził do domu

Nowaków, Pan Kot wykonywał ten właśnie rytuał: najpierw czmychał lewymi schodami na górę, następnie przebiegał przez korytarz, a potem prawymi schodami z powrotem uciekał na dół. Gdy się razu pewnego ociągał, Paweł ponaglił go prychnając na niego i strasząc rozczapierzonymi palcami. Od tej pory Pan Kot już nigdy nie opóźniał swej ucieczki. Ale wciąż od czasu do czasu pojawiał się nieoczekiwanie w hollywoodzkiej sypialni Jolanty. Sypialni, która tworzyła klimat idealnie współgrający z wyuzdaniem właścicielki.

- Więc będziesz tak stał i gapił się na mój szlafroczek? - zapytała, przerywając miłe

jego sercu wspomnienie przygód z Panem Kotem oraz z nią.

- Jak pani chce, mogę usiąść.

- Sprawia ci satysfakcję mówienie do mnie „pani”? Usiądź tutaj.

- Wskazała krzesło stojące przy małym, ale masywnym stoliku w pobliżu łóżka, na którym leżała, bawiąc się kolorowymi poduszkami.

- Tak, chyba tak - odpowiedział, siadając.

- Dlaczego?

- Nie wiem, nie jestem psychologiem.

- Ja też nie. Wolę żyć, niż myśleć.

- A nie można by tego połączyć?

- Sugerujesz, że jestem głupia? - zapytała, wstając z łóżka.

- Miałem na myśli siebie.

- To znaczy? - drażyla, siadając przed lustrem indyjskiej toaletki, przed którą zwykła robić sobie o tej porze poranny makijaż.

- To znaczy, że to, co robię, jest nierozsądne. Mam na myśli to wszystko, co się między nami dzieje.

- Boisz się mojego męża?

- To też - skłamał. - Ale chodzi mi przede wszystkim o siebie.

Mam dziewczynę - mówił, dziwiąc się swojej szczerości. - Która jest zupełnie inna niż pani. Jeśli rozsmakuję się...

- Nie pieprz - przerwała mu dość ostro. - Mam wrażenie, że smaki, które masz na myśli, nie są ci tak zupełnie obce.

- Przed panią nic się nie da ukryć.

Odwróciła się w jego stronę i powiedziała:

- Więc pocałuj mnie wreszcie i zróbmy to, na co obydwójce mamy ochotę. Mój mąż to powietrze, na które nie musisz zwracać większej uwagi.

Ponieważ Paweł zamierzał wywiązywać się ze swoich obowiązków wzorcowo, już po chwili tarzali się po wzorzystych dywanach, a służący, słysząc na korytarzu odgłosy, jakie z siebie wydawali, wznosił do góry swoje coraz większe oczy i kręcił głową gestem, w którym był i podziw, i niedowierzanie i... zazdrość.

- Zauważyłeś, że Pan Kot już nam nie przeszkadza? - zapytała po wszystkim, paląc papierosa w łóżku, bo tam skończyli swoje miłosne zapasy.

- Widocznie koty są mądrzejsze niż się mówi.

- A kto tak mówi? - obruszyła się.

Na wszelki wypadek postanowił zmienić temat:

- Nie boisz się, że służba doniesie o wszystkim twojemu mężowi?

- Dostają takie pensje, że nawet jeśli zobaczyliby niespodziewanie zmartwychwstałego Hitlera, to milczeliby jak mumie egipskie - odpowiedziała.

- Niespodziewanie zobaczyliby, czy niespodziewanie zmartwychwstałego? - zapytał.

- O co ci chodzi? Nauczyciel się znalazł.

- Nie denerwuj... Niech się pani nie denerwuje; moja dziewczyna jest pisarką, poza tym studiuje i dlatego ciągle mnie poprawia. Ma jakieś dziwne zamięłowanie do czystości języka.

- Język nie musi być czysty - autorytatywnie stwierdziła Jola. - Język musi być giętki.

- Żeby mógł powiedzieć to, co pomyśli głowa?

- Jesteś złośliwy, czy dowcipny? - zapytała, siadając na łóżku i podnosząc z podłogi szlafroczek.

- To na jedno wychodzi.

- Niezupełnie. Są różne rodzaje poczucia humoru.

- A pani, jaki preferuje?

- Nie filozofuj, bo ci z tym nie do twarzy. Przygotuj wóz, bo zaraz jedziemy. Ja się w tym czasie ubiorę.

- Co to znaczy „przygotuj”?

- Ma być czysty jakby był nowy.

Paweł spoważniał i jakby nieco zeszywniał.

- Chce mi pani w ten sposób przypomnieć, gdzie moje miejsce? - zapytał. - Czy zrobiłem coś nie tak? Nie jest pani ze mnie zadowolona?

- Głuptas z ciebie. Musimy zachować chociaż resztkę pozorów.

Musiał przyznać, że - może niewiele, ale jednak - było w tych słowach trochę sensu, więc wstał, ubrał się i poszedł umyć samochód. Niezastąpiony Grzegorz wskazał mu miejsce za domem, przy garażach. Paweł miał teraz czas, żeby wszystko przemyśleć i zdecydować, co robić dalej. W towarzystwie Joli wszystko działo się zbyt szybko i mało zostawało czasu na myślenie.

Na pierwszy ogień poszedł jego związek z Zielonym Jabłuszkiem.

Trudno mu było uwierzyć w szczodrość jej babki i rodziców, a z drugiej strony przecież nie mógł podejrzewać Katarzyny o zarobkowe dawanie dupy, czy chociażby romans

z jakimś nadzianym facetem, bo to absolutnie nie pasowało do Zielonego Jabłuszka.

Chociaż jej ostatnie wypadki na miasto (a to do koleżanki, a to na brydża) miały w sobie coś zagadkowego. Możliwe, że tak mu się tylko wydawało, ale na wszelki wypadek postanowił to sprawdzić przy pierwszej lepszej okazji.

Tymczasem przeszedł do drugiego tematu, o wiele bardziej go w tej chwili zajmującego, niż wątpliwe zdrady Katarzyny, czyli do tematu romansu z Jolą Nowak, żoną swojego szefa. Już sam fakt, że przeszedł do niego tak szybko i radośnie, dawał mu wiele do myślenia. Z pewnością nie kochał tej kobiety, ale jej towarzystwo powodowało w nim tak gwałtowny wzrost adrenaliny, że zaczynał się pomału obawiać o swoje zdrowie.

Mógłby tak sobie dalej żartować, gdyby nie to, że sprawa zaczynała być coraz bardziej poważna. Do tej dziwnej kobiety przyciągał go z pewnością nie tylko żywiołowy seks, jaki z nią uprawiał, ale także coś jeszcze, coś bliżej nieokreślonego. Możliwe, że była to tajemnica, z jaką wiązał się ich romans, a możliwe też, że tak mocno działał na niego luksus w jakim to wszystko się rozgrywało. Starał się jak mógł, żeby nikt tego nie dostrzegł, ale z samym sobą mógł być szczery - te samochody, pałac, służba i w ogóle wszystko, robiły na nim takie wrażenie, że czasami zastanawiał się, czy to życie prawdziwe, czy jakiś sen. No i ten układ z jej mężem - to biło całą resztę na głowę.

- Gotowy? - przerwała jego rozmyślenia Jola.

- Prawie - odpowiedział. - Jeszcze tylko wytrę do sucha, żeby nie było zacieków.

- Osuszy go wiatr. Ruszamy.

- Dokąd?

- A co cię to obchodzi? - zapytała dość niegrzecznie, wsiadając do samochodu. Potem, już w środku, złagodziła przez wciąż otwarte drzwi: - Powinno ci być wszystko jedno.

- Przecież muszę wiedzieć, dokąd mam jechać - odpowiedział coraz mniej rozumiejąc i wszedł do samochodu.

- Powiem ci po drodze. Jedź.

Paweł nie jechał.

- Dlaczego nie jedziemy? Na co czekasz?

- Co zrobiłem nie tak?

- Jesteś od wykonywania poleceń, a nie od zadawania pytań.

- Murzyn zrobił swoje i może odejść? - zapytał i nie czekając na odpowiedź wysiadł z samochodu.

Jola wyszła za nim i krzyżącym szeptem powiedziała:

- Posłuchaj, jesteś dobry, nawet cholernie dobry, ale nie aż tak, żeby...

W tym momencie pocałował ją, a ona już po chwili przestała się bronić i oddała pocałunek.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała, gdy skończyli. W jej głosie nie było złości, ale była stanowczość. Paweł wyczuł to i nic nie powiedział.

- Jedźmy wreszcie - powiedziała ona i ruszyli.

Okazało się, że najpierw mieli jechać do banku po pieniądze, bo nie wszędzie będzie można płacić kartą, a potem na zakupy.

Przez cały czas była miła, a chwilami nawet czuła. Paweł nie wiedział, co się dzieje, ale poddawał się urokom chwili. Po jakimś czasie przestał się gniewać i zapytał, dlaczego tak ostro zareagowała na jego pocałunek. Przecież wcześniej pozwalała mu nie tylko na całowanie. Wyjaśniła, że mają z mężem umowę, że nie będą łamać szóstego przykazania na oczach służby.

W sklepie Paweł pozwalał kupować sobie prezenty. Nie obyło się też bez sytuacji, w których mógł podglądać swoją kochankę, gdy przymierzała sukienki lub spodnie. Pod koniec tego wypadu Jolanta

Nowak swój kobiecy repertuar uzupełniła sceną zazdrości. Gdy rozmawiał z jedną z ładniejszych sprzedawczyń i uśmiechał się do niej, podeszła do nich i uderzyła go w twarz. Zaraz potem bez słowa wyszła ze sklepu i kazała wracać do domu. Przez całą drogę dużo mówiła, ale nawet słowem nie wspomniała o tym zdarzeniu. Gdy próbował nakierować rozmowę na ten tor, ona udawała, że go nie słyszy i dalej trajlowała o ciuchach, kosmetykach i alkoholach.

Kiedy wreszcie odwiózł ją do domu, miał w głowie taki zamęt, że gdy już byli w jej pokoju, zapytał:

- W co ty ze mną grasz?

- Widzę, że już ci przeszło z tą śmieszoną „panią”? - zauważyła.

- Przeszło. Więc w co gramy?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedziała, rozpakowując zakupy. - Jestem zdezorientowana.

- To podobnie jak ja.

- Na dzisiaj starczy, jesteś wolny. Przyjedź jutro o tej samej porze.

- A teraz dasz mi cukierka i poklepiesz po tyłku? - zapytał nie bez złośliwości, nie wstając z krzesła.

- O co ci chodzi? - zapytała, wieszając w szafie zakupione sukienki.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Lubię jasne sytuacje. Mam być szoferem, do którego obowiązków należy nie tylko pompowanie kół, czy kimś w rodzaju przyjaciela?

- Miałam i jednych i drugich - z dziwnym smutkiem w głosie odpowiedziała kobieta. - Ale ty nie przypominasz mi żadnego z nich. Chyba poproszę męża, żeby cię zwolnił, póki nie jest za późno.

- Za późno na co? - zapytał.

- Do zobaczenia jutro - usłyszał w odpowiedzi i zobaczył plecy Jolanty Nowak wchodzącej do łazienki.

* * *

Kiedy wrócił do mieszkania, które zajmował razem ze swoją dziewczyną w starej kamienicy na Pradze, było już późno, a mimo to Kasia siedziała po ciemku. Siedziała nad reklamówką pełną pieniędzy. Siedziała „po turecku” na podłodze w pokoju i kiwała się nad banknotami do przodu i do tyłu.

- Znalazłam to miesiąc temu - powiedziała. - Dłużej nie mogę już tego ukrywać.

Stał jak zamurowany. W końcu wykrzyknął:

- Wiedziałem, że starzy by ci nie kupili tych śwecidełek! Skąd masz tyle forsy?

- Znalazłam na ulicy.

- Pytam poważnie, nie żartuj so...

- A ja poważnie odpowiadam.

Zapanowała cisza. Paweł klęczał obok Katarzyny i patrzył jej w oczy.

- Znalazłaś na ulicy? - zapytał z niedowierzaniem w głosie. - Jak to możliwe, żebyś znalazła na ulicy taką kupę szmalu?

- Nie wiem - odpowiedziała głosem zahipnotyzowanej dziewczynki. - Szłam, zobaczyłam, podniosłam, zajrzałam do środka i przyniosłam do domu.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Bałam się.

- Mnie? - zdziwił się Paweł.

- „Faceta z blizną” - pomyślała żartem Katarzyna, a głośno powiedziała:

- O ciebie się bałam, głuptasie.

- Dlaczego?

- Dlaczego „głuptasie”?

- Dlaczego się bałaś?

- Bo to nie mogą być uczciwie zarobione pieniądze. Obiecuj mi, że dopóki nie wyjaśni się, o co tu chodzi, nie wydasz z tego złamanego centa.

- To są dolary? - Ucieszył się Paweł.

- Złotówki, głuptasie, tak się tylko mówi „ostatniego centa” - uspokoiła go Katarzyna.

- A nie „złamanego grosza”? No dobra, a twoje zakupy?

- Byłam głupia. Dopiero dzisiaj zdałam sobie z tego sprawę. Ale od dziś koniec, żadnych kolczyków, pierścionków...

- A może powinniśmy zanieść to na policję? - zaproponował bez większego przekonania.

- A jeśli policja też jest w to zamieszana?

- Słusznie, takie historie się zdarzają. Zwłaszcza w filmach.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jej wersja jest mało prawdopodobna, na szczęście Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli pójdą z pieniędzmi na policję, to już ich więcej nie zobaczą, dlatego po chwili mierzenia się z nią wzrokiem zapytał:

- Gdzie to schowamy?

- Może w koszu z brudne ubrania? - zaproponowała, wstając z podłogi. - Tam nie powinni szukać.

- Kto? - zdziwił się również wstając. - Kto miałby szukać?

- No ci - odpowiedziała lekko skonfundowana. - Którzy to zgubili lub wyrzucili.

- Masz obsesję. To dlatego się nam nie układało. Nie może normalnemu facetowi układać się z dziewczyną, która wpakowała się w taką historię. Posłuchaj. - Złapał ją za ramiona. - Forsę schowamy w koszu na brudne ubrania, a ty o wszystkim zapomnisz. Jak nic się nie zdarzy przez rok, wyciągniemy szmal i użyjemy sobie.

- Jesteś taki mądry. Nie wiem jakbym sobie bez ciebie poradziła - mówiła, patrząc jak Paweł pomału wyjmuje pieniądze z reklamówki i liczy.

- Liczyłeś, ile tego jest? - zapytał.

- Nie. I nie chcę, żebyś ty liczył. Zostawmy to tak, jak jest.

- Nie chcesz wiedzieć, ile tego jest? - Chłopak nie dowierzał własnym uszom. - Policzmy - prosił. - Przecież nic się nie stanie, jeśli...

- Przecież sam mówiłeś, żebyśmy przez rok... Ja cię proszę... Tak się boję.

- W porządku - zgodził się nagle. - Teraz to schowamy... - zawiesił głos. - A potem wypijemy szampana - dokończył.

- Szampana? - zdziwiła się. - Nigdy nie piliśmy szampana.

- Czas najwyższy. Uczcimy znalezisko.

- Skąd znasz to słowo? - znowu się zdziwiła.

- Jakie słowo? „Znalezisko”? Słowo jak słowo. Uczcimy to i moją nową pracę. Ty wiesz, ile tam zarabiam?

- A co ty tam właściwie robisz i co to jest to „tam”?

- Już ci mówiłem. Pracuję u takiego jednego niewyobrażalnie bogatego gościa. Jestem kimś w rodzaju jego prywatnego kierowcy.

Dzisiaj dostałem zaliczkę i zobacz, ile sobie nowych ciuchów kupiłem - mówiąc to, pokazał dziewczynie rzeczy, które dostał od kochanki. - Prawda, że superoskie?

- Prosiłam cię, żebyś nie używał takich słów.

- Przecież są super.

Katarzyna spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Popatrz na te spodnie. I na te. Takiej ilości džinsów w życiu nie miałem.

- Liczby. Dżinsy są policzalne.

- Musisz się czepiać? Nie kłóćmy się. Wypijmy szampana, a potem... - obiecująco zawiesił głos.

- Boli mnie głowa. Nie czuję się najlepiej - usłyszał znajomy tekst i zobaczył plecy Katarzyny wychodzącej do kuchni. - Ty wiesz, co mi się dzisiaj śniło? Śniło mi się, że leci na mnie wielkie karo, w dodatku kantem. Przecięłoby mnie na pół, gdybym się nie obudziła.

- Musisz przestać chodzić na tego cholernego brydża, psuje nasz związek - powiedział tonem zawiedzionego kochanka do pleców dziewczyny, a w myślach zatarł ręce z zadowolenia, bo pomimo najszczerzych chęci, tym razem nie podołałby swym męskim obowiązkom. A może po prostu nie miał na to ochoty?

Nie było to takie głupie przypuszczenie, bo po tym, co przeżył z Jolą, seks z Zielonym Jabłuszkiem wydał mu się czymś w rodzaju nie najlepszego piwa po najlepszym koniaku. Byłby wprawdzie czymś swojskim, ale jakoś za nim w tej chwili nie tęsknił. Co innego

Jolanta Nowak - wystarczyło, że o niej pomyślał, a już czuł się gotowy do najdziwniejszych eksperymentów. W dodatku - wszystko na to wskazywało - on najwyraźniej znaczył dla niej co najmniej tyle samo. To, co powiedziała przy pożegnaniu dawało w każdym razie wiele do myślenia. Możliwe nawet, że się w nim zakochała. Wyraźnie z tym walczyła, ale widać było, że nie jest jej łatwo. Pewnie stąd te jej dziwactwa i niezbyt normalne zachowanie w sklepie. Czy jej mąż brał to pod uwagę? A czy on powinien mu powiedzieć o swoich spostrzeżeniach? Postanowił, że chwilowo wstrzyma się z tymi rewelacjami, bo w

końcu niekoniecznie musiał to wszystko zauważyć i niekoniecznie musi też mieć rację, i zaczął się zastanawiać nad swoim przyszłym postępowaniem.

Czy powinien zdać się na łaskę losu, czy raczej powinien przyjąć jakąś strategię? No, bo przecież nie chciałby, żeby Ryszard wyrzucił go na zbity pysk, co to, to nie! Po pierwsze straciłby kupę forsy, a po drugie...

- „Zaraz, zaraz - pomyślało mu się niespodziewanie - kupa forsy leży właśnie w koszu z brudną bielizną. Na razie nie do ruszenia, ale skąd Katarzyna ma o tym wiedzieć, skoro nawet tego szmału nie przeliczyła? Kupię prezent Joli. To powinno na niej zrobić wrażenie.

I lepiej trzymać z Ryszardem. Mówić mu o wszystkim, a wszystko będzie cacy.”

- O czym myślisz? - rozmyślania Pawła przerwała Katarzyna wracająca z kuchni.

- O tym, że teraz już nic nam nie przeszkodzi w byciu razem -

odpowiedział z fotela.

Postawiła przed nim kolację i uśmiechnęła się, ale tak jakoś...

Smutno?

- Dlaczego się nie cieszysz? - zapytał.

- Nie wiem. Jestem tym wszystkim zmęczona.

- Prześpij się z tym, a jutro obudzisz się w lepszym nastroju i z nowym spojrzeniem na świat - poradził jej, a w jego głosie była szczerza życzliwość.

- Pewnie masz rację. Kochany jesteś. Pościelisz łóżko?

Dlaczego nie miałby posłać? Zawsze to robił. W końcu byli jak małżeństwo. Wprawdzie niezbyt często i niezbyt udanie uprawiali seks... Może właśnie w tym byli podobni do małżeństwa, a przynajmniej do niektórych? Dlaczego z nią jest, skoro ich temperamenty są tak różne? Oprócz tego, że Katarzyna jest wyjątkowo zgrabną i ładną dziewczyną, ma w sobie coś takiego, co go przy niej trzyma.

Może po prostu ją kocha? Za co? Za nic, kocha się za nic.

- A ty nie kłudzisz się jeszcze? - zapytała.

- A ty nie jesz kolacji? - odpowiedział pytaniem, a potem wyjaśnił już na serio, też pytaniem: - O osiemnastej? Jeszcze trochę posiedzę. Może będę oglądać telewizję?

Włączył nawet telewizor, ale patrzył bez przekonania. O wiele bardziej zajmowały go wydarzenia ostatnich dni. W końcu tyle się wydarzyło... I historia z Ryszardem i Jolą, i teraz te pieniądze... Musiał zrobić sobie kawę, przegryźć kabanosem, zapalić papierosa.

A Katarzyna najspokojniej w świecie sobie spała.

„Jak ona może? - oburzał się. - Co ona ma w żyłach zamiast krwi? Fakt - ironizował. - Jej życie to w końcu banalna historia: każdy coś kiedyś znalazł, na przykład reklamówkę

pełną pieniędzy.

Dlaczego jestem z tą rybą? Bo kocha się za nic.”

„Idiota, po prostu idiota. Miejsca sobie znaleźć nie może... Włączył telewizor, ale wcale nie ogląda. Teraz idzie do kuchni; pewnie zrobi sobie kawę. Lepiej, żeby myślał, że śpię - nie chce mi się z nim gadać. Boże, jaka ja jestem podła... Powinam mu o wszystkim powiedzieć. Wygnałby mnie na zbity pysk. On mnie? Przecież jestem u siebie, to on nie ma gdzie mieszkać. Żeby tylko nie podbierał pieniędzy! On nie wie, że są policzone. Powinam od niego odejść.

Kabanos do kawy?! Ale go wzięło, już nawet nie myśli, co robi, już po nim. Zawsze był z niego wariat. A co powiedzieć o mnie? Wreszcie w czymś go przypominam - kombinuję i kręcę jak on. Po co ja z nim jestem? Jest przystojny, jak mało kto, ale charakterek... A ty masz lepszy? To Ryszard mnie do tego zmusił. Nie zwalaj na innych, nie musiałas przyjmować tych wszystkich łańcuszków, kolczyków, pierścionków... Nie musiałas się rozbierać. Nie musiałam.

Przyznaj, że to ci się podobało. Tak, czułam się jak księżniczka. To było takie inne... Było? Jest, nie zamierzam z tym skończyć. Na co liczysz? Może wreszcie się rozwiedzie z tą swoją jędzą? I ożeni z tobą? Chciałabyś? Może. Ona nie da mu rozwodu, a jak da, to wykończy was raz dwa. Tak powiedział Ryszard. Widocznie zna ją z jej najlepszych stron. Niezła z niej musi być jędza, skoro Ryszard tak bardzo boi się jej zemsty. A może kłamie? Bo niby, czemu miałby się ze mną żenić? Mówi, że mnie kocha. Pewnie każdej tak mówi. Teraz jestem tylko ja. Pewna jesteś? Tak. Może to dziwne, ale tak. Teraz pali - niech go diabli, przecież wie, że tego nie cierpię przed spaniem. Lepiej niech nie wie, że nie śpisz. Tak, lepiej niech nie wie.

W głowie mu się nie mieści, że wzięłam tę forszę. Jest tak zaślepiony mamoną, że o niczym innym nie myśli, tylko o tym, jak ją wydać.

Chyba nawet nie ma ochoty na seks. Nawet, gdyby miał, to wyglądam na taką chorą, że da mi spokój. Nie musisz udawać, naprawdę jesteś chora. Gorączkę mam chyba na pewno. A kto by to wszystko zniósł spokojnie? Nie nadajesz się do takich hecy. A do czego ja się nadaję? Nie nadaję się na dziewczynę takiego niewyżytego byczka jak Paweł, nie nadaję się na kochankę... A tu się mylisz, wszystko wskazuje na to, że na kochankę się nadajesz. Tak, Ryszard najwyraźniej jest mną zauroczony. A ty nim. To dlatego, że czuję, że robię na nim wrażenie i niczego nie muszę udawać, żeby tak było. Po prostu jestem sobą. A pieniądze trzeba policzyć i Paweł musi o tym wiedzieć, że są policzone. Jak go znam, to już dzisiaj

weźmie sobie trochę. Mogłam go nastraszyć jakąś mafią, albo czymś takim. Jeszcze by je spalił ze strachu i co wtedy? Sprawdzenie ile tego jest, powinno wystarczyć. Może poradzić się Ryszarda? Pomyśli, że jestem głupia i sama nic nie umiem wykombinować. A może mu chodzi o to, żeby Paweł zrobił mi awanturę o pieniądze, i żebym się z nim rozstała? Ale go nosi! Ale go nosi! I do kuchni, i do łazienki, i z powrotem, i kawa, i telewizor, i papieros... Zesra się zaraz! Taki ładny, taki przystojny, a zesra się. Boże, jaka ja jestem głupia!”

* * *

- Jakie plany szefie, gdzie jedziemy?

- Zaraz się dowiesz. Na razie jedź prosto.

Ryszard Nowak miał zamiar odwiedzić swojego dawnego pracownika, niejakiego Roberta Lewińskiego, a przy okazji pogadać z kochankiem swojej żony i - jeśli będzie trzeba - sprowadzić go na właściwe tory.

- Łatwo jej z tobą poszło? - zapytał chłopaka po chwili. - A może powinienem zapytać, czy tobie łatwo poszło z nią? Kto kogo uwiódł? Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się bawicie.

- Ja nie narzekam - odpowiedział tamten i nie zrobił tego jakoś specjalnie uprzejmie.

Ryszard przywołał go do porządku z tylnego siedzenia:

- Przypominam ci, że to ja ci płacę i wolałbym, żebyś był trochę uprzejmiej.

- Przepraszam.

- Teraz skręć w lewo.

- Gdzie jedziemy?

- Dowiesz się na miejscu. Więc jak?

- Chce pan znać szczegóły, czy...

- Wystarczająco ogólniki.

- Powiem tak - zaczął Paweł, ale Ryszard Nowak znowu mu przerwał:

- Teraz na skrzyżowaniu prosto.

- Więc tak - powrócił do przerwanej myśli Paweł. - Pana żona jest...

- Wiem, jaka ona jest.

- W takim razie wie pan wszystko.

Ryszard wiedział wiele, ale nie wszystko. Przede wszystkim nie wiedział, czy jego żona powiedziała kochankowi prawdę. Nie wiedział też, czy nabrała jakichś podejrzeń co do

zwolnienia Grzegorza.

Była do niego przywiązana i z pewnością nie spodobało jej się to, że został zwolniony. Ale planując to, co planował, potrzebował na miejsce Grzegorza kogoś, komu mógłby ufać on, a nie jego żona.

Dlatego jechał teraz do Roberta Lewińskiego, którego wyrzucił swego czasu z pracy za kradzież znacznej sumy pieniędzy. Było to w początkowym okresie jego kariery finansowej, kiedy część gotówki trzymał w firmowym sejfie. Lewiński został wtedy bez środków do życia, ale i tak mu wtedy dziękował, że nie powiadomił policji, a jedynie go zwolnił. Oczywiście na wszelki wypadek Ryszard nie zniszczył dowodów kradzieży wskazujących jednoznacznie na Roberta. Coś takiego zawsze mogło się przydać.

- Nie interesuje mnie sposób - mówił teraz do Pawła. - W jaki to robicie i jak często, ale chcę wiedzieć, czy moja żona na przykład nie zakochała się w tobie; czy czegoś nie knuje przeciwko mnie i tym podobne.

- Nie sądzę, by taka kobieta jak pańska żona mogła zakochać się w kimś takim jak ja. Pieprzymy się ostro i to wszystko.

Ryszardowi śmiać się chciało z obcesowości chłopaka, ale wolał udawać kochającego męża.

- Zabraniam ci w ten sposób o niej mówić - powiedział dość ostrym tonem.

- W porządku - zgodził się z nim Paweł. - Już będę grzeczny. - A po chwili dodał: - Nie sądziłem, że szef robi interesy w tak podłej dzielnicy.

- Skąd wiesz, że jest podła?

- Bo mieszkam tu.

- Zatrzymaj się tutaj, na tym parkingu po lewej.

Kiedy samochód stanął, Ryszard Nowak powiedział:

- I coś ci jeszcze powiem: musi być ci z nią rzeczywiście nieźle, skoro zaczynasz trzymać z nią, a nie ze mną.

I wyszedł z samochodu, w którym Paweł został z rozdziawioną gębą.

Prezes Nowak był z siebie zadowolony. Był pewien, że Paweł pójdzie po rozum do głowy i przestanie się stawiać. Mógł teraz spokojnie realizować swój plan. Nie wiedział tylko, czy trafi do mieszkania

Roberta. To było już tak dawno... Dokładnego adresu nie pamiętał;

jedynie numer domu i te charakterystycznie obdrapane drzwi klatki schodowej, a potem nie lepsze od mieszkania. Pół dzielnicy tak wyglądało.

„Czy to nie te?” - zapytał sam siebie po chwili, gdy zobaczył znajome drzwi, a usta ułożyły mu się w uśmiech.

Po chwili naciskał przycisk domofonu. Ten zamiast włączyć w odpowiednim mieszkaniu dzwonek, spadł na ziemię. Pchnął drzwi, a te uchyliły się lekko. Teraz musiał po prostu wchodzić po schodach tak długo aż zobaczy widok znajomy ten. Na szczęście wystarczyło wejść na drugie piętro. Zapukał do drzwi na wprost schodów i czekał.

Po chwili jakiś kobiecy głos powiedział:

- Proszę.

Wszedł do środka i zapytał:

- Przepraszam, czy zastałem pana Roberta Lewińskiego?

- Robert! - krzyknęła ta sama kobieta, która zaprosiła go do środka. - Jakiś pan do ciebie. - Po czym zmierzyła Ryszarda podejrzanym wzrokiem, jakby to on, a nie ona potrzebował na gwałt czystych ubrań, mydła, szamponu i fryzjera. Trzeba przyznać, że pasowała do starej boazerii, którą pokryte były ściany przedpokoju. Razem tworzyli dobrany zespół: pani i jej dom.

Robert najwyraźniej jeszcze przed chwilą był w ramionach Orfeusza, bo do pokoju wtoczyła się postać z kupą „siana” na głowie i o niezbyt przytomnym spojrzeniu. Ktoś o słabym wzroku mógłby go pomylić ze strachem na wróble, ale prezes Nowak pomimo tego, że nosił okulary, z miejsca rozpoznał w nim swojego dawnego pracownika.

- Dzień dobry, Robercie. Poznajesz mnie?

- A jakżem pewnie, że poznaję - odpowiedział tamten i zaraz potem potężnie czknął, następnie przeczesał „siano” na głowie i dodał:

- Co pana do mnie sprowadza?

- Możemy porozmawiać gdzieś spokojnie?

- Jasne, proszę na pokoje. Matka, zrób nam coś do picia.

- Ja dziękuję! - Ryszard powiedział szybko w drodze do pokoju wskazanego przez Lewińskiego. - Nie mam zbyt wiele czasu - dodał trochę wolniej i ciszej. - Poza tym lepiej będzie jak skupimy się na tym, z czym do ciebie przyszedłem.

W pokoju, w którym znalazł się po chwili, czas zatrzymał się kilkadziesiąt lat temu. Modna niegdyś meblościanka dzisiaj lepiej wyglądałaby w muzeum, tak samo fotele, na których usiedli z Robertem, oraz ława, która ich od siebie oddzielała. Jediną nowszą rzeczą, jaka była w pokoju, był trójwymiarowy obraz przedstawiający dwa młode lwy. O dziwo, chociaż niewątpliwie był współczesnym chińskim wyrobem, pasował do reszty pamiętającej czasy PRL, a zwłaszcza do dużej szklanej ryby stojącej na telewizorze.

- Ja cię sunę - w słowach Roberta lustrującego Ryszarda był podziw, uznanie i zdziwienie. - Aale szef ma klasę! I ta gadka - teraz pewnie bez takiej gadki nijak na salonach biznesowych? Ale pan to sobie wszędzie da radę, wystarczy spojrzeć.

- Robert. - Ryszard postanowił zignorować wazelinę, jaką raczył go rozmówca. - Przyszedłem do ciebie, aby zaproponować ci pracę.

- Mnie?! - zdziwienie Roberta było większe od słonia. - Ktoś taki jak pan proponuje pracę komuś takiemu jak ja?!

- Będę szczerzy, potrzebuję kogoś zaufanego.

- No to już pan nie musisz więcej szukać.

- Tu masz pieniądze na fundusz reprezentacyjny, że tak powiem, a jutro chcę cię widzieć o dziewiątej rano pod tym adresem.

- Już po wizytówce widać, z kim ma się do czynienia.

- No to do jutra - odpowiedział na to Ryszard i wstał z fotela nieco się dziwiąc, że się do niego nie przykleił.

Gdy wyszli do przedpokoju, Lewiński powiedział niepewnie, jakby się wstydząc:

- Panie Nowak, męczy mnie jedna sprawa. Pamięta pan? Nie byłem wobec pana w porządku.

- Ludzie się zmieniają, Robercie - odpowiedział Ryszard, uśmiechając się najbardziej szczerze jak tylko w tej chwili potrafił. - Ludzie się zmieniają i trzeba dać im szansę.

- Dziękuję. - Mężczyzna wydawał się być szczerze wzruszony. - Bardzo panu dziękuję. I obiecuję, że więcej pana nie zawiodę.

Ryszard Nowak wiedział, że następnego dnia zobaczy u siebie w biurze zupełnie innego Roberta niż tego sprzed kilku chwil. Pamiętał, że potrafił być miłym, czystym i godnym zaufania człowiekiem, a przynajmniej potrafił takiego udawać, szedł więc do samochodu bardzo zadowolony.

Gdy usadowił się na tylnym siedzeniu, Paweł zapytał:

- Dokąd teraz, szefie?

- Wracamy do firmy - odpowiedział i uśmiechnął się w duchu, bo w głosie i w postawie chłopaka było coś, co mówiło: zmiękłem, szefie, już będę grzeczny i rozmowny.

- Interesy się udały? - Paweł nie przestawał się uśmiechać.

- Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

- To świetnie.

- Nie rozumiem twojej radości. W końcu to moje interesy, nie twoje.

- Jest pan moim szefem, a lepiej mieć szefa, któremu się wie, no nie?

- Święta prawda, święta prawda. Czy dojrzałeś już do tego, by być ze mną szczerym w sprawie mojej żony?

Chłopak oblał się rumieńcem i odrzekł:

- Nie ma o czym mówić. Do tego, co już mówiłem, mogę dodać tylko tyle, że wcale o panu nie rozmawiamy. Powiedziała tylko, że nie jest pan zazdrosny, i że nie mam się czego obawiać. Chodziło jej o naszą ewentualną wpadkę.

- Co jeszcze?

- Czasami jest dziwna. Wygląda na to, że mnie hartuje.

- Nie rozumiem.

- Na zmianę głaszcze mnie i daje klapsa. Czasami udaje obrażoną, dąsa się. Trwa to już kilka dni.

- Powinieneś ją wtedy udobruchać. - Ryszard zaśmiał się z dwuznaczności tego, co powiedział, a potem zapytał: - Podoba ci się to?

- Udobruchiwanie?

- Nie przesadzaj.

Ton głosu Ryszarda znowu nie był miły, więc Paweł przełknął ślinę i powiedział:

- Mam wrażenie, że ona nie może się zdecydować, czy ma mnie traktować jak szofera czy przyjaciela.

- A ty jakbyś chciał?

- Nie chcę kłopotów. Już na pierwszym naszym spotkaniu powiedziałem panu, że kłopoty to nie moja specjalność.

- I tak trzymaj. Wyglądało na to, że jesteś jednym z tych młodych i niedoświadczonych smarkaczy, których kobieta taka, jak moja żona zjada na śniadanie, a tymczasem nie dajesz sobie w kaszę dmuchać.

- Tak pan myśli?

- Tak, tak właśnie myślę. I lepiej żebym się nie mylił, bo chyba lepiej mieć pracę i całe serce, niż złamane serce i pustą kieszeń, prawda?

- Nie najlepiej pan myśli o swojej żonie - westchnął chłopak.

- Nie zabrzmiało to jak pytanie.

Paweł najwyraźniej nie wiedział, jak teraz zareagować, ale ponieważ Ryszard zaczął się śmiać, on też się uśmiechnął.

- Byłbym zapomniał. Moja żona chce - mówiła mi o tym jakiś czas temu - żebym ci dał samochód z komórką do domu - co ty na to?

- Byłoby niezłe, ale co będzie jak mi go ukradną? W końcu to luksusowy wózek, a ja

mieszkam w takiej dzielnicy, że lepiej nie mówić. Zresztą sam szef przed chwilą widział. Praga to Praga.

- Więc może weźmiesz tylko telefon? - zaproponował.

- Ale coś z nią od początku jest nie tak, działa tylko z zestawem głośnomówiącym.

- A swojej komórki nie masz? Albo stacjonarnego?

- Komórkę zgubiłem i jeszcze nie zdążyłem kupić sobie nowej. - Chłopak odparł z lekkim zawstyżeniem, jakby kłamał. - A na stacjonarny wolałbym, żeby pani Jolanta nie dzwoniła, bo mogłaby odebrać moja dziewczyna i miałbym suszenie głowy przez tydzień.

- No trudno. W takim razie zaczekam, aż kupisz sobie komórkę. Albo nie kupuj, dostaniesz służbową.

Przez cały czas powrotnej drogi prezes Nowak siedząc na tylnym siedzeniu samochodu obserwował twarz Pawła w lusterku wstecznym, a to, co widział i słyszał coraz bardziej mu się podobało. Tymczasem jego żona czekała na nich w biurze i odczuwała coraz większy niepokój, chociaż nie widziała tej coraz bardziej zadowolonej miny męża.

- Witaj, kochanie - przywitał ją mąż, wchodząc do gabinetu po powrocie od Lewińskiego.

- Gdzie Paweł? - zapytała.

- Tam, gdzie jego miejsce, w samochodzie - odpowiedział, siadając w fotelu za swoim wielkim biurkiem. - Czy coś się stało?

- Nie udawaj. Paweł miał być do mojej dyspozycji, nie twojej.

- Nie zapominaj - tłumaczył Ryszard żonie, zapalając papierosa.

- Że on nie wie, że ty wiesz, że ja wiem. W związku z tym muszę od czasu do czasu wypytywać go o to i owo, żeby grać troskliwego męża.

- Ciekawa jestem, co takiego mu wmawiasz podczas tych waszych odpraw.

- Bardzo dobre słowo. Istotnie nasze spotkania są podobne do odpraw i narad dyrektorskich.

- Chyba nie powiesz mi, że on też jest dyrektorem?

- Gratuluję poczucia humoru - zaśmiał się.

- Co z samochodem i telefonem? - przerwała mu. - Miałeś mu je dać do dyspozycji.

- Samochodu nie mogę mu dać, telefon wkrótce dostanie. Swoją komórkę zgubił, a na stacjonarny nie życzy sobie z powodu dziewczyny. Zazdrosna.

- Więc mówisz, że czeka w samochodzie? - upewniała się.

- Nie wiem, czy czeka. - Prezes odpowiedział złośliwie się uśmiechając. - Ale tam

właśnie jest.

Jolanta wstała i wyszła z gabinetu męża odprowadzana jego spojrzeniem, uśmiechem oraz dymem papierosowym, który wypuścił w kierunku jej pleców, jakby chciał nim ją popchnąć. A miał ku temu powód: chciał zostać sam, bo za dziesięć minut miał umówione spotkanie z detektywem Markiem Krokusem.

* * *

Wieczorem przy kolacji Ryszard Nowak powiedział do swej żony Jolanty:

- Masz apetyt, tylko pozazdrościć. Nie boisz się niestrawności?

Nie powiedział tego złośliwie, ale ona i tak nie była tą uwagą zachwycona.

- Masz na myśli kolację, czy coś innego? - zapytała.

- Kolację, rzecz jasna. W czym innym zachowujesz godny podziwu umiar.

- Nie bądź złośliwy.

- Wolałbym tylko, żeby służba nie musiała chodzić po domu z zatkniętymi uszami.

- Więc do tego zmierzałeś... Już ci donieśli? Obiecałeś, że będziesz takich zwalniał!

- I zwolniłem.

- Kogo? - Jola zesztyniała od środka, a na zewnątrz prawie tego nie dała sobie poznać i dalej spokojnie jadła kolację.

- Grzegorza.

- Jemu mogłeś wybaczyć - powiedziała sucho.

- On nie wybaczył tobie.

- Nie rozumiem. - Przestała na chwilę jeść. - Czego miałby mi nie wybaczyć?

- Powiedział. - Ryszard tłumaczył z satysfakcją. - Że dłużej tego nie zniesie. Że jego serce nie jest sztuczne, że w żyłach ma krew i takie tam.

- W takim razie dobrze się stało, że już go nie ma. Pozwolisz, że pójde teraz do siebie?

- Nie smakuje ci kolacja?

- Muszę dbać o linię, mam dla kogo. - Jola odgryzła się mężowi, a ten udał, że tego nie zauważył i życzliwie powiedział:

- Śpij dobrze, kochanie.

- Wzajemnie, kochanie.

* * *

Kiedy Ryszard poinformował żonę, że zwolnił Grzegorza, w jej głowie zadzwonił cichutki alarm. Nie była przekonana, czy jej mąż zwolnił Grzegorza rzeczywiście z powodu, który jej podał. Prawdę mówiąc szczerze w to wątpiła. Może chodziło o to, że spośród całej służby właśnie z nim miała najlepszy kontakt?

Był jej dawnym nauczycielem ze szkoły; uczył angielskiego. Gdy go odszukała i zaproponowała pracę za wynagrodzenie kilkukrotnie większe niż jego nauczycielska pensja, zgodził się z ochotą. Lubiła go, a on lubił ją. Czuła, że może mu ufać, a teraz go nie ma...

„Ciekawe, co też to może oznaczać? - zastanawiała się. - Może

Ryszard chce na jego miejsce wprowadzić jakiegoś swojego zaufanego człowieka? Może ma to związek z zakładem?”

O tym wszystkim Jolanta Nowak myślała biorąc kąpiel i kładąc się do łóżka. Teraz, kiedy już w nim leżała, zaczęła zastanawiać się nad jeszcze jedną sprawą - nową kochanką jej męża.

Czy to wszystko, co teraz się dzieje, ma jakiś związek z tą smarkatą? Jeśli tak, to znaczy, że ten stary błazen się zakochał. Może poprosić Pawła, żeby go śledził? A jeśli wpadnie? Jego problem.

Wygada wszystko jak na spowiedzi. A czy nie lepiej powiedzieć

Pawłowi prawdę? Po pierwsze nie uwierzy, po drugie lepiej niech nie wie - nigdy nie wiadomo, z kim by wtedy trzymał. Z pewnością

Ryszard od czasu do czasu będzie robił coś w rodzaju przesłuchania i ciekawe, co wtedy Paweł mu naopowiada? Na razie nie ma się czego obawiać. A może jednak powinna powiedzieć mu prawdę i przekabacić na swoją stronę? Miałyby super szpiega w obozie Ryszarda.

Bezpieczniej będzie, jeśli uda, że nic nie wie. A jeśli Ryszard wszystko wygada Pawłowi? Tak, ten wtedy może się wściec i zemścić się na niej. Co robić? Co więc robić?

Była w przysłowiowej kropce. Z jednej strony może intryg, w jakim się teraz pławiła, było jej ulubionym żywiołem, z drugiej to wszystko zaczynało się komplikować do stopnia, nad którym przestawała pomału panować.

W końcu doszła do wniosku, że na razie nie powie Pawłowi ani o kochance Ryszarda, ani o tym, że romans jej i Pawła to wspólne dzieło jej i jej męża. Chwilowo postanowiła zadowolić się urabianiem kochanka, pilnym obserwowaniem męża i... wizytą u Grzegorza.

* * *

Grzegorz Bohdański mieszkał w rejonie Pragi tylko nieco spokojniejszym od tego, w którym mieszkał Robert Lewiński. Kilkadziesiąt lat temu wybudowano tam kilka bloków dla nauczycieli.

Różniły się od innych tym, że do każdego z mieszkań wchodziło się prosto z dworu. Do tych na parterach pokonawszy kilka schodków, a do tych na piętrach z klatek schodowych, które miały tylko dachy, co upodobało je do tarasów. Joli te bloki kojarzyły się ze slumsami, ale ich mieszkańcy od początku byli dumni z nietypowego dla tego osiedla rozwiązania. Także Grzegorz był bardzo zadowolony ze swojego mieszkania na pierwszym piętrze.

- Dzień dobry, panie profesorze - powiedziała do niego, gdy po trzech dzwonekach otworzył jej drzwi. Przez chwilę stał w nich wpatrzony w próg i nic nie mówił. Wyglądał na wzruszonego.

I było tak w istocie. Po pierwsze dlatego, że już dawno nikt go tak nie nazywał, a po drugie stała przed nim kobieta, z którą łączyło go wiele wspomnień. W końcu ocknął się jednak z zamyślenia, podniósł wzrok i powiedział:

- Proszę, niech pani wejdzie.

Zaprowadził ją do swojego jedyne go pokoiku, który był mały i zagracony do granic przyzwoitości. Wszędzie wałały się książki i czasopisma, spod których tu i ówdzie wystawał kawałek brudnego talerza. Profesor posadził Jolę w fotelu, z którego uprzednio zrzucił na podłogę stos czasopism i zapytał:

- Napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję. Przyszłam tylko na chwilę. I proszę cię: mów mi po imieniu, jak dawniej.

- Nie wiem, czy to jeszcze potrafię. Ale spróbuję. Może kieliszek koniaku?

- Chętnie.

Profesor wyjmował z barku napoczęta butelkę koniaku i dwa kieliszki, w tym czasie Jola mówiła:

- W ciekawym miejscu profesor mieszka. Te tarasy, z których wchodzi się wprost do mieszkań są intrygujące.

- Prawda? - potwierdzająco zapytał Grzegorz. - Wyglądają jak półki, co jeszcze

bardziej upodabnia ten blok do mrowiska.

- No cóż... - odparła Jola. - To nie są półki z najwyższej półki, zgodzi się pan ze mną panie profesorze?

- Cóż począć - zgodził się profesor.

- Nie chciałbyś mieszkać w lepszym miejscu?

- A skąd miałbym na to wziąć pieniądze, droga Jolu? Zwłaszcza teraz, gdy... - Grzegorz zawiesił głos. - No wiesz.

- No wiem. Tak mi przykro, tak mi głupio...

- Niepotrzebnie, moje dziecko, niepotrzebnie. Jestem ci wdzięczny, że pozwoliłaś mi dorobić do tej mojej śmiesznej emerytury belferskiej. A że się to skończyło? Kiedyś musiało. Miło mi, że przysłałaś. Byłaś moją ulubioną uczennicą.

- A profesor moim ulubionym nauczycielem. Rozmowy z profesorem zawsze wiele mi dawały. Zawsze po nich nauczyciele lepiej na mnie patrzyli. Prawdę mówiąc tylko dzięki temu skończyłam szkołę.

Profesor uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział. Trochę się wstydził swojej dawnej słabości do Jolanty, wtedy jeszcze nie Nowak.

- Wracając do twojego zwolnienia... - zaczęła ona, ale profesor jej przerwał:

- Dajmy temu spokój. Naprawdę nie mam o to zwolnienie do nikogo pretensji.

- Przypuśćmy. Powiedz mi jednak: nie domyślasz się, dlaczego mój mąż cię zwolnił?

Co powiedział?

- Proszę cię, Jolu... Traktujmy ten temat jako zamknięty rozdział pewnej historii. Nie rozdrapujmy ran.

Jola nie była zadowolona z tej odpowiedzi, ale wiedziała, że dalsze naciskanie Grzegorza nic nie zmieni. Musiała go podejść z innej strony.

- Skoro mówimy o rozdziałach: jak mają się sprawy, pisze profesor?

Profesor zaśmiał się sztucznie i rzekł:

- Tu też nie ma o czym mówić. Piszę, oczywiście, a jakże, ale nic z tego nie wynika.

- To się zmieni, na pewno się zmieni. Trzeba mieć nadzieję.

- W moim wieku to deficytowy towar. Ostatnio napisałem pewne opowiadanko i - jak zwykle - odrzucono mi je. Ale: bądźmy szczerzy, ambitna literatura to to nie była, a z rzeczy lekkich sprzedają się teraz jedynie opowiadanka do babskich czasopism, ewentualnie kryminały. Tymczasem ja napisałem opowiadanie o kosmitach wyrabiających z ludzkich części pamiątki. Z dłoni popielniczki, z czaszek kule bilardowe...

Jola nie wiedziała, co na to powiedzieć, więc zapytała:

- A książki? Książki chyba jakieś wydają?

- Jasne, że wydają. Niedużo, ale wydają.

- Więc?

Grzegorz najwyraźniej z czymś walczył. Widać to było w każdym z jego ruchów, a zwłaszcza ze sposobu, w jaki wypił następny kieliszek koniaku. To najwyraźniej mu pomogło, bo powiedział:

- Jolu, nikomu o tym nie mówiłem, ale tobie powiem. Pracuję nad czymś wielkim. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale to prawda. To będzie wielka rzecz.

Gdy to mówił, wyglądał trochę jak spiskowiec a trochę jak szalony wynalazca. Jola założyła nogę na nogę tak, żeby pokazać spory kawałek uda i pomyślała: „Teraz już jesteś mój, profesorku. Teraz możesz gadać nawet do północy, a ja dołożę wszelkich starań, żeby nie zasnąć.”

Profesor łypnął na nogi Jolanty teraz Nowak, przełknął ślinę i powiedział:

- Droga Jola, kochana, dobra Jola, taka jak dawniej.. Twój stary profesor pisze rzecz, która - jeśli to mu się uda - będzie wielka. Jak dobrze pójdzie, będziesz dumna ze swojego profesora.

Już na wspomnienie swojej „wielkiej rzeczy” Grzegorz podniecił się nie wąsko, a teraz, gdy zobaczył słynne udo Joli, zaczął nerwowo spacerować po pokoju. Ona naląła sobie koniaku, wypła jednym haustem i powiedziała:

- Muszę to usłyszeć. Myśl, że będę pierwsza, która to usłyszy, podnieca mnie i... Wiem, że to brzmi śmiesznie... I wzrusza.

- Jola, moja mała Jola... - rozczulił się profesor, który coraz bardziej przypominał skrzyżowanie pijanego naukowca z erotomanem. - Nawet nie wiesz, że jesteś w jednej z moich książek. Nie wydanej, niestety.

- Miło mi. Miło mi, że jestem w tej książce, a nie, że nie wydanej, oczywiście. Czy to ta „wielka rzecz”?

- Nie, nie... Jeśli chcesz, dam ci ją do przeczytania - odpowiedział i podbiegł do biurka. Z szuflady wyjął duży plik kartek i podał go Joli.

- Przeczytam na pewno - skłamała. - Ale wolałabym teraz usłyszeć o tym wielkim projekcie. Mam przeczucie, że to coś nietuzinkowego. Wypijmy za powodzenie tego przedsięwzięcia.

Profesor wypił chętnie, a potem zaczął nerwowo chodzić po pokoju. W końcu miał opowiedzieć nie o pogodzie za oknem, lecz o największym ze swoich literackich projektów. A mówił o nim trochę jak matka o ukochanym dziecku, a trochę jak astronom o świeżo odkrytej

planecie. W sumie wyglądał jak samonakręcająca się bomba zegarowa.

Jola w tym czasie pokazywała już nie tylko swoje uda, ale i całkiem spore połacie piersi, a także mocno się starała, by w jej oczach było jak najwięcej podziwu dla profesora.

- Czy zauważyłaś taką prawidłowość, że najwięksi artyści zostają docenieni dopiero po śmierci? Żyje artysta, żyje - biednie i skromnie najczęściej - aż tu nagle umiera w jakiś spektakularny sposób.

I wtedy dopiero się zaczyna! Ale po co mu potem ta cała histeria tłumów? I nieważne, czy chodzi o piosenkarza, aktora, czy pisarza.

Chodzi o zasadę - umrzesz, to cię docenią. Co więc robi bohater mojej przyszłej książki? Finguje samobójstwo. Rozumiesz? Finguje.

Zostawia po sobie olbrzymią spuściznę literacką i spala się wraz z całym domem. Im większy pożar, tym lepiej. Cała rzecz jest sprytnie obmyślana z jego współnikiem, który ma mnóstwo pieniędzy i duże doświadczenie w reklamie. Rozumiesz? Dzieła naszego samobójcy wychodzą w pewnych odstępach czasu, kręci się też filmy na ich podstawie, pisze o nich recenzje i tak dalej. Jakież pole do popisu! W takiej książce toczyłaby się normalna akcja, ale można by też umieścić dzieła naszego bohatera, recenzje tych dzieł, artykuły prasowe, scenariusze filmów, listy... Recenzje mogłyby być prawdziwych krytyków. Słowem: potęga! Do tego wątki: romansowy, kryminalny i moralny. Samobójca chce bowiem - po odniesieniu sukcesu - wrócić do żywych. Chce korzystać pełną piersią ze sławy i pieniędzy, które mu się przecież należą. Wspólnik się nie zgadza.

Pisarz mimo to ujawnia się i? I zostaje uznany za wariata, który tak dalece utożsamił się ze swoim ulubionym pisarzem, że nie ma innego wyjścia jak umieścić go w domu wariatów. Jest jeszcze dziennikarka, która wszystko odkrywa, i w której kocha się i pisarz i jego współnik. Jest też policjant, który wietrzy podstęp i na własną rękę prowadzi śledztwo. Cała czwórka mogłaby być przyjaciółmi z dzieciństwa i powieść mogłaby się zaczynać jakąś sceną z tamtego okresu. Ta scena ukazywałaby ich takimi, jakimi będą w przyszłości. Bo każdy z nas już w dzieciństwie nosi załóżek siebie za lat kilkadziesiąt. No więc byłaby to wielka powieść! Olbrzymia! A w środku: opowiadania, krytyki literackie, listy... Można by do współpracy zaprosić krytyków literackich... Mówiłem już o tym? Mówiłem. Nie mówiłem ci tylko o jednym - tu profesor ściszył głos i ukląkł przed

Jolantą Nowak - nie wiem, czy napisać tę książkę, czy wprowadzić pomysł w życie. To drugie może okazać się lepszym rozwiązaniem.

Widzisz tę szufladę? Pełno w niej moich nie wydanych opowiadań i książek. Jolu, bądź moim współnikiem. Masz mnóstwo pieniędzy i talent do robienia interesów. Razem

zawojujemy świat!

„Zwariował - pomyślała Jolanta Nowak. - Stary zwariował.”

Głośno jednak powiedziała:

- Tak, to jest jakiś pomysł i to całkiem niegłupi.

Profesor wstał i wykrzyknął:

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz! Wykorzystamy twoje pieniądze i znajomości. Ja ze swej strony oddaję naszej sprawie cały mój talent!

- Ale najpierw, drogi Grzegorzu - tłumaczyła jak dziecku. - Muszę zakończyć pewne sprawy. Muszę wiedzieć, dlaczego zwolnił cię mój mąż. Gdy się z tym uporam, będziemy mogli spokojnie zająć się twoim genialnym pomysłem.

- W takim razie od razu możemy się nim zająć, bo twój mąż zwolnił mnie za, cytuję: „nieumiejętność trzymania języka za zębami” - wesoło zawyrokował profesor. - Musimy, droga współpracowniczko, wszystko omówić... Po kolei, ze szczegółami i dokładnie. Musimy po prostu przygotować biznesplan. A najpierw wypić za jego powodzenie. Pomysły trzeba podlewać jak kwiaty.

Jola nadstawiła kieliszek i zapytała:

- Tak powiedział, naprawdę?

- Co? Aha, ty wciąż o twoim mężu... - odparł Grzegorz nalewając sobie i jej kolejną porcję alkoholu. - Nie było to zbyt miłe, przyznaję - mówił, patrząc ze smutkiem w kierunku wstającej z fotela Joli.- Ale niepotrzebnie robisz z tego taki problem. Posadź z powrotem swój zgrabny tyłek, a opowiem ci jeszcze to i owo.

- Na temat twoich książek, czy szalonych planów? Za jedno i drugie serdecznie dziękuję, muszę już iść.

Profesor najwyraźniej coś gorączkowo rozstrzygał w swojej głowie, a to, co z tego wyszło, wystraszyło go chyba dość porządnie, bo dalsze słowa wypowiedział ze strachem i z niejakim zdziwieniem, że w ogóle je wypowiada.

Niechaj każdy zamieni się w słuch

Bo starych ballad wskrzeszony zostanie duch

Strzelają pioruny, niebo złowrogo błyska

Małpa małpę po kryjomu iska

Dzwony na trwogę biją

Brudasy w kałużach się myją

Cały powiat już o tym wie

Że śmierć do kogoś galopem mknie

Jolanta Nowak zawróciła od drzwi i z powrotem usiadła w fotelu.

Prawdę powiedziawszy nie usiadła, lecz zwała się na niego jak kłoda.

- Mów, co wiesz - powiedziała nieswoim głosem. - Tylko proszę, prozą.

- Nie wiem nic, domyślam się wiele. Gdybym miał pewność, od razu bym ci powiedział. Ja jednak jedynie się domyślam. Nie chcę na nikogo rzucać niesprawdzonych podejrzeń.

- Więc mów, do cholery, czego się domyślasz.

I Grzegorz powiedział. Zaczął od tego, że Jola ma szczęście, że się upił, i że ma do niej taką słabość - tu zapuścił żurawia w jej dekolt - bo z panem Ryszardem strach zadzierać, a potem ze skrucną wyznał, że podsłuchiwał rozmowę Ryszarda z nowym służącym. Wynikało z niej jasno i niezbicie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego, ktoś zginie; że przyjedzie policja, i że trzeba będzie zeznawać. Nowy służący przyrzekł, że powie wszystko, co mu pan prezes każe.

Żadnej z myśli, które tłukły się teraz w nagle za ciasnej głowie

Joli Nowak nie dałoby się opisać poprawnym zdaniem. Wprawdzie dałoby się tam odróżnić pojedyncze słowa - takie jak: ślepaki, naiwność, strzał, śmierć, przechytryć, szok, nienawiść - lecz zdania nie dałoby się z tego ułożyć żadnego. Siedziała sztywna i nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Na szczęście przeszło jej to w porę, bo ręka Grzegorza właśnie niebezpiecznie zbliżyła się do miejsca, gdzie kończyło się jej udo.

- Łapy przy sobie, dziadku - powiedziała ostro i strzeliła profesora po rękach. Ten zaskowyczał przesadnie i zaczął przeproszać i całować jej stopy. Odtrąciła go i wyszła na dwór. Bardziej potrzebowała tlenu niż umizgów swojego byłego nauczyciela, zwłaszcza pijanego.

* * *

Ledwie wyszła od Grzegorza, od razu skontaktowała się z Pawłem. Jechała teraz z nim i obserwowała go dyskretnie. Zastanawiała się, co dzieje się pomiędzy nim a jej mężem, a także nad tym, co powinna teraz zrobić, kiedy już poznała prawdę o zakładzie.

Być może jej mąż powiedział wszystko Pawłowi. Mogło tak być, ale nie musiało. Już

prędzej - tak myślała - ostrzegł go, albo zastraszył. Ostrzegł przed nią, zastraszył sobą i swoimi wpływami. Musiał dobrze wypaść, bo rozmawiając z nią ostatnio był w znakomitym nastroju i był pewny siebie. Ona musi teraz przede wszystkim wydobyć z chłopaka, o czym rozmawia z Ryszardem. Wszystkiego pewnie jej nie powie, ale musi się dowiedzieć, czy chłopak poznał już prawdę. Jeśli nie - ona mu ją zdradzi. A ile powinna mu powiedzieć? To zależy od tego, jak daleko gotowa jest się posunąć, a tego jeszcze sama nie wiedziała.

Po usłyszeniu od profesora prawdy o zakładzie, w pierwszej chwili wystraszyła się porządnie, potem wściekła się na Ryszarda, a na koniec pomyślała, że może to wszystko wykorzystać i... pozbyć się męża. Tylko, czy to jej się uda? To zależało od tego po czyjej stronie stanie Paweł.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedziała do niego, gdy znaleźli się w pobliżu niedużego, ale gustownie urządzonego zajazdu.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Nie błądź.

Zajazdów takich jak ten pojawiło się ostatnio w kraju dziesiątki, jeśli nie setki. Każdy z nich udawał wielką wiejską karczmę krytą strzechą, w niektórych nawet podawano chleb ze smalcem i czerniną. W tym trzymano się nowych tradycji przybyłych z oceanu.

Jak tylko usiedli przy stole na końcu sali, Jolanta poprosiła, by

Paweł poczęstował ją papierosem..

- Widzę, że coś cię trapi - powiedziała, gdy go jej przypalał.

- Mnie nie - odpowiedział. - Chyba, że panią. - I też zapalił.

- Kiedy się zdecydujesz, jak do mnie mówić? - zapytała, wypuszczając kółka dymu i uśmiechnęła się zalotnie.

- Puszczam to na żywioł jak ty te zgrabne kóleciska. Zobaczymy, co weźmie górę.

- Dobry sposób, lubię żywioł. W przeciwieństwie do mojego męża, który woli zagadki i różne gierki.

Paweł nic nie powiedział, ale nieco zbystrzał. Doświadczone oko Joli zauważyło to, więc uśmiechnęła się w duchu, a głośno powiedziała:

- Zmieniłeś się od wczoraj. Czego się napijemy?

- Nie zmieniłem się ani trochę. Napijemy się czegokolwiek.

- Wiem, że mój mąż wie o nas. Nie wiem tylko, czy ty wiesz, że wiem o tym od samego początku, i że on o tym też wie.

Paweł milczał.

- Nie rozumiesz? - zapytała.

- Szczerze mówiąc nieco się pogubiłem w tych „wiem”, „wie”, „on” i „czy”.

- To, co się dzieje między nami, jest grą wymyśloną przez mojego męża i mnie - wyjaśniła.

Paweł był zaskoczony i wściekły, ale nic nie powiedział, bo właśnie podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie. Jola zamówiła lampkę czerwonego wina dla siebie i wodę mineralną dla Pawła.

- Powinienem się tego domyślić - syknął, gdy kelnerka odeszła.

- Tylko, że zaczęło się to wymykać spod kontroli.

- Komu? - zapytał.

- Mnie - odpowiedziała Jolanta. - Dostrzegłam w tobie człowieka. Nie ma co owijać w bawełnę - jestem zepsutą przez bogactwo dziwką.

- Cóż za wzruszająca samokrytyka. Dlaczego mi to mówisz?

- Żeby cię ostrzec - odpowiedziała i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Przed czym? - zapytał.

- Przed kim - poprawiła go, a potem odpowiedziała: - Przed

Ryszardem. On będzie tolerował nasz związek, dopóki będziesz mnie pieprzył, jemu wszystko donosił i robił, co ci będzie kazał, a ja nie będę zawracała mu głowy, nie będę uwodziła facetów z jego towarzystwa i będę dobrą żoną na pokaz.

- Więc mogę spać spokojnie, bo... - zawiesił na chwilę głos. - Czy to musi być takie skomplikowane?! - niemal krzyknął. - Po co to tak komplikować?!

- Otóż to. Ale zadaj sobie pytanie, kto komplikuje. Ja? Ty?

A może Ryszard? Nieładnie obmawiać do kochanka swojego męża, ale ci powiem: on nie potrafi żyć bez tych swoich gier.

- A ty? - zapytał.

- Wiesz, bez czego ja nie potrafiłam żyć.

- Skąd ten czas przeszły?

Jola chwilowo nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, bo kelnerka przyniosła zamówienie. Zaległości nadrobiła minutę później:

- Namieszaleś nieco w moim życiu.

- Chrzanisz - powiedział ostro chłopak. - Nie wierzę ci. Nie wierzę żadnemu z was.

- Słusznie. Nie daj się skrzywdzić. Bądź ostrożny. Nie wiesz, jacy są ci nowobogacy?

Są gorsi od ludożerców.

- Możesz się nabijać, ja swoje wiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Jola paliła papierosa i zastanawiała się, co powiedzieć. W końcu zapytała:

- Lubisz czarne serwetki, że się tak nimi bawisz?

- Wolę „Różowe”.

Odpowiedź Pawła była dla niej niezrozumiała, ale nie dlatego nie poprawiła jej humoru. Chłopakowi najwyraźniej nie zależało na dobrych relacjach; najwyraźniej miał ją w nosie.

- Jedźmy już - powiedziała, a wstając od stołu dodała: - Z takiego gadania nie wychodzi nigdy nic dobrego.

Początkowo jechali w milczeniu. Przed miastem jednak zaczęła udawać nagłą zwyżkę humoru. Starła się przy tym, żeby jej kochanek domyślił się, że udaje.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko bawiłeś się dobrze? - zapytała.

- Owszem, było nieźle - odparł.

- Nieźle? - zaśmiała się sztucznie. - Obrażasz mnie.

On też się zaśmiał i powiedział:

- Prawda jest taka, Lucille, że czegoś takiego nigdy w życiu nie przeżyłem.

- Dlaczego nazwałeś mnie Lucille?

- Przeszkadza ci to?

- Nie, nazywaj mnie sobie jak chcesz, byle nie dzidzia piernik.

A wracając do tego, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłeś - nawet ze swoją dziewczyną?

- Z Zielonym Jabłuszkiem? - zdziwił się nieco rozbawiony, a potem nagle spochmurniał i dodał: - Nie będziemy o niej mówić.

Jolanta Nowak nabrała wtedy pewności, że jej podejrzenia o nieudane życie seksualne Pawła są słuszne.

- Nie jedziemy jeszcze do domu - powiedziała.

- A gdzie?

- Chcę ci coś pokazać.

Kazała się zawieźć do mieszkania, które wynajęła już dawno temu na użytek spotkań z kochankami. Były to nieduże, ale bardzo sympatycznie urządzone dwa pomieszczenia nie licząc łazienki, z których jedno pełniło rolę czegoś w rodzaju kuchni, a drugie sypialni.

Wystrój wewnątrz niedwuznacznie sugerował ich przeznaczenie - nawet w kuchni wisiały grafiki o tematyce bynajmniej nie pokutniczej.

- Jak ci się tu podoba? - zapytała.

- Nieźle - odpowiedział.

Podeszła do jasno oświetlonego okna i stanęła do niego tyłem.

Była w prześwitującej sukni i mógł ją sobie teraz obejrzeć, jakby była naga. Tym bardziej, że po tym jak wróciła z łazienki, pod suknią nie miała zupełnie nic.

Tak, jak myślała, podszedł do niej i objął ją, a potem zaczął całować jej szyję.

- Zostawiam ci wolną rękę - powiedziała potem, gdy leżeli zmęczeni na podłodze. - Jeśli jutro rano nie przyjedziesz po mnie, to znaczy, że skończyła się w moim życiu jedyna coś warta przygoda.

Nie pomyśl sobie czasem, że się w tobie zakochałam. Co to, to nie, ale... Sama nie wiem, co to jest.

Nie zakochała się we mnie, pomyślał Paweł i machinalnie włączył sobie w głowie piosenkę 10 CC „I'm Not In Love”. On też nie był zakochany. Chyba. Czuł się jak na karuzeli: to mdliło go, to rajcowało niesłychanie - na zmianę. Teraz na przykład, dzięki satysfakcji, jaką dał sobie i Joli, czuł się zadowolony z siebie i w ogóle z życia.

Ale co będzie za godzinę lub dwie?

- Wiesz, co jest w życiu najlepsze? - zapytał i nie czekając na odpowiedź udzielił jej sam: - Muzyka jest najlepsza. Nic piękniejszego i nic bardziej bezinteresownego ludzie nie wymyślili. Pod muzykę możesz podłożyć, co chcesz, każde wyobrażenie. Instrumenty z sobą rozmawiają tak, jak chciał kompozytor, ale to ty w swojej głowie piszesz dialogi. Nikt nikim nie manipuluje - każdy jest panem swojej wyobraźni. Nikt nie próbuje cię przekabacić na swoją stronę...

Jola spojrzała na Pawła niemal ze strachem. Nie znalazła jednak w wyrazie jego twarzy nic, czego powinna się bać, więc uznała, że „to tylko jakiś cholerny przypadek” i słuchała dalej.

-...Słuchając, możesz zobaczyć pod zamkniętymi powiekami wszystko, co ci serce i rozum dyktuje i chociaż za każdym razem może to być coś innego, to i tak zawsze będzie prawdziwe, bo twoje.

Nie musisz kombinować, że może to tak, a może inaczej. Że rację mają ci, a może tamci. Muzyka nie niesie z sobą przesłania, lecz piękno i albo je dostrzeżesz, albo nie. Bo „Informacja nie jest wiedzą, wiedza nie jest mądrością, mądrość nie jest prawdą, prawda nie jest dobrem, dobro nie jest miłością, miłość nie jest muzyką. Muzyka jest najlepsza.”

- A seks? - zapytała, dotykając pewnej części jego ciała, żeby lepiej zrozumiał o co jej chodzi. - Nie seks?

- Seks też - odpowiedział z uśmiechem.

- Uf - odetchnęła ostentacyjnie. - Bo już zaczęłam się o ciebie bać.

Potem wstała i zaczęła się ubierać. Paweł zrobił to samo. Gdy skończyła, powiedziała:

- Musimy już jechać.

* * *

W drodze do domu Nowaków Paweł zatrzymał się niespodziewanie przy jednym ze sklepów i powiedział, że musi coś załatwić.

Wrócił ze złotym łańcuszkiem, na którego końcu wisiał, również złoty, słoń. Przy czym ani łańcuszka, ani słońca jubiler nie zrobił z resztek zapasów.

- To dla mnie? - Jola nie kryła zdziwienia.

- Nie chciałem, żebyś zapamiętała mnie jako tego, który tylko bierze - odpowiedział.

- Wprowadzasz mnie w zakłopotanie, bo dałeś mi więcej niż ktokolwiek. Czyżby mój mąż płacił ci więcej niż myślałam? Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

- Potraktuj to jako pamiątkę po naszym spotkaniu. Nie kupiłem tego z pieniędzy twojego męża.

- Skoro ci zapłacił, to nie są to już jego pieniądze.

- Miałem na myśli to, że są to pieniądze z zupełnie innej puli.

- Ach tak? - zdziwiła się znowu. - W takim razie ten prezent ma dla mnie jeszcze większe znaczenie.

Jolanta Nowak pomyślała, że jeszcze coś może mieć znaczenie, ale nie powiedziała tego głośno. Przyszło jej do głowy, że skoro dla

Pawła tak ważna jest muzyka, to może „Lucille” jest imieniem dziewczyny z jakiejś piosenki, a jeśli tak, to być może słowa tej piosenki mają jakieś znaczenie; może mówią coś o tym, co Paweł myśli o niej. Nie wiedziała tylko jak to sprawdzić, a Pawła nie chciała pytać.

* * *

- Łajdaku, przecież uzgodniliśmy!

- O co chodzi, Kasiu? - Paweł udawał zdziwionego nie przestając zdejmować butów w przedpokoju.

- Prosiłam cię, żebyś nie ruszał tych pieniędzy!

- Oddam, gdy zarobię. Mówiłaś, że nie liczyłaś. Oszukałaś mnie.

- Bo nie liczyłam. I wcale cię nie oszukałam - tłumaczyła Katarzyna wchodząc za nim do pokoju.

- Nabrałaś mnie - mówił siadając na łóżku. - A to to samo.

- Co to jest? Skąd to masz? - zapytała, wskazując głową telefon komórkowy, który kładł na szafce przy łóżku.

- Telefon komórkowy.

- Przecież widzę. Kupiłeś za tamte pieniądze?

- Nieee - stękał, próbując trafić wtyczką ładowarki w gniazdko za łóżkiem. - Tooo telefon mojego szeeefa.

- Kim on jest?

- Ty się lepiej zapytaj, kim on nie jest.

- Kim on nie jest?

- Nie jest dyrektorem cyrku, zamiataczem ulic, taksówkarzem...

- Jeżeli nie wydałeś tych pieniędzy na komórkę, to na co?

- Kupiłem prezent kochance.

- Dobrze wiesz, że nie lubię takich żartów.

- Przecież wiesz, że to nieprawda. Nie ma co się wściekać.

- W takim razie, dlaczego nie mówisz?

- Cały czas mówię.

- Zostaw ten cholerny zasilacz i rozmawiaj ze mną jak człowiek!

- Zjadłem obiad w restauracji, a nie w barze. Kupiłem sobie drogi dezodorant...

- Przecież to nie są drogie rzeczy - przerwała wyliczankę cały czas stojąc przy łóżku.

- Bo i nie wziąłem dużo - tłumaczył. - Wziąłem tylko trochę, na spróbowanie.

- Jakie znowu spróbowanie? - Dziewczyna nie wierzyła mu ani trochę.

Ponieważ wreszcie uporał się z ładowarką, wstał i zapytał:

- O co ci chodzi? Nie ufasz mi? To lepiej od razu mnie wygnaj albo schowaj gdzieś forszę. Co jest z tobą? Czy ja się czepiam twojego znaleziska? - Po czym poszedł do kuchni.

„Znalezisko” rozśmieszyło Katarzynę i pojednawczym tonem powiedziała:

- No już dobrze, dobrze.

A potem, już w kuchni, dokąd poszła za nim, zapytała:

- Czy ja też będę mogła dzwonić z tego telefonu?

- Tak - odpowiedział, wstawiając wodę na herbatę. - Tylko nie odbieraj.

- Dlaczego?

- Nie chcę, żeby szef myślał, że używam go do prywatnych celów.

- Pewnie masz rację. Surowy ten twój szef.

- Jak cholera - przytaknął, a potem zapytał: - Też chcesz herbatę?

- Nie, dziękuję, zaraz wychodzę. Umówiłam się z Jolą.

- Z Jolą?! - krzyknął z lekka przerażony.

- Co w tym strasznego? - zdziwiła się. - Jest moim partnerem brydżowym. Ty wiesz, co jej się śni? Moje sny to nic. Jej się śniło, że ściąga z internetu asa pikowego. Wyobrażasz to sobie?

W tym momencie Pawłowi przypomniało się, że Jola to jedna z koleżanek Katarzyny.

- Nic, tylko, że nie przepadam za nią - powiedział, nie będąc pewnym, czy strzela do właściwej tarczy.

- Przecież znasz ją tylko ze słyszenia - zauważyła Katarzyna i zaśmiała się, jakby Paweł był dzieckiem i powiedział coś uroczo głupiego.

- Wystarczy mi to, co o niej mówiłaś.

- Nigdy nie mówiłam o niej zbyt wiele. I nie przypominam sobie, żebym mówiła coś złego.

- Widocznie pomyliłem ją z kimś innym.

- Na pewno z Basią - stwierdziła, sięgając po czapkę. - To ta, którą przezwaliśmy „Zakonnica”.

- O, właśnie! - Paweł ucieszył się, bo Basię pamiętał bardzo dobrze. - Myślałem o niej.

- Nie myśl o niej zbyt często, bo będę zazdrosna - powiedziała na koniec Katarzyna i zniknęła za drzwiami.

Odetchnął z ulgą. Był bliski wpadki. Na szczęście udało się i mógł teraz spokojnie przemyśleć sobie to i owo. Nawet odpowiadało mu to, że jego dziewczyna zostawiła go samego w domu.

Jednak ostatnie dni były tak wyczerpujące, że poczuł się nagle zmęczony i senny. Wstał szybko i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kawę zamiast herbaty. Przechodząc obok łazienki, gdzie w koszu na brudną bieliznę były pieniądze, zatrzymał się na chwilę, ale poszedł dalej. Po chwili wrócił z kawą i zasiadł przed telewizorem. Następnie włączył

odtwarzacz CD i wyłączył głos w telewizorze. Często tak robił, gdy Katarzyny nie było w domu. Ich sąsiad, słysząc przez ścianę muzykę, próżno latał po kanałach swojej satelity - nigdzie nie było „Klanu Sycylińczyków” ani „W kręgu zła”. Żałował, bo lubił stare francuskie kryminały.

Pieniądze z kosza kusily Pawła, żeby rzucić robotę u prezesa, ale z drugiej strony, gdy to sobie lepiej przemyślał, były to pieniądze

Katarzyny i nie mógł przecież mieć pewności, że zawsze będzie mógł je traktować jak swoje.

„Zawsze? Przecież nawet teraz nie mogę ich wydawać! Przyznaj się - Jola zagotowała krew w twoim sercu. Chrzań się. Jesteś za cienki dla niej i dla jej starego. To para łajdaków, jakich nie znajdziesz w całym kosmosie. W takim razie pasuję do nich jak gaz do dechy. Nie dasz rady, odpuść. Nie ma mowy, pokażę im, na co stać młodą gwardię. Ona jest tylko kobietą, w dodatku miękką i bardziej uczuciową niż jej się wydaje.”

Był z siebie dumny. Uważał, że wygrał dzisiejszą rundę z Jolą.

Pod oknem zrobił z nią, co chciał i jak chciał, dokończył na podłodze, a potem kupił jej prezent, żeby pokazać, że ma pieniądze i nie jest uzależniony od pensji jej męża, a także dlatego, że... Tak po prostu chciał. Chciał jej dać coś od siebie.

W gruncie rzeczy - musiał to przyznać - podobała mu się ta kobieta, jak rzadko która. Ani w łóżku ani w życiu nie znała granic, ale potrafiła też być czuła i romantyczna. Nawet jeśli trochę grała, to tylko trochę. Z pewnością - tak Paweł uważał - był dla niej kimś więcej niż tylko narzędziem do zaspokajania zmysłów.

Był tylko jeden problem: komu służyć - Ryszardowi, czy jej?

„Sobie. Bądź sobie sterem i okrętem. Grać na dwa fronty?”

A masz inne wyjście? Przecież nie możesz być jawnym wrogiem któregokolwiek z nich. A jeśli ukrytym, to kogo? Trzymaj z Jolą, a starego rób w jajo. Da się? A będzie miał inne wyjście?”

Paweł był podniecony i czuł nowy przypływ sił. Wierzył w siebie do tego stopnia, że gra, w którą wciągnęło go małżeństwo Nowaków, zaczęła mu się podobać, pomimo tego, że najpierw go oszukano. Mógł przecież mieć z tego kupę radości i całkiem sporo kasy.

Musiał tylko uważać.

„To niech oni uważają. Niech mają się na bacności - pomyślał i wstał szybko z fotela, żeby zapalić papierosa. - Ciekawe, co jeszcze kryją w tych swoich zepsutych sercach. Sercach? Oni nie mają serc.

Więc w tych swoich zepsutych łbach. Cholera, gdzie są papierosy?”

W łbach muszą mieć poukładane całkiem nieźle, bo inaczej skąd mieliby taki szmal? No nie, trzeba skoczyć po fajki.”

Nie mógł zbyt długo wytrzymać bez papierosów. Był w tym trochę podobny do Joli, która dla odmiany zbyt długo nie mogła wytrzymać bez facetów. Przyszło mu to do głowy, gdy zobaczył na ulicy kobietę podobną do niej. Tak samo jak ona miała długie rude włosy, duże piersi, spory, ale zgrabny tyłek i była wysoka. Spojrzenie miała odważne, niemal wyzywające. Paweł spojrzał na nią i uśmiechnął się. Jego twarz mówiła: „wiem, kim jesteś; siedzi w tobie jędba, którą z łatwością ujeżdżają tacy chłopcy jak ja.”

Kobieta, jakby zrozumiała, bo weszła za nim do sklepu. On, kupując papierosy, pokazał całą forszę, jaką miał przy sobie. Nie było tego mało.

- Masz ochotę na chwileczkę zapomnienia? - szepnęła mu do ucha, gdy wychodził ze sklepu.

Stali bardzo blisko siebie i miał wrażenie, że ogromne piersi kobiety zaklinują go w drzwiach na amen. Zaśmiał się i powiedział:

- Wybacz, mamusiu, ale jestem wykończony. Ty potrzebujesz wypoczętego ogiera, a ja jestem zmęczonym kucykiem.

Kobieta spojrzała na niego z zainteresowaniem, w którym jednak nie było ani podziwu, ani złości.

- Za odpowiednią sumkę wygonię z ciebie tego obrzydliwego starca, który zagnieździł się w twoim młodym serduszk.

- Dzięki maleńka, ale nie chcę potem zastanawiać się, dlaczego mnie boli, kiedy sikam. Nie chcę mieć jaj jak marakasy.

- Nie musisz mnie obrażać - rzuciła do jego pleców, bo domyśliła się, że ma na myśli choroby weneryczne, ale on się nawet nie obejrzał.

„Ja to mam fart - żalił się potem nad sobą w domu - jak nie mężatka nimfomanka, to dziwka poetka. I jak tu żyć normalnie?”

W gruncie rzeczy był jednak zadowolony. Pomyślał nawet, że nie musi włączać telewizora, żeby przeżyć coś niezwykłego. Pomyślał też - i była to prawda - że po raz

pierwszy w życiu został zaczepiony przez prostytutkę. Skąd się to wzięło? Prawdopodobnie kobieta zauważyła, że miał przy sobie sporo pieniędzy, poza tym jeszcze nigdy dotąd nie był tak dobrze ubrany i nigdy tak wytwornie nie pachniał.

Po prostu nigdy dotąd nie było go na to stać. Komu to zawdzięczał?

Małżeństwu Nowaków. Wszystko, co interesującego ostatnio działo się w jego życiu, związane było z nimi. Oprócz znaleźiska - co przyszło mu zaraz do głowy. To - jak sądził - wyjątkowo nie miało nic wspólnego z Ryszardem i z Jolą. To - o, dziwo, bo było czymś zupełnie do niej nie podobne - związane było z Zielonym Jabłuszkiem.

Jak na zawołanie właśnie Zielone Jabłuszko stanęło w drzwiach i powiedziało:

- Nie było jej.

- Kogo? - zapytał.

- Joli. Diabli wiedzą, gdzie ją poniosło. Co robiłeś, gdy mnie nie było?

- Oglądałem telewizję.

- To musiało być bardzo interesujące, skoro wyłączyłeś dźwięk.

- Ale ty jesteś złośliwa. Niby taka grzeczna, niewinna, a tu łup! - worek pieniędzy, a tu łup! - złośliwość jak się patrzy.

- Chyba „jak się słucha”?

- Ta forsa w ogóle mi do ciebie nie pasuje - stwierdził.

- Mnie też - zgodziła się z nim. - Inna by się cieszyła, a ja spać nie mogłam pół nocy.

- Więc udawałaś?

- Nie, po prostu co chwila się budziłam. Najpierw zasnęłam snem kamiennym, a potem obudziłam się w środku nocy i...

- Skąd wiesz, która to była godzina?

- A co tobie? Znowu zaczynasz z tymi swoimi przesłuchaniami?

- Przepraszam - powiedział, ale w jego słowach nie było żalu, czy skruchy. - Ty mi się po prostu nie kojarzysz z takimi hecami jak ta sprawa z workiem pieniędzy.

- Osądzasz ludzi zbyt pochopnie! - krzyknęła z kuchni. - Zbyt jednostronnie! Ale to typowe dla mężczyzn - dokończyła już ciszej, bo w pokoju. - Przepraszam, że nie zapytałam, czy też chcesz herbatę?

- Nie, dziękuję.

- Mogę dolać wody do czajnika, to żaden problem.

- Miła jesteś, ale dziękuję.

- Może jednak? - upierała się.

Spojrzał na nią wymownie, a ona zaśmiała się, podeszła do niego i, całując lekko w

usta, powiedziała:

- Przecież żartuję, nie rób takiej obrażonej miny.

Złapał ją gwałtownie w pól, przewrócił na łóżko i do piszczącej i śmiejącej się, powiedział:

- Udobruchaj mnie.

- Może zaczekamy do nocy, panie Zbereźnik? - zaproponowała.

Paweł powinien był się tego spodziewać, ale od czasu do czasu dawał się nabrać na głos, który mamił go obietnicą, że może teraz będzie inaczej, może teraz wyjdzie z jego dziewczyny jakaś inna Katarzyna. Ale jak dotąd jeszcze nigdy nie wyszła.

- No, nie gniewaj się - mówiła, gdy odchodził. - Obiecuję, że wieczorkiem, po kąpieli...

- Wcale się nie gniewam - powiedział. - Usiłuję tylko wytłumaczyć sobie, że już zawsze tak będzie - dodał i wyszedł z mieszkania.

Jakiś czas łąził po ulicach, a potem poszedł na piwo do baru, gdzie poznał Ryszarda Nowaka. Tam przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Joli i wtedy złapał się za głowę: „Przecież zostawiłem w domu komórkę. Co będzie, jeśli Jola zadzwoni, a Katarzyna odbierze?!”

Szybko zapłacił za niedopite piwo i prawie wybiegł z baru. Już po dziesięciu minutach szarpał za klamkę mieszkania, które zajmował z Katarzyną.

„Co jest? - zastanawiał się. - Poszła gdzieś, czy co?” A potem otworzył zamek swoim kluczem i wszedł do środka.

Od progu przywitał go głos Katarzyny.

- Paweł, to ty?

- Oczywiście, że ja, a któż inny by to mógł być? - odburknął.

- Zamknij za sobą drzwi na klucz i chodź do mnie.

Wzruszył ramionami, ale zrobił, co kazała.

Leżała na łóżku, częściowo przykryta pieniędzmi, częściowo naga. Był pozytywnie wstrząśnięty. Zdziwiony własną jurnością, którą tłumaczył sobie ekscytującym życiem, podszedł do dziewczyny.

- Mieliśmy je policzyć, pamiętasz? - zapytała. - Myślę, że najlepiej będzie, jak będziesz układał je na gromadkę i liczył. Co ty na to?

- Ja na to jak na lato - odpowiedział. - Gdzie mam zacząć?

- Wybór należy do ciebie.

Zaczął od szyi i podążał ku dołowi. Każdy odkryty kawałek ciała

Katarzyny całował przy tym z namaszczeniem, podniecając się coraz bardziej. Ona natomiast z trudem powstrzymywała się od śmiechu, bo pocałunki Pawła łachotały ją bezlitośnie. Nie chciała tego, ale nic nie mogła na to poradzić. Pawłowi to się oczywiście nie podobało i w końcu nie wytrzymał i połachotał ją pod pachami. Wtedy wyrzuciła gwałtownie nogi do góry, podskakując jednocześnie na łóżku i momentalnie została bez przykrycia. Chwilę patrzył na nią jak na zdobycz, która sama wpadła w łapy drapieżnika, a potem rozpoczął ucztę. Trwała długo i obfitowała w wiele odgłosów świadczących o tym, że co najmniej jednemu z jej uczestników sprawiała niemałą frajdę.

* * *

Paweł spał jak wojownik po bitwie, a Katarzyna leżała obok niego i w żaden sposób nie mogła zasnąć. Dlaczego skojarzył się jej z wojownikiem? Bo miał taką zadowoloną minę, a poza tym jeszcze przed chwilą zachowywał się jakby walczył z wszystkimi demonami zamieszkującymi w jej ciele. Co innego Ryszard - ten był jak czarodziej, nie miał w sobie nic z jurnego wojaka.

Kiedy szła na spotkanie z nim, powiedziała Pawłowi, że idzie do

Joli, swojej koleżanki ze studiów. Ryszard już czekał na nią, a jak tylko weszła, powiedział:

- Bałem się, że nie przyjdiesz.

Zrobiło jej się ciepło w sercu; poczuła się ważna i kochana.

- Dlaczego jestem dla ciebie taka ważna? - zapytała.

Ryszard popatrzył na nią chwilę i powiedział:

- Dobre pytanie.

- Więc? - naciskała.

- Nie wiem - odpowiedział. - Naprawdę nie wiem. Jak tylko pierwszy raz cię zobaczyłem, poczułem w sercu coś dziwnego. Jesteś piękna, ale to nie było podniecenie. Czasami się nad tym zastanawiam, ale nie potrafię tego wyjaśnić. Myślę, że to miłość.

Poczuła się zmieszana i jak tylko spróbowała otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, Ryszard jej przerwał:

- Nie mów nic, proszę.

A potem przeszli do pokoju, gdzie zdjęła bluzkę i usiadła w fotelu, a on zapalił świece.

- Dlaczego mnie nigdzie nie zabierasz? - zapytała.

- A czy nam tutaj źle? - odpowiedział pytaniem.

- Boisz się, że twoja żona...

- Ona i tak o tobie wie - przerwał jej.

- Więc dlaczego?

- Dlatego, że kiedy przychodzę tu, a ty rozbierasz się i siadasz w tym fotelu, a potem opowiadasz mi swoje bajki, to czuję, że jestem w innym świecie. Nie chciałbym, żeby to się zmieniło. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Nie była z tej odpowiedzi zadowolona. Znaczyło to bowiem, że nigdy nie będzie między nimi nic prócz tego, co jest teraz, a jeśli coś się zmieni, to zniknie cała magia ich spotkań. Zrozumiała to w jednej chwili.

„Może to i dobrze?” - pomyślała, a głośno zapytała:

- Może powinniśmy to tak zostawić?

- To znaczy?

- To znaczy, że nie powinieneś - być może, nie jestem pewna - że nie powinieneś rozstawać się z żoną, żeby zacząć coś ze mną, a ja nie powinnam zostawiać swojego chłopaka.

- Tylko, że ja za tobą tęsknię - odpowiedział. - A swojego dotychczasowego życia mam coraz bardziej dosyć. Nie wierzysz, że mogłoby nam się udać?

- To, że jesteśmy z sobą szczęśliwi jako kochankowie - odpowiedziała. - Nie oznacza wcale, że szczęśliwi bylibyśmy jako małżonkowie. Romans i małżeństwo rządzą się innymi prawami.

- A jeśli są gdzieś zakochani małżonkowie?

- To znaczy, że umarli i są w niebie.

Ryszard zamyślił się, a po chwili powiedział:

- Możliwe, że masz rację. Zakochanie i kochanie to chyba jednak dwa różne stany.

- Zakochać się, to jak dostać w mordę - tłumaczyła. - Taki cios czasami powala z nóg, ale można się po nim podnieść i stosunkowo szybko dojść do siebie. Natomiast kochać, to jak być utrzymanym - nie za mocno, ale pewnie - za gardło. Trzyma cię miłość, która daje o sobie znać tylko wtedy, gdy chcesz się ruszyć.

Jak tylko skończyła, niespodziewanie wróciła do poprzedniego tematu ich rozmowy. Uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

- Muszę ci jednak coś przypomnieć.

- Tak? - Ryszard zapytał marszcząc czoło, jakby przeczuwał, że nie usłyszy nic przyjemnego.

- Nie jestem pewna, czy chcę zostawić swojego chłopaka.

Milczał przez dłuższą chwilę, a potem wstał i bez słowa wyszedł.

Nawet nie próbowała go zatrzymać. Była jak sparaliżowana. Ale nie czuła się winna. Może jedynie trochę się bała.

* * *

Teraz leżała obok Pawła, z którym się kochała, a w koszu w łazience leżały pieniądze od kochanka, któremu popsowała wieczór.

Jednak nie nadaję się do takiego życia, pomyślała. Co innego kilka spotkań, ale ta forsa i plany Ryszarda... To za dużo. W dodatku po raz pierwszy bała się go. Wyglądał jak zbiornik z niebezpiecznym materiałem, który zaraz wybuchnie. I pewnie wybuchłby, gdyby nie wyszedł. Miała nosa, że go nie zatrzymywała.

Wtem zadzwoniła komórka Pawła i Katarzyna podskoczyła wystraszona, a gdy zadzwonił jeszcze raz, odebrała.

- Słucham?

- Domyślam się. - Głos należał do jakiejś kobiety. - Że rozmawiam z dziewczyną Pawła?

- Tak - odpowiedziała niepewnie. - A o co chodzi?

- O ile wiem, to ten telefon jest służbowy. Dlaczego nie odebrał

Paweł?

Kobieta była pewna siebie; starała się być miła, ale była to grzeczność wymuszona.

- On śpi - odpowiedziała. - Przekazać coś?

- Umówmy się, że nie dzwoniłam, dobrze? - zaproponowała kobieta. - Tak będzie lepiej dla wszystkich. Więc jak?

- A z kim mówię?

- Zazdrość, którą wyczuwam w pani głosie jest nie na miejscu.

Tylko tyle mogę powiedzieć. Dzwonię w sprawach służbowych i nie sądzę, żeby...

Katarzyna rozłączyła się szybko.

Nie powinna była odbierać tego telefonu. Więc miał dzwonić w nieskończoność?

Mogła po prostu obudzić Pawła. Tylko, że on zawsze tak mocno śpi... A co zrobi, jak znowu zadzwoni? Wzięła do ręki telefon i weszła w menu, żeby wyłączyć dzwonek. Nie знаła tego modelu i nie mogła znaleźć odpowiednich opcji. Szukając ich pomyślała, że rano powie Pawłowi, żeby pokazał jej, jak się wyłącza dzwonienie. A jeśli zapyta dlaczego pyta? Powie, że telefon zadzwonił i ją obudził. Tylko, że on wtedy w pracy zapyta, kto dzwonił i dowie się prawdy. Bo ten babsztyl na pewno nie dotrzyma słowa i wygada przed Pawłem, że odebrała.

Trrr - znowu zadzwonił telefon i wystraszonej Katarzynie ręce wyskoczyły w górę, a z nich wypadł aparat i wylądował z trzaskiem na podłodze. W tym samym momencie przestał dzwonić.

„I co teraz? - zapytała samą siebie. - Co ja powiem Pawłowi?”

Najpierw pomyślała, że zostawi aparat tam, gdzie jest, a rano uda zdziwienie; powie, że o niczym nie wie. Potem doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli powie prawdę, a na koniec wykombinowała, że podłoży komórkę Pawłowi do łóżka i wmówi mu, że poszedł z nią spać. Ostatecznie połączyła z sobą pomysł pierwszy i ostatni i położyła telefon przy łóżku, a zarazem przy szafce po stronie Pawła. Postanowiła, że rano powie mu, że widocznie odebrał przez sen i zrzucił go. Telefon wtedy przestał dzwonić, więc on spał dalej.

Ostatnie, co pomyślała przed zaśnięciem to, że jeszcze trochę i będzie strzępkiem nerwów, skoro niewinna historia z telefonem tyle namieszała w jej biednej, coraz mniej uczciwej duszy. Na szczęście obróciła to w żart i dzięki temu zasnęła.

Gdy się obudziła, w drzwiach stał Ryszard. Był w długim, skurzanym, czarnym płaszczu, a w rękach trzymał dużą walizkę.

- Więc jak? - zapytał. - Zostajesz z nim, czy idziesz ze mną?

Zdjęła pidżamę i prosząco spojrzała mu w oczy.

- Z tym już koniec - zaśmiał się. - Myślisz, że wykpisz się gołymi cyckami? Za te dwa piegi chcesz kupić torbę pieniędzy?

- Przecież sam mówiłeś, że jestem twoją królową, twoim Kwiatuszkiem, twoją Szeherazadą - dziwiła się i wstydliwie zakrywała piersi. - Przecież sam mówiłeś, że ci to wystarcza, że nawet nie chcesz więcej.

- Tak było, ale już nie jest. A co nie jest - zaśmiał się obrzydliwie - nie pisze się w rejestr. Gdzie masz moje pieniądze? - dodał ostrzejszym tonem.

Patrzyła na niego ze strachem, a on krzyknął:

- No?! Gdzie je masz?!

Skuliła się na łóżku, a on zaczął do niej podchodzić, ciągle pytając:

- No, gdzie one są?! Gdzie?!

Wtedy Paweł zaczął szarpać ją za ramiona i pytać:

- Co ci jest? Co się stało?

Obudziła się po raz drugi, tym razem naprawdę i zapytała:

- Co się stało?

- No właśnie - odpowiedział. - Co się stało? - A potem przytulił ją i powiedział:

- Wyrzucimy te pieniądze, one tylko nieszczęście nam przynoszą.

Wtuliła się w niego i powiedziała:

- To tylko sen, na szczęście. To tylko sen. Wszystko będzie dobrze.

- Może zostanę z tobą w domu, co? Zadzwoń do szefa... Gdzie jest komórka?

Zadzwoń do szefa... Nie wiesz, gdzie położyłem komórkę?

- Nie mam pojęcia - skłamała i wstała szybko, żeby nie zobaczył jej twarzy. Po chwili dodała z łazienki: - Nie musisz zostawać, bo ja idę na wykłady.

On już jej jednak nie słuchał, tylko szukał po całym pokoju telefonu, jakby to on był w tej chwili najważniejszy. W końcu go znalazł i głośno, żeby go usłyszała w łazience, zapytał:

- Nie wiesz jak to się stało, że leżał koło łóżka?!

- Nie mam pojęcia! - odrzyknęła. - Może zrzuciłeś przez sen?!

A właściwie to która jest godzina?!

Odpowiedziała jej cisza.

- Cholera! - usłyszała po chwili. - Nie działa!

Wróciła do pokoju, a on wtedy powtórzył:

- Nie działa.

Postanowiła milczeć.

- Słyszysz? Nie działa.

- Czy mi się wydaje, czy uważasz, że ja go popsułam?

Patrzył na nią przez chwilę niepewnie, a w końcu rzekł:

- Mówię tylko, że nie działa. - Po czym wstał i teraz on poszedł do łazienki.

Poszła za nim i już w łazience powiedziała:

- Chcę to usłyszeć wyraźnie. Chcę usłyszeć wyraźnie, że to ja go popsułam.

- Przecież nic takiego nie powiedziałem.

- Więc powiedz, że to nie ja go popsułam.

- Coś się tak przyczepiła? - Paweł zdziwił się i wszedł pod prysznic, co uznała za coś w rodzaju wywieszenia białej flagi. Tym bardziej, że majtki, które sobie przygotował do założenia, były właśnie białe.

Wzięła je ze sobą i poszła do kuchni. Tam włożyła je do lodówki i zaczęła robić

śniadanie, zaczynając od kawy, bo obydwójce z Pawłem nie lubili, gdy była zbyt gorąca.

Kończyła już, gdy Paweł wpadł nagi do kuchni i zażądał:

- Oddaj moje gacie.
- Odszczekaj, że popsulałam telefon.
- Niczego takiego nie mówiłem.

Zaczęła gwizdać pierwszą lepszą melodię, jaka przyszła jej do głowy, a była to jakaś piosenka zapamiętana z dzieciństwa.

- No, dobra - powiedział. - Nie zepsułaś.
- Są w lodówce - rzuciła szybko i wyszła z jedzeniem do pokoju.

Kiedy stawiała talerz z kanapkami na stole, usłyszała:

- Jaj, jakie zimne! Odmrozę sobie jajka!

Ze śmiechu zakrztusiła się kanapką.

- Bozia nierychliwa, ale sprawiedliwa - powiedział Paweł, gdy wszedł do pokoju.

Potem usiadł i zaczął spokojnie jeść, a nawet próbował poczęstować ją kanapką. Tymczasem ona usiłowała złapać oddech i pokazywała na swoje plecy.

- No, całkiem zgrabne.

W końcu zlitował się nad nią i uderzył ją we wskazane miejsce.

Przez chwilę myślała, że złamał jej kręgosłup. Gdy ochłonęła, złapała za kubek z kawą i wylała zawartość na jego białe majtki.

- Teraz ci jajka nie zmarzną - powiedziała.

Przez chwilę patrzył na nią zdumiony, a potem obydwójce wybuchnęli śmiechem.

* * *

Miał szczęście, że ostatecznie się opanował... Gdyby w porę nie wyszedł, narobiłby jeszcze większego bałaganu. Mogłaby wtedy pomyśleć, że jest jednym z tych, którzy myślą, że im wszystko się należy. A przecież nawet jeśli tak do niedawna było, to przynajmniej w stosunku do niej jest inny.

Tak się starał, tak się starał... I wszystko na nic. Niedawno stracił

Pawła, a teraz traci Szeherezadę. Pawła wprawdzie odzyskał, ale na jak długo? Co do Szeherezady to chyba musi postawić wszystko na jedną kartę i powiedzieć jej wyraźnie, że resztę życia chce spędzić z nią.

„Boże - pomyślał - reszta życia - jakie to banalne. I jakie prawdziwe.”

Nie jest już młodzieniaszkiem, to fakt. Nie jest nawet panem w średnim wieku. Co mógłby dać Katarzynie oprócz uwielbienia i pieniędzy? Do niedawna myślał, że to wystarczy, ale teraz okazało się, że jej bardziej zależy na chłopaku, z którym mieszka, niż na nim.

„Ciekawe, co ona w nim widzi? - zastanawiał się. - Może warto by było sprzątnąć go jak Jolę?”

Nie, tego Katarzyna by mu nie wybaczyła. Jak mogło mu to w ogóle przyjść do głowy?! Nawet jeśli ona o niczym by się nie dowiedziała, to pewnie nie mogłaby po czymś takim być z nim. Jest taka wrażliwa...

Stała mu przed oczami naga, z nieśmiałym uśmiechem na ustach i patrząca na niego czule. Miała w sobie tyle ciepła i dobroci... Była tak różna od tej, która pukała teraz do drzwi jego pokoju.

- Proszę - powiedział.

- Długo już siedzisz w tej swojej samotni? - zapytała w progu żona, mając na myśli jego gabinet, w którym lubił przebywać sam na sam ze swoimi myślami.

- Gdzie byłaś? - zapytał, ignorując jej pytanie.

- W klubie. Od kiedy interesuje cię, gdzie bywam? - odpowiedziała, przeglądając tytuły książek wypisane na ich grzbietach równo stojących w biblioteczce.

- To pytanie z gatunku grzecznościowych.

Zaśmiała się i powiedziała:

- Tak myślałam.

- Co słyszeć u Pawła?

- Jest dość naiwny, ale interesujący - odpowiedziała, siadając w drugim fotelu.

Nie podobała mu się ta odpowiedź. Zapalając papierosa zapytał:

- Czy to znaczy, że liczysz na wygraną?

- Kochanie, zawsze na to liczyłam - odpowiedziała tonem matki zapewniającej syna o swej miłości.

Miał zamiar powiedzieć, żeby nie była taka pewna siebie, ale pomyślał, że to mogłoby wzmocnić jej czujność.

- Myślę jednak - powiedział. - Że jednak za wcześnie na gratulacje.

Siedziała po przeciwnej stronie biurka i bawiła się drobiazgami leżącymi na nim. Zerknęła na męża spod oka i uśmiechała się zaczepnie.

„Jest taka pewna siebie - pomyślał podejrzliwie. - Coś musiało się stać.” Głośno zapytał:

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- O czym? - zdziwiła się.

- O Pawle.

- To chyba o kimś?

- Nie czepiaj się słówek, proszę. Miałem zresztą na myśli całą tę historię, a nie konkretną osobę.

- Mówię tyle, co zwykle - odpowiedziała wyraźnie zdziwiona jego pytaniem.

- A ja mam wrażenie - powiedział. - Że zrobiłaś coś, co w twoich oczach daje ci już pewną wygraną, a w każdym razie przewagę.

Zmieszała się tak, że nabrał pewności, że miał rację.

- Czy byłabym taka głupia, żeby się z tym obnosić?

- Stać cię na podwójną grę - powiedział.

- Myślę, że ciebie stać na więcej - odpowiedziała, ale nie zabrzmiało to jak komplement. - Ciebie stać na potrójną.

- Co masz na myśli?

- Wszystko.

„Czyżby się domyśliła? - wystraszył się nie na żarty. - Niepotrzebnie zwolniłem Grzegorza; to wzbudziło w niej podejrzenia.”

- Po twojej minie widzę - kontynuowała Jolanta. - Że się nie mylę wcale albo tylko trochę.

- To zależy od tego, co ci chodzi po głowie.

- Myślę, że byłbyś w stanie złamać naszą umowę i przekupić Pawła. To znaczy: próbować go przekupić.

Odetchnął z ulgą i zaśmiał się głośno:

- Myślisz, że zdolny byłbym do czegoś tak podłego?

- Myślę, że tak - odpowiedziała. - To byłoby dla ciebie zbyt upokarzające, gdyby okazało się, że przegrałeś zakład.

Wstał z fotela, wziął ją za rękę, a potem, gdy wstała, pocałował lekko w usta i powiedział:

- Przeciwnie; to by znaczyło, że mam za żonę jeszcze większy skarb niż myślałem. Przecież istotą zakładu jest to, czy jesteś tylko piękna i niebezpieczna, czy piękna, niebezpieczna i coś jeszcze.

- Komplementarz - zaśmiała się sztucznie i odeszła w stronę biblioteczki.

- Co znaczy to „coś jeszcze”? - rzuciła stamtąd.

- To „coś jeszcze” - odpowiedział, z powrotem siadając w fotelu i przypalając sobie papierosa. - Powoduje, że takie chłystki jak Paweł, zakochują się w takich kobietach jak ty.

- Tym razem to nie był komplement.

- Przepraszam, jeśli cię dotknąłem, nie było to moim zamiarem.

- Ostatnio robisz to tak rzadko, że nie miałabym nic przeciwko temu - powiedziała i spojrzała na niego zaczepnie.

Przez moment przyszło mu do głowy, że ciekawie by było przespać się z Jolą, zanim każe ją zamordować, ale zaraz przyszło opamiętanie.

- Nie sądzę, żebym po Pawle mógł ci dać coś więcej prócz namiastki tego, na co liczysz - powiedział zgodnie z prawdą.

- Cóż za wyszukana forma dawania żonie kosza. - Jolanta zauważyła nie bez podziwu.

- Szukasz lektury do poduszki? - usiłował zmienić temat.

- Nie jestem naiwna, wiem, że nie znajdę tu nic prócz samych grzbietów robionych na zamówienie. Dzwoniłam dzisiaj do Pawła, ale odebrała jego dziewczyna. Nie sądzisz, że zabawnie by było zaprosić ich obydwój?

Pomyślał ze strachem, że dziewczyna Pawła zrobi chłopakowi scenę zazdrości i wtedy Paweł zerwie umowę.

- Pomysł jest idiotyczny - powiedział nie kryjąc złości. - Wystarczy, że zadzwoniłaś.

- Wściekasz się na niewłaściwą osobę - przerwała mu ostro. - To nie moja wina, że to ona odebrała.

- Trzeba było się nie odzywać.

- Udałam, że jestem twoją pracownicą. A może zadzwoniłbyś teraz i wyprostował wszystko?

Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Jest już późno.

- Zadzwoni, w końcu płacisz mu tyle, że nie powinien się pogniewać.

Miała rację i to pod każdym względem.

- Dobrze - zgodził się. - Ale o pomysle z zaproszeniem jego dziewczyny zapomnij. To mogłoby wszystko popsuć. Swoją drogą jesteś cholernie pewna siebie.

- Najgorsza jest ta niepewność, prawda?

- Nie wiem, jak bardzo okręciłaś sobie Pawła wokół palca i pewnie nie dowiem się tego aż do końca. Ale pamiętaj, że cokolwiek się stanie, będziemy nadal małżeństwem.

- Ja też mam nadzieję, że nie zrobisz nic, co zniszczyłoby nasze życie.

- Tym razem przesadziłaś - powiedział i przez moment pomyślał, że ona o wszystkim

wie.

- Możliwe - odpowiedziała. - Ale to powinno ci dać pojęcie o tym, jak bardzo mi na nas zależy. - I wyszła.

Zostawiła go z tym ostatnim stwierdzeniem i to było najważniejsze. Świadczyło to o tym, że raczej nie obawiała się o swoje życie.

Gdyby tak było, zrobiłaby mu awanturę albo dała do zrozumienia, że wie o jego niecnym zamiarach i lepiej by było dla wszystkich, by zmienił swoje plany. Tymczasem nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Chciała jedynie dowiedzieć się, jak bardzo on ufa Pawłowi.

Możliwe też, że chciała wyrobić w nim przekonanie, że ona nie ma pewności, co do swoich szans na uwiedzenie chłopaka. To by znaczyło, że jest odwrotnie, i że chłopak niespodziewanie przeszedł na jej stronę. A skoro tak, to dobrze zrobił wynajmując Marka Krokusa, bo to, co ten odkrył, mogło się okazać bardziej przydatne niż przypuszczał.

„Tak czy siak - uznał - muszę działać szybciej i bardziej zdecydowanie. I to na obydwu frontach.” Miał na myśli zakład z żoną i romans z Katarzyną. Co do pierwszej kwestii to zdecydował się na powiedzenie Pawłowi prawdy o zakładzie i przekupieniu go, a gdyby to się nie udało, skorzystałby z planu awaryjnego, który wymyślił po tym, jak zapoznał się z rewelacjami Marka Krokusa. Oczywiście nie mogło być mowy o powiedzeniu całej prawdy Pawłowi, ale uznał, że powie mu prawie wszystko, a następnie da mu torbę z pieniędzmi - to jego ulubiony rekwizyt ostatnio - i powie mu, że będzie ją mógł zatrzymać, jeśli dobrze wywiąże się z powierzonego zadania. Już po wszystkim pojedzie do mieszkania chłopaka i wykradnie stamtąd pieniądze. Oczywiście nie osobiście, a z pomocą Roberta albo Krokusa. Ostatecznie mógłby je sobie darować, ale gdyby policja pierwsza je znalazła, mogłoby im przyjść do głowy, że ktoś wynajął Pawła, a tym kimś mógł być mąż ofiary.

Już widział nagłówki w gazetach: „Kochanek morduje żonę bogatego biznesmena i sam ginie zastrzelony przez służącego”. Albo:

„Wzgardzony kochanek morduje żonę Ryszarda N. i ginie podczas próby ucieczki.” Albo: „Zazdrosny kochanek zabija kochankę”. Albo: „Co się stało w posiadłości Ryszarda N.?” Potem pójdzie do Katarzyny, położy głowę na jej nagich kolanach i będzie płakał. Ona pogłaszcze go po głowie i potem powie, że teraz nie może go zostawić. On na to, że nie zniósłby tego, że to już byłoby za dużo jak na jedno serce takiego wrażliwego faceta jak on. Po jakimś czasie poprosi ją o rękę, a wcześniej pokaże jej takie życie, o jakim nawet nie śniła. Po ślubie będzie najwierniejszym z mężów, a ona najszczęśliwszą z żon. Cel uświęca środki? Nie od dziś, więc sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Jerzego Korkorana, bardziej znanego

jako Inżynierek.

- Cześć, Inżynierek - powiedział, gdy tamten podniósł słuchawkę.

- Ryszard Nowak? - zdziwił się tamten. - Co u ciebie słyhać? Dawno cię nie widziałem u siebie.

- Ja właśnie w tej sprawie. Mógłbyś mi coś zorganizować?

- Na kiedy i co?

- Pojutrze, polowanie z braćmi Neon. O dużą kasę.

- No problem. Pazerny zawsze chętny, na pewno się zgodzą.

- Nie przepadasz za nimi, co? - Ryszard zaśmiał się porozumiewawczo.

- Wkurzają mnie. Ta ich podwórkowa filozofia... Wczoraj przysłali mi mailem artykuł o doświadczeniu niejakiego Kornhubera, które rzekomo przeczy istnieniu wolnej woli. Wyobrażasz to sobie?

Ci prawnicy od siedmiu boleści wyobrażają sobie, że są jedynie biernymi obserwatorami tego, co robią ich ciała. Niezłe znaleźli sobie alibi dla tych swoich konszachtów z mafią, co?

- Tak, tylko oni mogli coś takiego wymyślić - zgodził się bez przekonania i od razu przeszedł na inny, o wiele bardziej interesujący go temat: - Mam jeszcze jedną prośbę. Potrzebuję kogoś u ciebie przechować.

- Nie ma sprawy. Kogo, od kiedy, do kiedy i w jakim charakterze?

- O wszystkim się dowiesz w odpowiednim czasie. Przepraszam cię, ale teraz muszę kończyć. Odezwę się niedługo.

- No dobra, ale żeby to nie było na ostatni dzwonek, okey?

- Okey. Możesz być spokojny. Naprawdę muszę kończyć, cześć.

- To tempo cię kiedyś wykończy, cześć.

Jako informatyk, Jerzy Korkoran miał wiele osiągnięć na swoim koncie. Niektórymi wolał się nie chwalić, ale to przede wszystkim właśnie one pozwoliły mu na zakup domu na przedmieściach Warszawy oraz bardzo nowoczesnego, a co za tym idzie bardzo drogiego sprzętu komputerowego. Ten sprzęt umożliwiał mu uprawianie jego pasji życia, czyli tworzenie rzeczywistości wirtualnych. Wiedzę i doświadczenie zdobywał latami. Trochę przy tworzeniu gier komputerowych, trochę pracując dla wytwórni filmowych, ale głównie pracując dla wojska. Po kilkunastu latach pracy dla innych, mógł wreszcie pracować dla siebie. Pracować, a przy tym znakomicie się bawić. No i zarabiać, w dodatku niemało. Tylko naprawdę bogatych ludzi stać było, żeby pograć w jego wirtualnych światach w paintball.

Bracia Neon należeli do tej grupy. Byli prawnikami, niektórzy nazywali ich adwokatami mafii. Niemal tradycją stało się, że przed grą próbowali wciągnąć Korkorana w dyskusje światopoglądowe.

Wysłanie mu artykułu o doświadczeniu Kornhubera było następstwem ich ostatniej dyskusji. W pewnym momencie Mateusz Neon powiedział:

- Cała doktryna chrześcijańska traci sens po obaleniu koncepcji wolnej woli.

- Z małą poprawką - odparł Korkoran. - Straciłaby.

- Będę uparty: traci. Pominę dyskusyjny fatalizm religijny związany z nieomylną wszechwiedzą Najwyższego i zadam ci bardzo proste pytanie: czy istnieje cokolwiek, czego przyczyna nie sprowadzałaby się do przyczyny z Boga? Nie. Takim mnie Panie Boże masz, jakim mnie sobie stworzyłeś. Gdziekolwiek jest ulokowany nasz aparat decyzyjny, w mózgu, czy w duszy, jest on od Boga.

Ryszard nie lubił dyskusji Korkorana z braćmi Neon. Nudziły go, a poza tym obawiał się, że wprowadzą złą atmosferę, która zaszkodzi grze i dlatego zawsze je przerywał po dość krótkim czasie.

Był pewien, że Paweł nigdy nie był u Inżynierka. Podczas, gdy jego żona będzie miała kochankę wizją życia wyuzdanego, pozbawionego wszelkich zahamowań albo będzie grała kobietę zakochaną, on pokaże szczeniakowi jak może wyglądać życie prawdziwego faceta, gdy trzyma się z odpowiednimi ludźmi. Uśmiechnął się do tej myśli i żwawym krokiem poszedł wziąć prysznic. Potem miał zamiar zadzwonić do Pawła i przykazać mu, by lepiej pilnował telefonu, a następnie położyć się spać, bo czekało go wiele ciężkich bitew. Jeśli chciał je wygrać - a przecież chciał - to musiał być w dobrej formie. Już taki był, że do wszystkiego, co robił, podchodził metodycznie. Dzięki temu jego życie przypominało fikuśny, ale sprawnie działający zegarek.

Po prysznicu okazało się jednak, że w mechanizmie coś się zacięło - za żadne skarby nie mógł się dodzwonić do Pawła. Centrala twierdziła, że „abonent jest chwilowo nieosiągalny”. Lekki niepokój, jaki się wtedy w nim pojawił, spowodował, że sięgnął po zdjęcie, które pokazał mu detektyw Krokus. Gdy zobaczył je po raz pierwszy, powiedział:

- O, całkiem ładne ujęcie. Nie wiedziałem, że nasz chłopak gra w pornosach. Dobra robota, to się może przydać

Detektyw odczekał chwilę i powiedział:

- To niezupełnie tak. - Po czym, niektóre zdarzenia pomijając, inne nieco zmieniając, opowiedział historię swojego śledztwa.

* * *

Najpierw dowiedział się, gdzie uczy się dziewczyna chłopaka i gdzie pracował kiedyś on, ale niewiele mu to dało. Zrobił trochę zdjęć (których prezes nawet nie chciał oglądać), odbył kilka rozmów, ale wciąż nie miał pojęcia, jak jego zleceniodawca mógłby wykorzystać na przykład fakt, że chłopak wychował się w domu dziecka, a rodzice dziewczyny byli nauczycielami, ojciec rosyjskiego, matka polskiego. Albo to, że Paweł często zmieniał pracę, a dziewczyna była pilną słuchaczką wciąż tego samego kierunku, filologii języka polskiego, i dorabia pisząc czystej wody grafomanię do pism dla kobiet.

Właśnie nad tym ubolewał, gdy ktoś zadzwonił. Schował zdjęcia chłopaka i dziewczyny do szuflady biurka i podszedł do drzwi. Spojrzał przez wizjer i zobaczył Magdę Wałach, kobietę, którą śledził na zlecenie jej męża, dyrektora pewnego banku, jak się okazało rogowca mającego szczęście w finansach, ale nie mającego szczęścia w miłości. Domyślał się, czego mogła chcieć ta młoda i bardzo atrakcyjna kobieta. Wiedziała już, że ją nakrył z trenerem tenisa i pewnie przyszła przekupić go, żeby jej nie wydał przed mężem. Spóźniła się zaledwie godzinę. Pomyślał, że nie ma nic do stracenia i otworzył drzwi.

- Poznaje mnie pan?

- Poznaje. I to pomimo tego, że pierwszy raz widzę panią tak bardzo ubraną.

- Głupi żart. Mogę wejść? Nie pożałuje pan.

W głosie kobiety była bliżej nieokreślona obietnica. Uśmiechnął się i zrobił przejście, odsunawszy się nieco. Dokładnie tyle, by mogła przejść i dokładnie tyle, by musiała przy tym się o niego otrzeć.

Bez pytania usiadła w jednym z dwóch foteli, które niedawno sobie sprawił i zapytała:

- Ile panu zapłacił mój mąż?

Siedząc w drugim fotelu patrzył na jej zgrabne nogi, założone jedna na drugą i nabierał na nią coraz większej ochoty.

- Myśli pani, że wszystko można kupić... za pieniądze?

Zaczerwieniła się i odpowiedziała:

- Może nie wszystko za pieniądze, ale wszystko można kupić.

Zaśmiał się i zapytał:

- Zapali pani?

- Wolałabym się czegoś napić.

- Wedle życzenia łaskawej pani - odparł i odłożył na ławę papierosy, po czym wstał i podszedł do barku na kółkach. Nalał po lampce koniaku i podszedł z tym do kobiety. Ta wzięła od niego kieliszek dotykając celowo jego palców. Pomyślał, że łatwo mu z nią pójdzie i dotknął jej odsłoniętego kolana.

- Nie tak szybko, mój panie - delikatnie, ale stanowczo zdjęła z kolana jego dłoń. - Najpierw materiały. Zdjęcia, filmy, co tam pan ma.

Uśmiechnął się i wrócił na swój fotel.

- Może jakaś zaliczka? - zaproponował.

Kobieta pomału przelożyła nogi pokazując zaliczkę.

Młasnął z zadowolenia.

- Wystarczy? - zapytała.

- Na początek - odparł z uśmiechem i podszedł do biurka. Wyciągnął stamtąd teczkę ze zdjęciami i podał ją kobiecie, po czym wrócił na swoje miejsce.

Ta obejrzała zdjęcia i zapytała:

- A gdzie elektroniczne kopie?

- Nie ma - skłamał. - Jestem tradycjonalistą.

Magda Wałach rozejrzała się po pokoju umeblowanym staroświecko i drogo. Widać było jak walczy ze sobą. Wstał, żeby znowu nalać jej i sobie koniaku. W tym czasie mówił:

- Bądźmy szczerzy: nie sposób sprawdzić, czy mam kopie, czy ich nie mam. Przecież zdawała sobie pani sprawę z tego zanim tu przyszła, prawda?

Kobieta milczała, ale po jej minie widział, że tak było.

- Ryzykowałeś moja droga - niespodziewanie przeszedł na ty. - Tak samo zresztą jak i ja - dokończył tuż przy jej ustach.

- A pan... A ty czym ryzykujesz?

- Tym, że się wyda, że przeleciałem żonę swojego klienta - odparł, po czym pocałował ją w usta.

Nie broniła się. Wiedział, że jest już jego. Niestety wiedział też, że będzie miał problem ze wzwodem. Zwykła goła dupa przestała go podniecać już jakiś czas temu. Dziesiątki lat zatruwania organizmu dymem papierosowym i alkoholem zrobiły swoje. W dodatku akurat teraz musiał zacząć go boleć ząb. Nie było wyjścia jak poszukać pomocy w pornosie.

- Zaczekaj - powiedział. - Zrobię nastrój.

Magda Wałach obserwowała, jak najpierw włącza lampkę nocną, potem wyłącza

główne światło. Gdy spojrzął na nią, głośno wyraził niezadowolenie, że jest jeszcze ubrana. Zaczęła się rozbierać, a on podszedł do szafki z kasetami video, wyjął jedną i włożył w szczelinę odtwarzacza. Była zdziwiona, że ktoś jeszcze używa tak starego sprzętu, ale wyglądało, jakby jednocześnie uspokoiła się, że faktycznie jest tradycjonalistą, więc pewnie nie ma elektronicznych kopii zdjęć przedstawiających ją w sytuacjach jak te, które teraz pokazały się na ekranie telewizora.

Podszedł do niej, gdy była już zupełnie naga. Zarówno jej krótka sukienka, jak i koronkowe majteczki leżały na podłodze. Powiedział, żeby się odwróciła i oparła o ławę. Miał teraz przed sobą jej tyłek i ekran telewizora, dwa bardzo apetyczne dania. Pewnie zdziwiła się, że przestał ją dotykać i szybko podbiegł z dyndającym penisem do odtwarzacza. Tak był pochłonięty cofaniem i puszczeniem od nowa fragmentu z pewnym młodzieńcem, że nawet nie zauważył, jak się ubrała i uciekła z teczką ze zdjęciami. Ale wcale się tym nie przejął. Pomijając, że zdjęcia przekazał już jej mężowi i miał ich kopie, to, co innego go teraz podniecało. Tak, to ten sam chłopak, myślał, porównując obraz na ekranie telewizora ze zdjęciem Pawła.

Wreszcie coś miał. Tylko, co? Tego jeszcze nie wiedział, ale od czego są starzy przyjaciele?

* * *

Ryś, były kapitan MO, swoje przejście z „obyczajówki” do branży pornograficznej uważał za coś naturalnego wobec przejścia kraju z gospodarki planowej na gospodarkę wolnorynkową. Zmiany ustrojowe przyjął z całym ich dobrodziejstwem i zawsze bardzo się dziwił, że ten nowy kraj ze swoją nową gospodarką nie przyjmuje nowej rzeczywistości także z całym dobrodziejstwem, czyli z nim, co uważałby za naturalną kolej rzeczy. Ale, jak przystało na byłego kapitana MO, był dzielny, nie poddawał się. Pomocne mu w tym były dawne znajomości, wieloletnie doświadczenie obracania się w specyficznym środowisku, a także dawni koledzy. Nie zdziwił się więc, gdy jeden z nich, z którym od czasu do czasu wyświadczali sobie różne przysługi, podobnie zresztą jak inni byli funkcjonariusze, poprosił

go o spotkanie. Czekał na niego w swoim domu pod Warszawą nie przerywając sobie ulubionej czynności, czyli oglądania po raz setny „Stawki większej niż życie”. Marzył, że kiedyś nagra jej pornograficzną wersję.

Zadzwoił do drzwi jego willi punktualnie o umówionej godzinie. Ryś sprawdził na podglądzie z kamery, kto to i nakazał jednej z dziewczyn wpuścić gościa do salonu, po czym sam udał się tam nieśpiesznie, więc gdy tam wszedł, on już siedział na kanapie trzymając w rękach kasetę video. Przywitali się i kapitan zapytał, czego się napije. Odpowiedział mu, że dziękuje, niczego, bo prowadzi, poza tym śpieszy się. Nie chciało mu się tłumaczyć, że jego boląca jedyńka nie lubi zimnego.

- Więc nie powspominamy? - zapytał kapitan.

- Nie dziś.

- No dobra, wal z czym przychodzisz.

Podał mu kasetę i poprosił:

- Mógłbyś to obejrzeć i powiedzieć mi - albo ktoś z twoich pracowników - kto to jest ten młodzian w pierwszej scenie?

Ryś spojrział uważnie na swojego byłego podwładnego i bez słowa podszedł do odtwarzacza video stojącego na półce pod wielkim telewizorem. Włożył kasetę, po czym wziął ze sobą dwa piloty, jeden od telewizora, drugi od odtwarzacza, i wrócił na swoje miejsce na drugiej kanapie.

- Jeśli to mój człowiek - powiedział. - To wiesz, że raczej ci nie pomogę?

- Spokojnie, nie zamierzam wchodzić ci w paradę.

- To ten? - zapytał, gdy na ekranie pojawił się młody mężczyzna.

- Tak.

Ryś zrobił stopklatkę i wychodząc z pokoju rzucił:

- Zaczekaj chwilę.

Zapalił papierosa i puścił kółka w stronę telewizora, na którym mężczyzna łudzaco podobny do tego, którego kazał mu śledzić prezes Nowak, prężył swoją męskość. Po chwili do pokoju wrócił kapitan, ale już nie sam. Były z nim dwie dziewczyny, o których się mówi, że mają czym oddychać, i jeden młody mężczyzna. Ubrani byli w szlafroki, pomimo tego, że był środek dnia.

- Znacie go? - zapytał Ryś.

- Ja chyba znam - odpowiedziała jedna z dziewczyn. - Mógłby szef puścić kawałek?

Szef puścił, a ona powiedziała:

- Tak, to na pewno Piotruła.

Zdziwił się głośno:

- Nie Paweł?

- Jaki Paweł? - Z kolei zdziwiła się dziewczyna.

- Nieważne - odparł. - Masz z nim jakiś kontakt?

- Z nim? - zdziwiła się znowu, tym razem przesadnie. - Kontakt z nim? Nie kumpłował się z nikim z branży. Zresztą, o ile wiem, nie używał komórki. Szefostwo kontaktowało się z nim mailowo.

- Dobra - wtrącił się do rozmowy Ryś. - Starczy tego, wracajcie do pracy. Jeszcze mi tylko powiedz, Ewelinko, gdzie z nim pracowałeś.

- U Rasputina - powiedziała dziewczyna, czerwieniąc się.

Kapitan kiwnął głową, że może odejść.

Gdy wyszli, zapytał go:

- Mógłbyś mi wyjaśnić, o co chodzi?

Wyjął z kieszeni fotografię i pokazał kapitanowi. Ten popatrzył na nią chwilę i rzekł:

- To ten sam. I co z tego?

Odpowiedział mu, że ten ma na imię Paweł i że to chyba nie jest ten sam facet, a na koniec zapytał:

- Mógłbyś postarać się o namiary na tego ogiera z filmu? - Jedynka bolała go coraz bardziej.

- Chyba mógłbym. Rasputin - wyobrażasz sobie, że sam sobie taką ksywkę nadał? - to moja konkurencja, ale mam tam swojego człowieka. Dzisiaj wieczorem zadzwonię do ciebie i powiem ci, czego udało mi się dowiedzieć.

Wieczorem znalazł już nie tylko aktualny adres sobowtóra Pawła, kochanka żony prezesa Nowaka, ale także jego email i jego historię. W bardzo wczesnym dzieciństwie został adoptowany przez pewną wpływową rodzinę z Warszawy, było to w połowie lat osiemdziesiątych. Niedawno dowiedział się o tym przez przypadek, w dodatku także o tym, że miał rodzeństwo, którego ci jego przybrani rodzice nie chcieli adoptować. Nie wiedział, czy to była siostra, czy brat, czy jedno, czy więcej rodzeństwa, ale to mu wystarczyło, by zniechęcić tych, którzy go adoptowali. Z zemsty został aktorem porno. Dobrze wiedział, że wielu znajomych jego przybranych rodziców mniej lub bardziej potajemnie ogląda takie filmy. Był ciekaw, ilu przyzna się do tego, oznajmiając państwu Baruch, że w jednym z aktorów porno rozpoznali ich syna. Żałował przy tym, że tego samego nie będą mogli zrobić znajomi jego prawdziwych rodziców, bo oni nie wiedzą, jak wygląda syn, którego tamci

kiedyś oddali do domu dziecka, a może nawet nie wiedzą, że tamci coś takiego w ogóle zrobili.

Trochę trudniej było ustalić, z jakiego Domu Dziecka Piotr trafił do rodziny Baruchów, ale w końcu i tego się dowiedział. Jechał tam teraz mijając po drodze większe i mniejsze miasta, a przede wszystkim wsie, w tym tę leżącą nad jeziorem, gdzie za komuny Baruchowie mieli domek letniskowy. Kilka kilometrów za nią nawigacja poleciła mu skręcić w prawo. Przejechał przez przejazd kolejowy, a potem krętą i wąską drogą asfaltową dojechał do skrzyżowania, gdzie miał skręcić w lewo. Po czterech kilometrach po prawej stronie miał duży budynek Domu Dziecka stojącego wśród starych drzew. Wjechał przez otwartą bramę i zaparkował niedaleko głównego wejścia. W tym momencie bardzo wyraźnie czuł, że dojrzał do tego, żeby wreszcie jechać do dentysty. Przynurzył się, że jak skończy tutaj, to ją za karę wyrwie, jeśli nie przestanie mu dokuczać.

Budząc wielkie zainteresowanie kilkorga dzieci w różnym wieku, wszedł do środka. Słyszał nie raz o specyficznym rodzaju zainteresowania dzieci z domu dziecka i teraz tego doświadczał. Miał nadzieję, że szybko uwolni się od natrętów i przedstawivszy się pierwszej napotkanej osobie, a najwyraźniej była to sprzątaczką, jako dziennikarz z Warszawy, zapytał, którędy do dyrektora. Miał szczęście, że ten był u siebie w gabinecie.

Dyrektor był starszym mężczyzną z wyrazami zatroskania na twarzy tak głęboko na niej wrytymi, jakby się z nimi urodził.

- Czym mogę służyć? - zapytał po tym, jak przedstawił mu się fałszywym nazwiskiem i fałszywą funkcją w TVNnie.

- Zna pan nasz program?

- Średnio. Moja żona za to ogląda wszystkie odcinki.

- Ale nawet ona nie wie, że tym ludziom płacimy.

- Widzom siedzącym w studio?

- Też.

- Rozumiem.

Nie spieszył się. Spokojnie czekał aż ryba złapie haczyk. Po chwili starszy pan do swojego niezrozumienia dodał:

- Ale co ja mam z tym wspólnego?

- To, że chcę panu zaproponować udział w naszym programie.

Dyrektor zaśmiał się, a potem machając rękoma, jakby zasłaniał się przed kamerą, powiedział:

- Nie ma mowy, na to na pewno się nie zgodzę. Nie jestem fotogeniczny, poza tym nie pragnę sławy.

- Kto mówi o sławie?

- No wie pan, występ w telewizji...

- W mocnej charakteryzacji... - dokończył za niego.

- Mimo wszystko. Przykro mi, ale nie jestem tym zainteresowany. Poza tym, dlaczego miałbym tam wystąpić? Nie mam nic ciekawego do opowiedzenia.

Nie był pewien, czy to prawda, bo dyrektor lekko się zaczerwienił gdy to mówił, ale chwilowo nie zamierzał drążyć tego tematu.

- Pan nie, ale Piotr Baruch, tak - powiedział.

Starszy mężczyzna chwilę myślał, a potem powiedział:

- Nie znam. Przykro mi, ale nie znam.

- Przecież to wychowanek pańskiego Domu Dziecka. Adoptowano go w latach osiemdziesiątych.

- Robicie program o adopcjach?

- Nie. Robimy program o aktorach porno.

Mężczyzna milczał. Zapytał go:

- Papierosa?

Zapalili obydwaj. Pierwszy odezwał się dyrektor.

- Wolałbym nie mieszać do tego naszego Domu Dziecka. Nie potrzebujemy takiej reklamy. Domyślam się, że Piotr Baruch jest aktorem porno?

- Tak. Przykro mi, ale klamka już zapadła. Ten program zostanie nagrany czy pan chce, czy nie.

- Mi też przykro.

- Może mógłbym jakoś panu zrekompensować tę przykrość - powiedział, przesuwając w kierunku swego rozmówcy kopertę.

- A to za co? Powiedziałem, że nie wezmę udziału w tym programie. Proszę to zabrać, bo zawołam policję.

- I powie pan, że chciałem panu wręczyć wynagrodzenie za pomoc przy tworzeniu programu telewizyjnego?

Dyrektor najwyraźniej zrozumiał, że ma okazję zarobić legalnie zawartość koperty, bo chowając ją do szuflady zapytał:

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Informacji o małym Piotrusiu, którego w latach osiemdziesiątych adoptowało

małżeństwo Baruchów ze stolicy.

Mężczyzna chwilę walczył z sobą, po czym powiedział:

- Pawełek miał mniej szczęścia niż Piotruś. Baruchowie nie chcieli go adoptować, chcieli mieć jedynaka. Wylosowali Piotrusia.

To było bardzo wpływowe małżeństwo, załatwili to sobie bez problemu. To wszystko, czego się pan ode mnie dowie. A teraz niech mi pan da umowę do podpisania. Zarabiam wyłącznie legalnie.

Początkowo prezes Nowak nie bardzo wiedział jak może wykorzystać historię opowiedzianą przed detektywa, ale któregoś dnia go olśniło. Teraz zaś był odpowiedni moment, by plan wprowadzić w życie. W tym celu zadzwonił do doktora Pająka, znanego chirurga ortopedy. Profesja doktora była powszechnie znana, natomiast tylko trzy osoby znały pewną jego tajemnicę, którą Ryszard uwiecznił swego czasu na filmie nakręconym ukrytą kamerą. Tą tajemnicą była upojna noc, jaką doktor Pajak spędził z żoną Ryszarda Nowaka.

- Witam pana doktora - powiedział Ryszard do słuchawki.

- Witam, czym mogę panu służyć? - zapytał doktor po odchrząknięciu, co miał w zwyczaju czynić w sytuacjach stresowych. - A przede wszystkim proszę się przedstawić.

- Tak szybko zapomina pan przyjaciół? Ryszard Nowak, poznaliśmy się jakiś czas temu. Wprawdzie o wiele bliżej poznał pan moją żonę...

- Nie musi pan kończyć, wiem, z kim rozmawiam. O co chodzi?

- O pewną przysługę, której mi pan doktor, jak sądzę, nie odmówi z uwagi na naszą starą znajomość, a zwłaszcza znajomość...

- O jaką przysługę chodzi? - przerwał Ryszardowi doktor, którego najwyraźniej denerwowało przypomnienie mu znajomości z Jolantą Nowak.

- A to już nie jest sprawa na telefon. Zapraszam do siebie. Chyba, że pan doktor chce, byśmy go z małżonką odwiedzili u niego.

- Aż tak gościnnie nie jestem. Może być jutro o piętnastej? Proponuję w restauracji...
Może być w „Masce”?

- Też na Krakowskim? Bardzo dobry pomysł - pochwalił doktora

Ryszard. - W takim razie czuję się zaproszonym przez pana doktora na obiad.

W słuchawce jakiś damski głos z daleka pytał, kto dzwoni. Trzask odłożonej słuchawki rozbawił Ryszarda Nowaka. Wiedział, że pytała zazdrosna żona doktora Pająka, kobieta pochodząca z prawniczej rodziny, w której zwyczajowo sporządzano intercyzy małżeńskie, w pewnych okolicznościach bardzo niekorzystne dla mężów.

Ryszardowi chodziła po głowie jeszcze jedna możliwość. Mógł zaszantażować Pawła, że powie jego dziewczynie o jego aktualnej pracy. Ale ten pomysł miał swoje wady. Przede wszystkim Paweł mógłby z zemsty go oszukać, że się zgadza i o wszystkim powiedzieć

Joli. To wprawdzie groziło mu cały czas, ale po co miałby stwarzać dodatkowe niekorzystne dla siebie okoliczności? Co innego, gdyby dziewczyna Pawła anonim dostała tuż przed popełnieniem morderstwa, ale tak, żeby policja myślała, że Paweł o tym się dowiedział.

Wtedy pojawiłby się dodatkowy motyw morderstwa, co działałoby na niekorzyść Pawła, a więc na korzyść jego.

W każdym razie, gdyby chłopak zaczął za bardzo podskakiwać albo ewidentnie trzymać z Jolą, będzie miał w odwodzie jego brata bliźniaka. Albo... Tak, tak będzie najlepiej. Zdziwił się, że nie przyszło mu to do głowy wcześniej. Ale tak bywa z rozwiązaniami oczywistymi. Teraz miał niemal pewność, że jego żona zginie.

* * *

- „Ordynarny skurwiel - pomyślała Jola, mając na myśli własnego męża. - Nawet się nie zająknął, gdy ze mną gadał. A przecież nie rozmawialiśmy o pogodzie, do jasnej cholery! A swoją drogą to ciekawe, w jaki sposób zamierza zmusić Pawła do strzelenia do mnie. Lub do niego, w końcu nie wiadomo, kto kogo wyrokuje. Już on coś wymyśli; w tym jest dobry. Chyba, że się mylę. Co do czego? Co do wszystkiego. Cholera, muszę się napić.”

Stan, w jakim znajdowała się Jolanta Nowak można by określić jako mieszaninę podniecenia, strachu i wyrzutów sumienia. Prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, że butelkę wódki wyciągnęła z barku po to, by to wszystko w sobie utopić. Z początku miała zamiar zrobić sobie jednego drinka (często to robiła przed snem), ale ostatecznie zdecydowała, że przypomni sobie jak smakuje czysta wódka. Wzięło się to stąd, że nie była zadowolona z rozmowy z Ryszardem. Niby wprowadziła go w stan niepewności, ale... No właśnie, czy dobrze to rozegrała?

„Twoje zdrowie, Pawełku, w końcu to od ciebie zależy, jak to się skończy” - powiedziała w myślach i duszkiem wypła pierwszy kieliszek.

„Chyba nie zamierzasz się upić, co? - zapytała potem samą siebie, gdy siedziała w swoim ulubionym fotelu, a na stoliku obok stała butelka wódki. Samej sobie odpowiedziała: -

Nie, skądże znowu; w końcu jestem porządną kobietą.”

Jednym z jej największych zmartwień było w tej chwili to, że jej mąż, o którym do niedawna myślała, że nawet jeśli jej nie kocha, to ją w jakiś sposób podziwia, trochę się boi i bardzo jest do niej przywiązany - ten mąż ni stąd, ni zowąd chce ją zamordować. I za co?

„Pytanie powinno brzmieć: dlaczego? - poprawiła się w myślach.

- Gdyby miało brzmieć: za co?, to powinien mnie zabić już dawno temu. W końcu zrobiłam mu niejedno świństwo. Niejedno zrobiliśmy razem, ale były i takie, które zrobiłam sama i to jemu. Może przekroczyłam barierę? Nie, to raczej sprawka tej młodej dziwki, w której z pewnością się zadurzył.”

Nalała sobie następny kieliszek i cicho powiedziała:

- Twoje zdrowie, mała. - Potem wypiła do dna, a gdy już złapała oddech dodała: - Musisz być niezła, skoro taki twardziel jak Ryszard popełnia dla ciebie ten błąd, że zadziera ze mną.

Wstała z fotela, zachwiała się, przeklęła pod nosem i podeszła do okna. Patrząc przez nie, myślała: „Nawet nie mam z kim pogadać.

W takich wypadkach rozmawia się z mężem albo z Bogiem, a ja w tego pierwszego nie wierzę, a drugiego chcę zabić... Albo odwrotnie. Prawie każda kobieta ma przyjaciółkę albo chociaż powierniczkę, a ja jestem sama.”

„Śmieszna jesteś - usłyszała drugą Jolę, która budziła się w niej po określonej porcji alkoholu. - Do samotności powinnaś była przywyknąć.”

Był taki czas, że nie była sama. Było to przez pierwsze dwa, może trzy lata małżeństwa z Ryszardem. Wtedy wszystko robili razem.

Razem knuli, śmiali się i razem używali życia. Byli jak dobrze rozumiejąca się para gangsterów. Pewnie dlatego gotowa była go teraz zabić. A jeśli on zabije ją? Wszystko jedno, byle to się wreszcie skończyło. A skąd w ogóle pewność, że mąż chce ją zabić? Jeśli to prawda, co mówił profesor... Paweł musi po prostu strzelić do Ryszarda - wtedy nie będzie miało znaczenia, czy w pistolecie są straszaki, czy prawdziwe kulki. Więc ma go przekupić? W tym jest lepszy Ryszard. Jeśli jeszcze tego nie zrobił, to zrobi to niebawem.

W dodatku powie mu przy okazji o zakładzie!

W jednej chwili, co robi jej mąż. Powie Pawłowi o zakładzie, przekupi go, da mu pistolet ze ślepakami, potem zamieni naboje i Paweł strzeli do niej, bo będzie myślał, że to tylko zakład.

„Przecież nie powiem mu, że naboje są prawdziwe - pomyślała, opadając z powrotem na fotel. - Bo wtedy nici z planu. W dodatku mogą rzeczywiście być ślepe i wyjdę na idiotkę.”

Zasepiła się. Czowała się samotna i zmęczona. W dodatku łóżko było tak daleko... Wypadałoby też się rozebrać do spania. No i umyć.

Tak jej się nie chciało... Nic jej się nie chciało. A już na pewno nie chciała oglądać swojego nagiego ciała. Poziom alkoholu w jej krwi musiał już być znaczny, skoro gardziła swoim własnym ciałem.

Również na co dzień zdawała sobie sprawę ze swojego niemłodego już wieku i uciekającego czasu, lecz tylko wtedy, gdy za dużo wypijała, zaczynała się nad sobą roztkliwiać, co czasami przybierało formę jawnego ataku na to wszystko, co w innych okolicznościach było atutem. W tych innych okolicznościach, czyli prawie zawsze, szczególnie dumna była ze swojego biustu, który z pewnością do małych nie należał, a w dodatku był prawdziwy i ciągle w nienajgorszej formie. Co do tyłka, to już dawno zauważyła, że zdecydowana większość mężczyzn gardzi tyłkami typu chłopięcego - co, według niej, zrozumiałe jest samo przez się - więc ona ze swoim jak najbardziej kobiecym, mogła uchodzić - i uchodziła! - za obiekt szczególnie warty pożądania. Ileż razy na wszelkiego typu zabawach musiała zdejmować z niego łapska najprzeróżniejszych adoratorów, z których wielu sięgało brodą zaledwie do jej piersi, w które zresztą uwielbiali wsadzać swoje zasmarkane nosy.

Nie wiedziała, jak to się działo, ale właśnie mężczyźni niżsi od niej lubili z nią tańczyć najbardziej. Oczywiście robili to tylko wtedy, gdy porządnie sobie popili, bo wcześniej za bardzo zdawali sobie sprawę ze swojej śmieszności. Gdy byli już gotowi, patrzyli jej w oczy z uległością i cali niemal drżeli, gdy przyciskali swe wątle ciała do jej matczynych cycochów. Pokazywała im swoje krągłe uda i z satysfakcją, i rozbawieniem patrzyła jak wodzą za nią tęsknym wzrokiem.

Dlaczego więc teraz, kiedy była pijana, tak bardzo przeżywała swój wiek? Czekala ją bitwa, a ona nie była należycie uzbrojona; miała broń, może nawet nie najgorszą, ale nie była to broń najnowszej generacji; mogła z jej pomocą wygrywać pomniejsze bitwy, ale o wygraniu wojny nie mogła nawet marzyć - oto dlaczego wściekała się na swoje ciało.

Musi wymyślić jakiś podstęp. No i z Pawłem musi postępować ostrożniej. Chciała go wziąć szturmem, a trzeba mu było dać czas na marzenie, na tęsknotę. W głowie dzieje się więcej niż na zewnątrz niej. Myślałby o niej, zastanawiał się - i to by coś dało. Ale ona musiała przecież zacząć jeść nim ciasto było gotowe. Jest jak dziecko.

Z tą różnicą, że dzieci tyle nie piją. Chyba nawet wcale nie pija alkoholu. W każdym razie nie powinny. Prawdę mówiąc ona też nie powinna. Dlaczego więc wypija kolejny

kieliszek?

Chwilę po tym jak wypila, próbowała przenieść się na łóżko, ale jej się to nie udało. Zaśmiała się głośno, potem nagle posmutniała, zapatrzyła w kąt pokoju i zasnęła tam, gdzie stała, czyli na dywanie.

Obudził ją strzał z pistoletu. Otworzyła oczy, popatrzyła dookoła i zdała sobie sprawę z tego, że był to sen. Nie pamiętała jednak, kto do kogo strzelał. Spojrzała na zegarek - była druga w nocy.

* * *

Piotr Baruch, budząc się o zmierzchu cały połamany dwa dni później w czarnym Fordzie Transicie jadącym z Gdańska do Warszawy, patrzył bezmyślnie na migające za oknem przydrożne drzewa. Po jego bokach siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden właśnie z wielkim trudem zdejmował biały fartuch odsłaniając garnitur, a drugi, z dziwną kocią bródką, miał na sobie granatowy tshirt.

Najwyraźniej było mu bardzo ciepło. Piotr pomyślał, że wciąż śni, a wtedy ten z bródką powiedział lekko sepleniąc:

- Gdybyś był Indianinem, nazywałbyś się „Jednoręki Podróżnik”.

Odpowiedział, że gdyby był Indianinem, nazywałby się Grand Wazoo i podążałby drogą Inków do Montany. A potem coś go tknęło i spojrzał najpierw na prawą rękę, a potem... Lewej nie mógł podnieść. Najpierw pomyślał, że przyciska mu ją sąsiad swoim ciałem, ale potem zrozumiał, że nie ma nad nią władzy z innego powodu.

Spojrzał na nią i zobaczył... kikut? Ręka wyglądała na krótszą i była obandażowana, na końcu bandaża zbierała się krew. Do tej ręki miał podłączoną kroplówkę, którą zawieszono na wieszaku przy bocznej szybie od strony mężczyzny w garniturze. Poczł jak blednie.

- Zgadza się - znowu odezwał się ten w z bródką. - Obudziłeś się bez jednej ręki. Amputowaliśmy ci ją. Znaczą się ja i pan doktor.

Mam ją tu, w tej oto podręcznej lodóweczce - mówiąc ostatnie zdanie uchylił pokrywę pojemnika i pokazał jego zawartość Piotrowi.

Jego oczom ukazała się ręka najwyraźniej ucięta między łokciem a nadgarstkiem. Leżała częściowo zanurzona w kostkach lodu, ale rozpoznał swój zegarek zapięty na nadgarstku. Przez warkot silnika coraz natręczywiej przebijało się bicie serca. Jego serca.

Spróbował przypomnieć sobie wydarzenia poprzedzające sen.

Dwaj mężczyźni, z którymi teraz jechał samochodem, przyszli do jego mieszkania i przedstawili się jako ludzie Rasputina, o których ten mu wcześniej napisał w mailu, że przyjadą po niego, bo chciałby, żeby z niedawną partnerką Ewelina zagrał w jego nowym filmie.

Imiona się zgadzały, godzina też, więc nie miał powodu, żeby coś podejrzewać, założył więc swoją ulubioną koszulkę z Frankiem i wsiadł z nimi do srebrnego audi a4, za którego kierownicą siedział człowiek z otoczenia Rasputina, co go dodatkowo uspokoiło, a po jakimś czasie zachciało mu się spać, w czym też nie widział nic dziwnego. Ale to, co działo się teraz, normalne już nie było.

- To nieprawda - powiedział z nadzieją w głosie. - Nie wierzę wam. Gdybyście mi ucięli rękę, to nie czułbym teraz w niej bólu, proste, prawda?

- Nie prawda - odparł spokojnie mężczyzna w granatowym tshircie o imieniu - teraz to sobie przypomniiał - Marek. - Pan doktor wytłumaczy pacjentowi, czym są bóle fantomowe. - Jego mowa wciąż była niewyraźna, a to z powodu - Baruch dopiero teraz zwrócił na to uwagę - braku zęba na przedzie.

Pan doktor, który w mieszkaniu w Gdańsku przedstawił się jako

Henryk, już nabierał powietrza, żeby to wytłumaczyć, gdy Marek zaczął mówić dalej:

- Wiem co byś chciał teraz usłyszeć, nasz śmiech i przeprosiny za głupi żart. Pośmiać się możemy, ale muszę cię zmartwić. To nie jest żart.

Piotr patrzył mu przez chwilę prosto w oczy, a potem powiedział:

- To jest żart. Ten twój fałszywy doktorek nie dałby rady tu w samochodzie uciąć mi ręki. A nawet gdyby, to byłyby tu jakieś tego ślady.

Marek pokiwał głową z politowaniem i zapytał:

- A skąd wiesz, pacanie, czy się gdzieś po drodze nie zatrzymaliśmy? Pewnie nawet nie zauważyłeś, że zmieniliśmy samochód. - Następnie wyjął papierosa z paczki i wsadził go sobie do buzi, ale nie zapalił. Piotr patrzył chwilę na mężczyzn, próbując znaleźć w ich twarzach cokolwiek, co dawałoby mu nadzieję, że to jednak głupi żart. Niczego takiego jednak nie znalazł. Wsłuchał się wtedy w swoje ciało, ale nie był pewien, czy to, co usłyszał, to był objaw stresu, czy amputacji. Wszak i uczucie gorąca i mdłości mogły wynikać zarówno z jednego, jak i z drugiego. Rozejrzał się po samochodzie.

Rzeczywiście to już był inny samochód niż ten, do którego wsiadł w Gdańsku. Ten był znacznie obszerniejszy, prawdopodobnie jakiś van. W nogach Henryka stało coś w rodzaju metalowej walizki, a między nogami Marka stał pojemnik, w którym przed chwilą widział...

Swoją rękę? W powietrzu czuć było smród szpitala, który przyprawił go o mdłości. Po chwili namysłu, niepewnie, a nawet z lękiem sięgnął do kikutu, żeby odwinąć bandaż.

- Nie radzę - usłyszał głos Marka. - Pan doktor wyjaśni pacjentowi, czym to grozi.

Henryk chrząknął, a potem powiedział:

- Przede wszystkim zakażeniem. No i konsekwencjami zakażenia, infekcją. To mogłoby bardzo utrudnić przyszywanie ręki z powrotem.

- Czy mówiłem ci - zapytał Marek. - Że masz szansę odzyskania ręki? Dlatego jest w lodówce.

- Przestańcie pierdolić!

- Jak chcesz, ale muszę cię uprzedzić, że za kilkanaście minut możesz już nie być taki bystry. Znieczulenie przestanie działać i pojawią się inne przykre konsekwencje, które w sumie uczynią z ciebie człowieka średnio przytomnego, że tak powiem. Dlatego radziłbym ci skorzystać z okazji i nas wysłuchać. Usłyszysz same dobre wiadomości, obiecuję ci to. Proszę zaczynać, doktorze.

Doktor, jak to miał w zwyczaju, najpierw chrząknął. Potem powiedział:

- O ile sam zabieg przeszczepu nie jest aż tak skomplikowany jakby się wydawać mogło, chociaż jest oczywiście o wiele bardziej skomplikowany niż amputacja...

- Do rzeczy, doktorze - niecierpliwił się Marek.

- Oczywiście. No więc największym problemem przy przeszczepie jest znalezienie odpowiedniego dawcy. Grupa krwi, zgodność immunologiczna, zgodność tkankowa... Jednym słowem najlepiej przeszczepić własną rękę pacjenta.

- Widzisz, chłopaku? Jesteś w czepku urodzony. Ja tu mam w lodóweczce idealną rękę dla ciebie, bo twoją własną. A przecież mogłaby ci się trafić ręka jakiegoś czarnucha albo baby jakiejś i jakbyś sobie wtedy konia walił? Ręką kobitki to pół biedy, to mogłoby być nawet zabawne, zwłaszcza, gdyby to była ręka twojej dziewczyny, ale łapskiem czarnucha?

- Mała uwaga, panie Marku. - Po obowiązkowym chrząknięciu wtrącił się doktor. - Po pewnym czasie przeszczepiona dłoń byłaby nie do odróżnienia od własnej dłoni pacjenta. I to nawet, gdyby to była dłoń kobieca. Nabrałyby szorstkości skóry pacjenta, wyrosłyby też na niej włosy takie same jak na nieamputowanej dłoni.

Marek przez chwilę patrzył na doktora w milczeniu, a potem zwrócił się do Piotra:

- Czy to cię pociesza? Powiem ci szczerze, że mnie by średnio pocieszało.

- Czego chcecie? - zasyczał zlany potem Piotr. - O co tu, kurwa, chodzi?

- O, i to jest prawidłowa reakcja. Powiem ci, czego chcemy. - Mężczyzna nachylił się w stronę Piotra. - Chcemy, żebyś z pewnej zdziry zrobił dawcę. - Ponieważ Piotr patrzył,

jakby nie rozumiał, Marek kontynuował: - Chcemy, żebyś zastrzelił pewną kobietę.

A wtedy odzyskasz swoją rękę. Przyszyjemy ci ją za darmo. Tak samo, jak za darmo ci ją amputowaliśmy. Czyż nie jesteśmy wspaniałomyślni? A tą kobietą nie musisz się przejmować, to bardzo zła kobieta jest.

W samochodzie zapanowała cisza, którą po chwili przerwał trzask zapalanej zapalniczki. To Marek przypalał sobie papierosa.

Dmuchał dymem w stronę Piotra, powiedział „sorry” i otworzył okno po swojej stronie.

Piotr powiedział:

- Popierdoliło was. Nikogo nie zabiję nawet za cenę ręki. Możecie ją sobie w dupę wsadzić.

- Tak? - zapytał mężczyzna.

- Tak - odpowiedział Piotr. Wtedy Marek wyjął rękę z pojemnika i wyrzucił ją za okno.

- Szukaj ręki w polu - zaśmiał się, a potem gwałtownie spowaźniał. - Co byś powiedział, gdybyśmy jednak odwinęli te bandażę i gdybym przypalił ci kikuta papierosem? Podobno rany się przypala, to dobrze robi na zdrowie.

Tej nocy nie spał nie tylko Piotr Baruch i jego nowo poznani towarzysze podróży. Nie spał także Korkoran. Za bardzo podniecała go myśl, by braciom Neon dać to, w co wierzyli, czyli brak wpływu na to, co robią. Pewnego pięknego dnia, gdy bracia nie będą mieli tak szerokich pleców jak obecnie, da im takie życie w prezencie. Do tego czasu wszystko dopracuje i po wielokroć przetestuje, żeby w tym pięknym dniu nie było niespodzianek. Niebiosa mu sprzyjały, bo wkrótce miał przechować kogoś prezesowi, więc będzie miał na kim eksperymentować.

* * *

- Quo vadis, kobieto? - zapytał pijany Adam Tarasiński swą trzeźwą żonę Janinę Tarasińską, a był już wtedy bardzo późny wieczór. - Czy naprawdę masz na oku jakiś konkretny cel, do którego chcesz dojść? Czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach może mieć w życiu konkretny, a przy tym sensowny cel?

Kobieta przeniosła wzrok ze swoich zapracowanych dłoni na widok za oknem ich coraz bardziej popadającego w ruinę domu i pomyślała, że jej cel jest bardzo konkretny: odejść wreszcie od męża pijaka.

Ten, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Załóżmy, że wreszcie to zrobisz, że wreszcie mnie zostawisz - co dalej? I po co? Po co zrobisz cokolwiek? Przyjmijmy, że wiesz, po co. Wtedy zadam ci kolejny raz to samo pytanie: po co? Jak widzisz jest to pytanie uniwersalne, dobre na każdą okazję. Powiem więcej: jest to pytanie wieczne, jego zadawanie nie ma kresu. W przeciwieństwie, niestety, do wódki, która kończy się zawsze. I zawsze, niestety, w nieodpowiednim momencie. Bo nie ma dobrego momentu na to, żeby wódka nasza kochana się skończyła.

Janina Tarasińska знаła na pamięć te pseudofilozoficzne wywody swojego męża, za którego niegdyś wyszła z miłości, a którego teraz najchętniej zamordowałaby z nienawiści. Uważała, że jej mąż wmawia sobie, że w nie wierzy, żeby nie tylko dla niej, ale i dla siebie, a może nawet przede wszystkim dla samego siebie, mieć alibi dla swojego nic nie robienia i systematycznego upijania się.

Nie zawsze tak było. To znaczy zawsze miał zamiłowanie do przebywania w „stanie błogosławionym”, jak nazywał stan upojenia alkoholowego, i zawsze był „głupio mądry”, jak mawiała jej matka, ale nie zawsze nic nie robił i nie zawsze „stan błogosławiony” był stanem permanentnym. Gdy był dyrektorem szkoły podstawowej w ich wsi, w której zresztą ona też uczyła, i w której się poznali, było zupełnie inaczej. Kochał swoją pracę, czuł się kimś ważnym i potrzebnym. Szanowano go we wsi, był kimś. Ale wieś się wyludniła i istnienie szkoły przestało mieć sens. To był początek końca. Początkowo dojeżdżali do pracy, ale Adam źle się czuł jako zwykły nauczyciel. Nikt nie słuchał jego rad, za to zwracano mu uwagę, ilekroć uznawano, że robi coś źle. Nie potrafił do tego przywyknąć i pił coraz więcej. W końcu policja zabrała mu prawo jazdy, stracił pracę i nigdzie nie chciano go przyjąć. Ona pracowała ciężko na miejscu w sklepie, bo nie potrafiła nauczyć się jeździć samochodem, a autobusów jeździło coraz mniej i w końcu nie miała jak dojeżdżać do miasta. Ciężko im było, bardzo ciężko. Najbardziej wstydziła się dzieci.

Że mają tak niezaradnych rodziców. Inne miały się kim chwalić, ich dzieci nie. Czowała z tego powodu niemal fizyczny ból. Natomiast myśl, że niektórzy rodzice mają kim się chwalić, a ona ze swoim mężem nie, oddalała się zaraz po tym, jak się pojawiała.

Rozmyślała o tym czekając na wyniki losowania Lotto, dawniej

Toto Lotka, bez nadziei na wygraną. Lata życia obok męża marudy nauczyły ją wyłączać się z otoczenia i wracać do życia w wybranym przez siebie momencie. Teraz

zaprogramowała się na sygnał zapowiadający podanie wyników. Kolejny raz łudziła się, że to jest ten wieczór, w którym Bóg wysłucha jej próśb i odmieni jej życie.

- A ty znowu grasz? - zapytał ją mąż, widząc, jak zerka na kupon leżący przed nią na stole. - Szkoda pieniędzy, lepiej byś za to mężowi piwo postawiła. Na pewno by ci to policzyli w niebie jako dobry uczynek.

Puściła mimo uszu jego słowa, jak zresztą większość tego, co plótł, i patrzyła w telewizor. Patrzyła i własnym oczom nie wierzyła.

Trafiła szóstkę. Bardzo się starała nie pokazać po sobie radości. Już dawno postanowiła, że jeśli wygra, ucieknie do córki albo do syna.

Dobrze wiedziała, że mąż wszystko przepije. Wstała więc teraz z krzesła i udając złość zrzuciła ze stołu gazetę na podłogę.

Jej mąż się zaśmiał:

- A nie mówiłem?

- Idę odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała, bo bała się, że nagromadzone w niej emocje w końcu mąż zobaczy i zacznie wypytywać, a może nawet się domyśli i sprawdzi wyniki losowania.

Gdy znalazła się na podwórku, wypuściła z oczu łzy radości i cichutko zapłakała. Popatrzyła na nienaprawiany od dziesięciu lat płot i przypomniało się jaj, jak Adam stawiał go własnoręcznie. Potem popatrzyła na resztki tego, co zostało z ich samochodu i przestało jej być żal minionych lat spędzonych w tym domu z tym człowiekiem. Żeby jeszcze bardziej nabrać pewności, że słusznie zrobi odchodząc od męża z wygraną w Lotto, przypomniała sobie, jak ją kiedyś uderzył, gdy nie chciała mu dać pieniędzy na wódkę i jak ja pobił w przypiływie zazdrości o jej kochanka, którego sobie uroił. To już się nie powtórzy, westchnęła w myślach, a potem popatrzyła na niebo, na którym świecił księżyc wyjątkowo przyjaźnie się do niej uśmiechając. Miała ochotę krzyknąć z radości. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie podzieli się z kimś dobrą nowiną. Z kimkolwiek.

- I co tam zobaczyłaś, kobieto? - usłyszała za sobą. Nie musiała się oglądać, żeby wiedzieć, czyj to był głos.

- Tak sobie patrzę. Czy od razu trzeba w jakimś celu?

- Słusznie prawisz. Każdy cel jest izuliryczny. Najlepiej patrzeć bez celu.

Nie miała ochoty go słuchać. Była na niego zła, że popsuł jej miłą chwilę, w której w samotności - bo inaczej nie mogła - cieszyła się z odmiany swojego losu. Ruszyła więc z powrotem do domu.

Złapał ją za rękę i zapytał:

- Już uciekasz? Przede mną uciekasz. Dlaczego uciekasz przede mną?

- Puść mnie. Nie uciekam, po prostu wracam do domu. Zmarzłam.

- Chodź - mówił, przyciągając ją do siebie. - Ogrzeję cię.

Trzymając kupon w zaciśniętej pięści zastanawiała się, co ma zrobić, żeby mąż nie zaczął się dopytywać, dlaczego jeszcze nie wyrzuciła kuponu. W końcu wpadła na najlepszy sposób, jaki istniał.

- Mamy w domu coś lepszego na rozgrzewkę.

Trafiła w dziesiątkę. Mąż puścił ją i z błyskiem w oczach zapytał:

- I ja nic o tym nie wiem? Gdzie to ukryłaś, cwana kobieto? Chyba mi nie powiesz, że pociągasz w tajemnicy przed mężem.

- Nie marudź. Chodź, to coś dostaniesz od żoneczki na rozgrzewkę.

Ruszył za nią, mamrocząc, że nie poznaje swojej żoneczki.

W domu wyciągnęła z kredensu pół litra żołądkówki przelanej dla niepoznaki do butelki po soku. Adam najpierw się zdenerwował, że go oszukała, bo soczkiem jeszcze nikt się nie rozgrzał, ale gdy napełniła kieliszek, już po kolorze poznał, że napełniła go jego ulubionym napojem. A gdy posmakował, wyznał jej swą dozgonną miłość. Ale już dawno przestała się nabierać na te jego pijackie komplementy, więc nawet przez chwilę nie pomyślała o zmianie planów.

Usiadła tylko z nim przy stole, na którym obok wódki postawiła gąski w occie i udawała, że z nim pije.

- No i widzisz jak fajnie? - odezwał się już po pierwszym kieliszku. - Siedzimy sobie razem i popijamy jak Bóg przykazał.

- Nie mieszaj do tego Boga - odpowiedziała. - Od czasu do czasu można i tak, ale ty najchętniej zapiłbyś się na śmierć.

- To nie byłby wcale najgorszy rodzaj śmierci, moja droga.

- A co by ci szkodziło żyć jak inni?

- Ja wiem, że ty najchętniej zaprzęgåłabyś mnie do kieratu. Naprawdę wierzysz kobieto, że w nagrodę pójdziesz za swoje życie do nieba?

- Nawet jeśli nie pójde, to co mi szkodzi tak żyć? To lepsze od...

A... - Machnęła ręką i wstała od stołu. Zaczęła zmywać naczynia i cichutko, żeby nie usłyszał, powiedziała: - Z ciebie filozof, jak z kociej dupy bęben.

Adam kontynuował swój wywód:

- A może chcesz się, Janka, założyć, kto więcej straci żyjąc jak żyje, ja czy ty? Tylko, że jeśli Bóg nie istnieje, to nie przekonamy się, że przegrałaś. Możesz też mieć pecha i Bóg

może się okazać zupełnie inny niż ten, w którego ty wierzysz. Może na przykład nie lubić takich jak ty, a lubić takich jak ja.

Bardziej do siebie niż do Adama powiedziała:

- Musiałby być diabłem. - Po czym głośniejsze dodała: - W coś wierzyć trzeba, inaczej można by zwariować.

- No i ja właśnie wierzę! - uradował się jej mąż. - Wierzę w Boga pijaków, Dionizosa, czczonego też pod imieniem Bachusa!

Kupon parzył ją w kieszeni fartucha, a śmiech męża przewiercał ją na wylot. Jej głowę zaprzętała tylko jedna myśl: gdzie ukryć kupon? Jeśli gdzieś go schowa i Adam go znajdzie, na pewno zacznie coś podejrzewać, a w końcu sprawdzi wyniki. Jeśli go wyrzuci do kosza, może stracić wygraną. W nocy z nim nie ucieknie, bo gdzie?

Wciąż więc spoczywał w kieszeni jej fartucha i czekał, aż przyjdzie jej do głowy jakiś pomysł.

Ale pomysł miał jej mąż, nie ona:

- Zostaw to sprzątanie i chodź do mnie. Upijmy się dzisiaj razem. Chodź, nauczę cię, jak się czci Dionizosa, pijąc wódkę. Kiedyś byłem dobrym nauczycielem.

- Innym razem - odpowiedziała. - Posprzątam i pójdę spać, późno już. Ty sobie pij, jak chcesz.

- O nie - protestował, wstając i podchodząc do niej chwiejnym krokiem. - Dzisiaj sam pić nie będę. Dzisiaj chcę pić z moją gołąbeczką.

Miała nadzieję, że zostawi go tutaj, a on w końcu upije się tak bardzo, że zaśnie przy stole, ale wyglądało na to, że będzie musiała mu w tym pomóc. Wyzwolili się więc z jego objęć i zaproponowała:

- No to usiądźmy i wypijmy jeszcze po jednym.

- Chcesz rozmawiać o bogach, czy znajdziemy lepszy temat? - zapytał, gdy wypili po kieliszku.

- A może opowiem ci bajkę, chcesz? - zaproponowała.

- Bajkę? - zdziwił się. - Ty coś knujesz. Ty coś przede mną ukrywasz kobieto, widzę to po twojej minie już od godziny.

Jednak coś podejrzewał. Przeczucie, które miała już wcześniej, a które tłumaczyła sobie swoim strachem, teraz się uwiarygodniło.

Odpowiedziała:

- Zdaje ci się. Co miałabym ukrywać przed tobą?

- Że chcesz odejść. Chcesz mnie dzisiaj upić i uciec ode mnie. Zła kobieta jesteś. I

głupia, bo to ci nic nie da. Zawsze będziesz uciekać.

Regres do nieskończoności.

- Zastanów się: czy musiałabym to robić w nocy i upijać cię? Mało to miałabym okazji w dzień?

Adam rozważał jej słowa marszcząc czoło, a w końcu, beknąwszy uprzednio, powiedział:

- A jednak coś jest nie tak.

- Niby co?

- Nie wiem.

- Upiłeś się i bajdurzysz.

- Sama bajdurzysz - odparł lekko zdenerwowany.

- Zrobię coś do jedzenia.

Nie spieszyła się i pozwoliła Adamowi spokojnie marudzić przy stole. Gdy wreszcie zasnął, nie doczekawszy się kolacji, poszła do swojego pokoju i zamknęła się tam na klucz. Tam spakowała najpotrzebniejsze rzeczy do torby i poszła spać. Ale zasnąć nie mogła.

A gdy już zasnęła, obudził ją jakiś hałas. To Adam ze stołu „przeniósł się” na podłogę. Położyła mu poduszkę pod głowę i przykryła kocem. Nie, żeby zrobiło się go jej żal. Po prostu miała nadzieję, że jak będzie miał wygodniej, to się nie obudzi i da jej spokój aż do rana.

Przez to wszystko, gdy w końcu zasnęła, spała znacznie dłużej niż zaplanowała. Wstała po cichutku, ubrała się i wyrzała na korytarz.

Było pusto i cicho. Założyła kurtkę, wzięła torbę i ruszyła ku drzwiom wyjściowym. Brakowało jej dwóch metrów, gdy przypomniała sobie, że kupon został w kieszeni fartucha. Postawiła torbę na podłodze i zawróciła do pokoju. Odnalazła kupon i szybko wróciła na korytarz. Miała wziąć torbę, gdy usłyszała za sobą:

- A ty dokąd. - To był głos jej męża. Stał, chwiejąc się w otwartych drzwiach kuchni.

- Na zakupy - odpowiedziała niepewnie, odwracając się i odruchowo zaciskając dłoń, w której trzymała kupon, a potem wsadzając ją do kieszeni kurtki.

- Z torbą? - zdziwił się.

- Robiłam porządki, gdy spałeś, nazbierało się niepotrzebnych ubrań, idę wyrzucić po drodze.

- Acha. A co tam masz?

- Gdzie?

- W kurtce, w kieszeni.

- Nic. A co miałabym mieć?

Zaczął do niej podchodzić, a ona zrobiła krok do tyłu.

- List od kochanka?! - zapytał głośniejszym i groźniejszym głosem.

- Zgłupiałaś do reszty.

- Pokaż - rozkazał.

Pokazała mu kupon i powiedziała kpiąco:

- Masz swój list od kochanka.

Zatrzymał się i uśmiechnął się głupio, ale wiedziała, że nadal jest niebezpiecznie. W chwilach zazdrości, zwłaszcza po wódce, Adam stawał się agresywny, a na pewno jeszcze nie wytrzeźwiał, możliwe nawet, że jak tylko się obudził, wypił to, co zostało w butelce na stole.

- Dlaczego nie wyrzuciłaś tego kuponu? - zapytał, opierając się o ścianę, jakby na potwierdzenie słuszności jej myśli. - Zawsze wyrzucasz. Nawet drzesz go, bo się wściekasz, że znowu nic nie wygrałaś.

Zesztywniała i poczerwieniała. Była pewna, że Adam to zauważy.

- Jesteś chorobliwie podejrzliwy.

- Bo mam powody. Przyznaj się, wygrałaś i wymyśliłaś sobie, że uciekniesz z forszą do swojego gacha.

- Jakiego znowu gacha? Ty naprawdę oszalałaś.

- Tak? - zapytał i znowu zrobił krok w jej stronę. - To pokaż kupon.

Tylko przez chwilę patrzyła na jego wyciągniętą dłoń, a potem szybko złapała torbę i pobiegła ku drzwiom wyjściowym. On ruszył za nią krzycząc:

- Quo vadis kurwo?! Stój!

Ale już po dwóch krokach stracił równowagę i się przewrócił. Tak jak stała, wybiegła na dwór i od razu wsiadła na rower oparty o płot.

Torbę przerzuciła przez głowę i ramię. Gdy wyjeżdżała z podwórka na drogę, on wybiegał z domu. Nie nabrała jeszcze prędkości, gdy wyciągał z pieńka siekierę. Po mniej więcej dziesięciu metrach obejrzała się i zobaczyła go, jak zataczając się, biegnie za nią. Zaraz potem wjechała na szosę i nacisnęła mocniej na pedały. Szosa była pusta. Nie musiała się oglądać za siebie, żeby wiedzieć, że wciąż ją godni. Słyszała wyzwiska i jego kroki. Po dalszych kilkunastu metrach zobaczyła jadący prostopadle do szosy pociąg. Pomyślała, że jeśli zdąży przed nim przejechać przez przejazd, to Adam już jej nie dogoni, bo pociąg zatrzyma go na dłuższy czas. Teraz ścigała się już nie tylko z pijanym mężem, który gonił ją z siekierą, ale i z pociągiem wiozącym dla niej wybawienie albo klęskę.

Gdyby nie hałas, jaki robił pociąg, słyszałaby za sobą nierówny tupot nóg męża - tak

był blisko. Podniosła się na siodełku i ostatkiem sił nacisnęła jeszcze mocniej na pedały. Było jej wszystko jedno, czy umrze z siekierą w plecach, czy pod kołami pociągu. Wciąż pedałując miała przynajmniej szansę, że zdąży nie tylko uniknąć śmierci z rąk męża, ale też uciec od niego z kuponem, uciec na zawsze od niego i od biedy.

* * *

Ryszard Nowak będzie na niego zły i będzie miał rację. Nie dosyć, że komórka się popsuka, to po raz kolejny spóźnił się do pracy.

Jakby tego wszystkiego było mało, to Katarzyna była ostatnio dla niego taka dobra, że coraz częściej miewał wyrzuty sumienia.

W pewnym sensie nawet mu to pasowało, bo gdyby Ryszard marudził, że komórka jest popsuta, a on się spóźnił, to mógłby bez większego żalu powiedzieć: „Było miło, ale na mnie już czas, cześć”. Tylko, czy na pewno by tak powiedział?

Każdy woli mieć i rybki i akwarium, każdy chce mieć wróbla w garści, a od czasu do czasu lubi pouganiać się za skowronkami, więc kiedy Ryszard go wezwał do swojego gabinetu i zapytał, co się stało z komórką, odpowiedział:

- Nie mam pojęcia, szefie, ale proszę mi wierzyć, że to nie moja wina.

- A kiedy przestaniesz się spóźniać?

- To był ostatni raz.

Widocznie podobało się Ryszardowi to, co usłyszał, bo powiedział:

- Mam dla ciebie niespodziankę. Coś w rodzaju premii.

Ucieszył się, ale nie miał zamiaru pokazywać tego po sobie.

Ryszard zapytał:

- Nie interesuje cię, co to takiego?

Pomyślał: „Pieniądze, a cóż by innego”, a głośno zapytał:

- Co to takiego?

- Zapraszam cię na polowanie.

„Żebyś skisł.”

Ryszard zaśmiał się:

- Widzę po twojej minie, że nie jesteś zachwycony.

- Skądże znowu. Tylko, że ja jeszcze nigdy nie byłem na żadnym polowaniu.

- To nie jest zwykłe polowanie.

Pomyślał o lwach, niedźwiedziach i innych takich, ale zaraz przyszło mu do głowy, że to chyba jeszcze coś mocniejszego, bo Ryszard miał minę, jakby zapraszał własnego syna do burdelu.

- A co w nim niezwykłego? - zapytał.

- Poluje się na ludzi. W naszym przypadku będą to prawnicy.

Dwóch prawników.

„Mogłem się tego spodziewać - pomyślał. - To w ogóle pierwsze, o czym powinienem był pomyśleć.”

- Minę masz nietęgą - zauważył jego szef, a zaraz potem zaśmiał się i dodał: - Spokojnie, to tylko zabawa.

Zazgrzytał zębami i zapytał:

- Co jest zabawnego w polowaniu na ludzi?

- To, że nikomu nie stanie się najmniejsza krzywda.

- Coś w rodzaju podchodów? - zapytał bez entuzjazmu.

- Mniej więcej. Tyle, że z bronią.

- W takim razie już nic nie rozumiem.

- Pistolety wyglądają jak prawdziwe, ale nimi nie są.

- Bawiłem się w coś takiego jak byłem mały.

Prezes Nowak spojrział na niego z mieszaniną politowania i złości i powiedział:

- Pistolety nie są prawdziwe, chociaż tak wyglądają, bo to są pistolety wirtualne. Ludzie dla odmiany nie wyglądają na prawdziwych, ale prawdziwi są.

Ponieważ nie wyglądał na takiego, co rozumie, prezes kontynuował:

- Grałeś kiedyś w jakąś grę na komputerze? No to jest właśnie coś podobnego, tylko, że mało podobnego. Cholera, właściwie to nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Może tak. Ludziki w grach komputerowych tylko trochę wyglądają jak prawdziwi ludzie, nie są zaś nimi wcale. W „polowaniu” też nie wyglądają identycznie jak prawdziwi, za to są nimi rzeczywiście. Za każdą wirtualną postacią kryje się prawdziwy człowiek. Ten człowiek, jak prawdziwe odczuwa wirtualne drogi, którymi chodzi, wirtualne mury, których dotyka, wirtualne kule, które go dosięgają... Z tym, że program odcina od gry takiego delikwenta zanim ten odjedzie na amen. Jak ci się to podoba?

- Nie wierzę, że informatyka tak daleko poszła do przodu.

- Bardzo poszła do przodu. Jeśli się ma pieniądze i odpowiednią wiedzę, a Inżynierki to wszystko ma, to można zrobić rzeczy, jakie tylko filozofom się śniły.

Puścił mimo uszu uwagę o filozofach i zapytał o Inżynierka. Dowiedział się, że to informatyk, który dorobił się sporej kasy, w różny sposób, tę kwestię prezes zostawił jego domysłom, a teraz tworzy wirtualne światy, w których zabawiają się majątni obywatele stolicy i nie tylko.

- Dużo kosztuje taka zabawa? - zapytał.

- Tym nie musimy się martwić - odpowiedział prezes.

- Szef nie musi.

- Spokojnie, ty też dostaniesz swoją szansę.

- Czy to jest w ogóle legalne?

- Legalniejsze od nocnych wyścigów po Warszawie podrasowanymi wózkami. I bezpieczniejsze. Samo granie jest legalne. Zakłady już nie bardzo. No i legalność programu jest nieco dyskusyjna.

Pewnie wolałbyś się ścigać po ulicach stolicy? Ja cię rozumiem, ta adrenalina, czy wyleci pieszy na pasy, czy nie...

- Jakie zakłady? - przerwał prezesowi.

- Gramy na pieniądze. Mieć przeciwko sobie będziemy nie byle kogo, bo braci Neon, w realu prawników. Stawka nie jest mała; tylko trochę mniej niż twoje roczne zarobki u mnie i to po podwyżce.

- Po podwyżce? - zdziwił się.

- Tak, po podwyżce. Właśnie dostałeś podwyżkę, sto procent.

Z wrażenia zapomniał podziękować. Siedział z lekka oszołomiony i zastanawiał się, skąd jego szef mógł wiedzieć, że waga była w równowadze i coś trzeba było położyć na jednej z szal, by podjął decyzję o zostaniu lub odejściu.

- Za mało? - Ryszard najwyraźniej źle zrozumiał jego milczenie.

- Najpierw zasłuż sobie na to, to pogadamy o więcej. Moja żona czeka, ostatnio skarżyła się, że ją zaniedbujesz.

- Ma szef rację - powiedział, wstając. - Nie chciałbym, żeby szef pomyślał, że jestem niewdzięczny, czy coś takiego...

- Ależ skąd. Ja cię rozumiem. Myślisz, że serwuję ci jakąś zabawę dla dzieciaków, gdy można by zabawić się jak prawdziwi mężczyźni...

- Nie, nie - skłamał. - Po prostu nie spodziewałem się.

- W porządku.

Idąc w stronę drzwi, czuł na sobie wzrok Ryszarda. Odwrócił się, żeby się pożegnać i wtedy Ryszard przypomniał mu o popsutej komórce. Zrobiło mu się jeszcze głupiej. Czuł się

jak przyłapany na gorącym uczynku przestępca. A przecież jedyną jego winą było to, że miał zamiar odejść, co zataił przed szefem, który z kolei zachował się tak, jakby o tym wiedział, co znowu wyprowadziło go z równowagi do tego stopnia, że zaczął sprawiać wrażenie przyłapanego na gorącym uczynku.

- Chwilowo weź mój - powiedział prezes, wyjmując ze swojej komórki kartę sim. - Ja wezmę zapasowy, mój poprzedni telefon, powinien gdzieś tu być - dokończył, grzebiąc w szufladzie biurka.

Podziękował, a w samochodzie wyjął ze swojego popsutego telefonu kartę sim i przełożył do tego, który przed chwilą dostał od szefa. Zrobił to w samą porę, bo telefon zadzwonił niemal od razu.

- Paweł. Z kim mówię?

- Z Jolą, głuptasie. Wydzwaniam do ciebie od godziny. Przyjedź, usycham z tęsknoty.

- Będę niedługo.

Po drodze rozmyślał o swojej sytuacji. Finansowo stał całkiem nieźle, sercowo chyba też, a mimo to czuł niepokój. Nie wiedział, co takiego knuł Ryszard. Pomyślał, że powie o tym Joli, a ta na pewno go oświeci, ale doszedł do wniosku, że ona może to potem powtórzyć mężowi. „Cholera wie, jak bardzo robią mnie w konia” - I zrezygnował z tego pomysłu. Za to postanowił, że wieczorem zapyta Internet o Inżynierka, a przy okazji o małżeństwo Nowaków.

Kiedy przyjechał na miejsce, w drzwiach przywitał go osiłek, który kilka dni temu zastąpił Grzegorza. Był młodszy, dużo większy i nie miał nic z jego godności.

- Pani Jolanta powiedziała, żebyś poszedł od razu na górę - poinformował z głupim uśmiechem.

Zignorował uśmiezek i poszedł szybko do Joli. Ta nie tylko była już ubrana, ale od razu chciała gdzieś jechać. W drodze do samochodu nie odzywała się wcale, a gdy ruszyli, zaczęła płakać. Niektóre kobiety nie brzydą, gdy płaczą, ale ona wydawała się nawet piękniejsza. Siedziała obok niego i chlipała cichutko, a po jej policzkach płynęły łzy.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

- Ryszard mnie nie kocha - odpowiedziała.

Chciało mu się śmiać, ale nic nie powiedział.

- Upiłam się wczoraj.

Przyjrzał się uważniej kobiecie i doszedł do wniosku, że mówi prawdę.

- Jakaś impreza? - zapytał.
- Gówno nie impreza! - krzyknęła, a potem go przeprosiła.
- O co chodzi? - zapytał. - Co się dzieje?
- Jedźmy za miasto. Do lasu.
- Lucille - zaczął informacyjnym tonem. - Mój wzwód nie jest z kamienia.
- O co ci chodzi? A, nie bój się, nie chcę się kochać. Pospacerujemy sobie. Mam ochotę na spacer.

Odetchnął z ulgą.

W drodze do lasu prawie wcale nie rozmawiali. Trochę tylko ponarzekali na korki i na stan ulic i trochę powspominali swoje pierwsze spotkanie, ale nie dużo. Ostatni etap ich wyprawy za miasto przebiegał szosą, która w pewnym miejscu przecinała tory kolejowe.

Z tej szosy zjechali na leśny parking. Tam wysiedli i poszli przed siebie leśną drogą. Wokół nikogo nie było, tylko drzewa szumiały i ptaki cieszyły się wiosną wesoło szczebiocząc.

- Muszę cię ostrzec - powiedziała niespodziewanie już po kilku krokach.
- Przed czym? - zapytał.
- Przed Ryszardem. On coś knuje.
- O ile wiem, to i tobie nie jest obce to zajęcie.
Spojrzała na niego błagalnie, ale wytrzymał to i nie przeprosił.
- Osądzaj mnie jak chcesz - powiedziała. - Ale pomyśl nad tym.
- Masz na myśli to, że twój mąż coś knuje? - upewnił się, a ona potaknęła głową.
- To dla mnie nie pierwszozna. Odkąd się z wami zadałem, tylko z tym mam do czynienia.

- Przykro mi.
- Tobie przykro, a ja zarabiam pieniądze i dostaję premię.
Jola zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.
- O czym mówisz? - zapytała.
- Twój mąż zaprosił mnie na polowanie... - Przerwał na chwilę, bo nagła myśl poraziła go jak prąd. - Sądzisz, że chce mnie tam zabić?! - zapytał.
- Nie - odpowiedziała. - Myślę, że chce cię przekupić. Nie mogę ci tego wytłumaczyć, ale musisz mnie wysłuchać. Nie wierz mu nic a nic. Tylko to zapamiętaj, dobrze? Nie zniósłabym, gdybyś wystąpił przeciwko mnie.

Tym razem to on się zatrzymał i powiedział:

- Ty coś wiesz. Powiedz mi, co jest grane.

- Wiem tylko tyle, ile ci powiedziałam. On coś knuje, chce mnie w jakiś sposób ukarać...

- Za co? - zdziwił się. - Przecież od początku wiedział o naszym romansie. W dodatku to on mi za to płaci.

- Może nie sądził, że zrobisz na mnie aż takie wrażenie? Biedak nie wie, że zauroczenie nie jest odwzajemnione. Pewnie myśli, że mnie pokochałeś.

Nie zamierzał kłamać. To, co miał do powiedzenia z pewnością miłe nie było, ale kłamać nie chciał ze względu na Katarzynę.

- Przykro mi - powiedział. - Ale się myli. Łączy nas być może coś więcej niż seks, ale to na pewno nie jest miłość.

- Kochasz ją? - niespodziewanie zapytała Jola, a on domyślił się, że mówi o Katarzynie.

- Tak - odpowiedział. - Może to ci się wydać dziwne, ale kocham ją.

- Szczęściara. Mnie nic się nie udaje. Mój mąż ma rację mówiąc, że istnieję tylko dzięki niemu, że tylko z nim coś znaczę. Nawet kochanka mi zabiera.

Paweł objął kobietę i powiedział:

- Tego nie zrobi. Nie wszystko można kupić.

- Kocham cię. Nic nie mów. Nie chcę, żebyś kłamał. Możliwe, że oszukuję sama siebie, bo dałeś mi kosza, a to coś nowego w moim życiu. Wiesz jak to jest z tymi kobietami, którym żaden facet się nie może oprzeć - kiedy zjawia się ten, który mówi „nie”, wtedy taka kobieta myśli: „zakochałam się”. Tak to działa, wierz mi.

- Myślałem, że ta prawidłowość dotyczy facetów.

- Myślisz, że tylko faceci kochają, albo są zazdrośni, albo...? Sama już nie wiem, co. Głupoty gadam.

Była smutna i chyba miała dosyć samej siebie.

- Wątpię, żebyś mnie kochała - powiedział szczerze. - Nic interesującego we mnie nie ma.

Zaśmiała się z czułością i położyła mu palce na ustach.

- Moja mama tak robiła, gdy kłamałam - powiedziała.

Wzruszyło go to i po raz pierwszy poczuł do niej sympatię i litość.

Objął ją i pocałował delikatnie w szyję, a potem wsunął jedną rękę pod bluzkę.

- Jednak twój wzwód jest z kamienia? - zażartowała.

- Nie - odparł. - Ale jeśli chcesz...

- Nie, nie mam ochoty. Chyba, że ty chcesz.

- Obiecuję ci, że będę twoim wiernym kochankiem - powiedział nieoczekiwanie dla siebie, ale Jola chyba czegoś takiego się spodziewała, bo zapytała:

- Możesz mi to przysiąc?

- Co konkretnie?

- Konkretnie nic - odpowiedziała. - Ufam ci i chcę tylko, żebyś mi przysiągł, że mnie nie zdradzisz.

- Przyrzekam.

Wtedy go pocałowała i powiedziała:

- Wracajmy już. Za dużo ludzi zaczyna tu się kręcić.

Istotnie, mijali ich właśnie już drugi amator wycieczek rowerowych.

Mieli wsiadać do samochodu, gdy wskazując głową na ludzi przy przejeździe kolejowym, zapytała:

- Co oni tam robią?

Podążył za jej wzrokiem i zobaczył dwóch mężczyzn najwyraźniej czegoś szukających na poboczu. W pewnej chwili jeden z nich schylił się i coś podniósł. Z daleka wyglądało to na ludzką rękę, ale pomyślał, że to niemożliwe, że musiało mu się zdawać, więc nawet nie wspominał Joli o swoich podejrzeniach.

* * *

Nie zdawało mu się jednak. Aspirant Jachozna z Wydziału Dochodzeniowo Śledczego Komendy Powiatowej rzeczywiście podniósł z ziemi rękę. Zegarek na zakrwawionym nadgarstku wskazywał godzinę dziesiątą, chociaż była już jedenasta. Ruszył biegiem za karetką pogotowia, która właśnie odjeżdżała, ale już jej nie dogonił.

Informację o wypadku dostał godzinę wcześniej. Siedział w gabinecie inspektora Filipskiego i jadł z nim ogórki kiszzone prosto ze słoika. Filipski pił także sok z tychże ogórków i tłumaczył mu, że to najlepsze lekarstwo na kaca. Jachozna wierzył mu na słowo, w końcu rozmawiał ze specjalistą, ale chciał przekonać się o tym osobiście. Właśnie inspektor nalewał mu życiodajnego eliksiru do szklanki, gdy zadzwonił telefon. Jego szef jeszcze nie skończył rozmawiać, a on już wiedział, że dzień zacznie od układania puzzli. Tak w

Komendzie nazywali dochodzenia w sprawie wypadków kolejowych.

* * *

Po powrocie z lasu Jola powiedziała, że nie czuje się najlepiej, że jest zmęczona leśnym spacerem i żeby Paweł poszedł udawać, że myje samochód, albo żeby go umył naprawdę, albo żeby robił cokolwiek innego, byle w pobliżu. Paweł zgodził się na to chętnie, bo chciał w samotności przemyśleć to i owo. A ponieważ mycie samochodu nadawało się do tego bardzo dobrze, podjechał pod garaże z tyłu domu, gdzie była też myjnia. Jak się jednak wkrótce okazało, przemyślenie tego i owego musiał odłożyć na później.

- Jak się udała przejażdżka?

Przestał pogwizdywać „Michell” Beatlesów i podniósł głowę - zobaczył następcę Grzegorza.

- Dobrze - odpowiedział i dalej polerował jeden z przednich błotników.

- Bo przetrzesz go na wylot.

Ton głosu był zaczepny i nie było w nim zbyt wiele przyjaźni.

- Staram się jak mogę - odpowiedział.

- Pani Jola też tak sądzi?

Przestał polerować i spojrzał na mężczyznę z nieukrywaną złością.

- O co ci chodzi? - zapytał najspokojniej jak potrafił, ale w jego głosie było tyle spokoju, co w nadchodzącej burzy.

- Zastanawiałem się tylko - mówił tamten uśmiechając się bezczelnie. - Czy jesteś wystarczająco dobry, skoro pani prezesowa kazała ci teraz pucować wózek.

Paweł poczerwieniał ze złości, ale uśmiechnął się i wrócił do swojej pracy.

- Wiedziałem, że jesteś zimnokrwisty - rzucił tamten, jakby to był już jego ostatni as.

Paweł zaśmiał się i powiedział:

- Starasz się, ale nic z tego nie będzie.

- A to czemu? - zapytał tamten zaczepnie. - Bo panienka nie ma ochoty na pieszczoty?

- Bo jestem odporny na zaczepki takich palantów jak ty. Już dawno wyszedłem z piaskownicy.

Mężczyzna spochmurniał.

- Na to też jesteś odporny? - zapytał i splunął na samochód.

Paweł spokojnie splukał ślinę karcherem. Mężczyzna zacisnął pięści i ruszył w jego stronę.

- Nie przeciągaj struny - rzucił ostrzegawczo Paweł, a gdy to nie pomogło, strzelił wodą z karchera w twarz napastnika. To tylko na chwilę zatrzymało mężczyznę. Zasłaniając się rękoma próbował dorwać Pawła, ale ten skutecznie ostrzeliwał się z karchera i robił uniki. W końcu znudziła go ta zabawa i najpierw kopnął napastnika w goleń, a gdy ten upadł na kolano, strzelił go w kark. Mężczyzna padł straciwszy przytomność. Paweł sprawdził mu puls, a potem rozejrzał się wokół. W jednym z okien chyba dostrzegł Jolę. Mogło mu się to jednak tylko wydawać, poza tym nie miało to dla niego większego znaczenia, więc nie rozmyślał nad tym zbyt długo i delikatnie przysnął wodą na mężczyznę. Ten prawie od razu dał oznaki życia, więc zostawił go i poszedł zobaczyć, co u Joli.

Za plecami usłyszał:

- Jeszcze się spotkamy.

- Nie wątpię - odpowiedział.

Po wejściu do domu Paweł zobaczył Pana Kota, który siedząc gdzie zawsze, miauknął, jakby błagał o litość. Posłał mu swoje gniewne spojrzenie, ale kot zamiast uciec, znowu miauknął żałośnie. Tupnął wtedy na niego i wszystko wróciło do normy: kot najpierw czmychnął lewymi schodami na górę, a gdy Paweł wszedł za nim, przebiegł szybko korytarz i prawymi z powrotem uciekł na dół.

Jola leżała na łóżku w ubraniu i wyglądało na to, że śpi. Usiadł obok niej i zaczął delikatnie bawić się jej włosami. Przysunęła się bliżej niego i położyła mu głowę na kolanach. Pomyślał, że nigdy nie zrozumie kotów i kobiet i pocałował ją leciutko w szyję.

- Posiedź przy mnie - poprosiła. - Jak zasnę, wracaj do domu.

Nie zabrzmiało to jak rozkaz, raczej jak prośba. Paweł nie poznawał Joli. Siedział przy niej i głaskał ją delikatnie po włosach aż uznał, że zasnęła. Wtedy przykrył ją narzutą i wyszeptał nad jej uchem: „do widzenia”. W drzwiach odwrócił się jeszcze i przez moment wydawało mu się, że Jola ma otwarte oczy. Uznał jednak, że to przywidzenie i wyszedł z pokoju, potem zbiegł schodami w dół, a wreszcie wyszedł z domu Nowaków.

* * *

Służbowy passat Jachozny, do którego wsiadł po tym, jak nie dogonił karetki pogotowia, za którą chwilę biegł machając znaną ręką, ostro zahamował przed szpitalem. Zanim wysiadł z samochodu, rękę zawinął w starą gazetę. Nic lepszego nie było w samochodzie, a na szukanie poza nim nie było czasu. Liczył na to, że chirurdzy zdołają przyszyć ofierze wypadku znaną przez niego rękę, ale wiedział, że czas odgrywa dużą rolę - dlatego nie dbał o drobiazgi. Po krótkim biegu położył na szerokim parapecie okienka dyżurki zawiniątko. Wystawała z niego dłoń, a zegarek na nadgarstku wciąż wskazywał godzinę dziesiątą.

- Czy pan zwariował?! - wrzasnęła kobieta po drugiej stronie okienka. - Zabierz pan stąd tę rękę! Sztuczna? - zapytała już spokojniej.

- Mam nadzieję, że prawdziwa.

- Dowcipniś.

- Przywieziono wam dziś rannego z wypadku kolejowego?

- Tak.

- To jego ręka. Może jeszcze uda się przyszyć. Teraz już pani wie, dlaczego mam nadzieję, że to prawdziwa ręka?

- To biegnij pan szybko na chirurgię! Na co pan czekasz? Drugie piętro.

- Ja? - zdziwił się.

- A może ja?

- No chyba już prędeej.

- Nic z tego, brzydzę się.

Jachozna pokiwał głową z politowaniem i ruszył do windy, wzbudzając po drodze zrozumiałą sensację wśród personelu szpitala, wśród chorych i wśród odwiedzających, z których niektórzy dostrzegli dłoń wystającą z gazety. Na szczęście windę jechał już sam i nie musiał nikomu tłumaczyć się z bagażu, jaki miał ze sobą.

Gdy wysiadł, znalazł się na klatce schodowej. Na drzwiach po prawej był napis: „ODDZIAŁ CHIRURGII”, na drzwiach po lewej: „BLOK OPERACYJNY”. Chciał otworzyć te po lewej, ale były zamknięte. Nacisnął dzwonek raz, potem drugi, a gdy nadal nikt ich nie otwierał, skierował swe kroki ku drzwiom po prawej. Wtedy winda zjechała na dół, a z bloku operacyjnego wyszła młoda pielęgniarka. Zawrócił i bez słowa pokazał jej rękę.

- Za późno - powiedziała. - Nie żyje. Zmarł zanim położyli go na stole.

Jachozna stał z ręką i nie wiedział, co ma z nią zrobić. W końcu podał ją pielęgniarce. Ta najpierw cofnęła się odruchowo, a potem przyjrzała się wystającej z gazety dłoni i powiedziała:

- To nie jego.

- Jak to nie jego? - zdziwił się Jachozna.

- No nie jego. Ta jest młodsza i bardziej zadbana. Tamten to chyba jakiś drwal, bo niedaleko siekierę znaleźli.

- Nie jego? - powtórzył Jachozna.

- A skąd mam wiedzieć czyja? - zdziwiła się pielęgniarka.

- No przecież przed chwilą...

- A, o rękę panu chodzi. Myślałam, że teraz pyta pan o siekierę.

Ręka nie jego, mówiłam już. I proponowałabym tak nie chodzić z tą ręką na widoku. Lepiej niech pan zawinie ją w coś szczelniejszego.

W tym momencie drzwi windy otworzyły się i wyszedł z nich przodownik Kowalewski... z jeszcze jedną ręką, też byle jak zawiniętą w gazetę.

Pielęgniarka odwinęła ją nieco i powiedziała:

- To może być ta. Tak na oko.

Gdy Paweł wrócił do domu, Katarzyna najwidoczniej była jeszcze na wykładach, więc mógł spokojnie szukać w sieci informacji o Inżynierku. Włączył komputer i wkrótce na ekranie pojawiły się dwa profile użytkownika: Kasia i Joe. Wybrał Joe, czyli swój profil, po czym wpisał hasło: 8Volcano. Gdy system się załadował, uruchomił przeglądarkę, a potem w „Ulubionych” wybrał „Google”. Tam wpisał „Inżynierek wirtualny” i nacisnął enter. Na ekranie pojawiła się długa lista stron internetowych zawierających frazy „inżynierek” i „wirtualny”. Nie po raz pierwszy poczuł rozczarowanie. Ostatnio coraz częściej czuł rozczarowanie Internetem. Wszystkim tam zależało tylko na tym, żeby jak najwięcej ludzi kliknęło na ich odnośnik, do czego miała zachęcić niekoniecznie zgodna z prawdą treść, za to odpowiednio sensacyjna. Nawet poczta elektroniczna go zawiodła, bo dostawał znacznie więcej spamu niż prawdziwej korespondencji.

Jednym słowem Internet kojarzył mu się ze śmietnikiem i dlatego bez entuzjazmu myślał teraz o żmudnym sprawdzaniu kilkudziesięciu stron, a przynajmniej krótkich z nich wyciągów pod linkami, zwłaszcza, że na pierwszy rzut oka nic nie wyglądało zachęcająco.

Po dziesięciu minutach przełączył wyszukiwarkę na „Grupy dyskusyjne”. Tam znalazł wpisy na pl.coc.religia podpisane „Inżynierek” i zawierające frazę „wirtualny”. Inżynierek

z pl.soc.religia bronił się przed zarzutem, że jako wyznawca spirytualizmu, czyli przeczący istnieniu materii, nie jest katolikiem. Atakowano go Soborami Powszechnymi, Katechizmem Kościoła Katolickiego, Małym słownikiem teologicznym, a nawet doktryną transsubstancji. Przy okazji tej ostatniej dyskusji pojawił się problem, czy spożywanie opłatka po przemianie jest ludożerstwem skoro to już tylko pozornie opłatek, a tak naprawdę, bo substancjonalnie, ciało Jezusa, czyli człowieka, czy też ten zarzut zawiera błąd ekwiwokacji. Z tych wszystkich wypowiedzi najbardziej podobało się stwierdzenie, że poglądy Inżynierka faktycznie są spirytualizmem, bo „trzeźwe to one na pewno nie są”. Czytanie przerwał, gdy dyskusja przeniosła się na problem, czy tak samo jak spirytualizm, niekatolicka jest apokatastaza, czyli przekonanie o pewnym i powszechnym zbawieniu. Tu znowu przywalono Inżynierkowi Katechizmem Kościoła

Katolickiego, a także Synodem w Konstantynopolu z roku 543. Tego już było dla Pawła za dużo. Doszedł do wniosku, że ma do czynienia z wariatami; nie wiedział tylko, czy nieszkodliwymi. Z pewnością jednak niektórzy z tych „wariatów” mieli poczucie humoru, skoro porównywali Inżynierka do Czarnego Rycerza” z filmu „Monty Python i Święty Graal”.

Zniechęcony wynikami swoich dotychczasowych poszukiwań, zrezygnował z zapytania Google o Nowaków. Czując ochotę na piwo, poszedł do kuchni. Wziął z lodówki dwa i wrócił do pokoju.

Usiadł w fotelu i zaczął bawić się telefonem, który dostał od Ryszarda. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć do „kontaktów”. Nacisnął odpowiedni przycisk i zobaczył nazwy wielu pewnie ważnych firm i nazwiska wielu pewnie ważnych ludzi. Ani nazwy ani nazwiska nic mu nie mówiły. Pomyślał, że Ryszard Nowak i on żyją w dwóch różnych światach, a potem, że mogłby zanotować numery telefonów, bo mogłyby mu się kiedyś przydać, ale jego uwagę zwróciła nazwa „KWIATUSZEK”. Przyszło mu do głowy, że to może być jakaś kochanka Ryszarda, i że zabawnie będzie, jeśli do niej zadzwoni. Uśmiechnął się do tej myśli i nacisnął przycisk wybierania.

* * *

Katarzyna ubranie zostawiła w pokoju i nago poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Wiedziała, że robi to niepotrzebnie, że nikt dzisiaj nie będzie na nią patrzył, a mimo to robiła

to, co zawsze, kiedy czekała na Ryszarda. Pomyślała, że pewnie robi to z przyzwyczajenia i odkręciła wodę. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. To mógł być tylko Ryszard. Swojemu chłopakowi powiedziała, że zgubiła komórkę, bo bała się, że zacznie w niej grzebać i dogrzebie się do Ryszarda albo odbierze od niego telefon w ich mieszkaniu. Ponieważ jednak jakiś kontakt z kochankiem musiała mieć, używała komórki w mieszkaniu, które dla nich wynajął i u swojej najbliższej koleżanki Joli. Paweł swoją komórkę sprzedał, bo po stracie pracy najczęściej nie miał pieniędzy, a któregoś dnia zachorował na jakąś płytę i koniecznie - jak to on - musiał ją mieć. Wprawdzie teraz dostał nową od tego swojego tajemniczego szefa, ale ona miała już nowy numer, którego on nie znał, więc na pewno dzwonił Ryszard.

Dzwonił, a ona nie była pewna, czy chce z nim rozmawiać. Ostatecznie zakręciła jednak wodę, okręciła się ręcznikiem i wolno ruszyła do telefonu. Miała nadzieję, że nie zdąży dojsć. Odetchnęła z ulgą, gdy telefon przestał dzwonić. Była już wtedy w pokoju, więc usiadła w fotelu i jeszcze raz przeczytała list od Ryszarda.

Kochany Kwiatuszku, moja droga Szeherazado

Tak bym chciał znowu Cię zobaczyć, oczy pieścić twoim widokiem, a uszy twoimi opowieściami... Myślę, że jednak lepiej będzie jeśli przez jakiś czas nie będziemy się spotykać. Może zatęsknisz za mną, za magią naszych spotkań? Muszę załatwić kilka spraw, spraw - że tak powiem - ostatecznych. Mocno wierzę w to, że kiedy wreszcie znowu się spotkamy, będę mógł otwarcie spojrzeć w Twoje czyste i przecudne oczy i powiedzieć Ci: Kocham Cię na zawsze i tylko Ciebie. Odtąd będziemy zawsze razem i tylko dla siebie.

Prawda, jakie to banalne? Ale czyż zachód słońca nie jest banalny, a mimo to ciągle tak samo piękny?

Twój wielbiciel

R.

Bała się, że właśnie coś takiego usłyszy od Ryszarda. Na szczęście napisał list i nie

musiała mu mówić, że to już koniec. Nie była zresztą pewna, czy miałyby wystarczająco dużo siły, żeby mu to powiedzieć.

Żegnaj, Kwiatuszku, pomyślała, witaj Katarzyno, dziewczyno jakich wiele. Koniec z randkami, z poezją zaklętą w tym pokoju, koniec z tajemniczym kochankiem, dziwnymi spotkaniami i paradowaniem nago przed mężczyzną, dla którego jesteś boginią. Koniec.

Teraz będziesz przykładną dziewczyną nic niewartego, ale uroczonego chłopca o imieniu Paweł. Może nie jest to szczyt ani twoich możliwości, ani twoich marzeń, ale za to jest bezpieczne. Serce będzie ci biło spokojnie i przestaniesz oglądać się za siebie, bojąc się, że ktoś cię śledzi. Teraz grzecznie wstaniesz, ubierzesz się i wrócisz tam, gdzie teraz powinnaś być, czyli do domu.

I wstała, ubrała się, w drzwiach spojrzała na torbę z pieniędzmi, które zostawiła na stole obok listu Ryszarda i wyszła z mieszkania.

Mogła, tak jak Ryszard, napisać list, ale wolała zostawić tylko pieniądze. Była pewna, że Ryszard to zrozumie i będzie wiedział, że to jest jej pożegnanie, to jest jej list. Biżuterii nie mogła zostawić, bo co by powiedział Paweł? Jakby mu się wytłumaczyła? Co innego pieniądze. Powie, że podrzuciła je na policję.

Zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć do domu. Kierowca zapytał:

- Do mojego domu?

Ona zaczerwieniła się, a on się zaśmiał głupio. Gdy przeprosił, podała mu adres.

* * *

Środkiem korytarza parteru Komendy Powiatowej szybkim krokiem szedł aspirant Jachozna. Inni policjanci, widząc jego pośpiech i znając jego porywczy charakter, ustępowali mu z drogi zawczasu.

- E, Jachozna - krzyknął za nim w pewnym momencie jeden z nich, zatrudniony od niedawna, więc nie znający jeszcze aspiranta zbyt dobrze. - Co ty tam niesiesz w tym zawiniątku? Szef cię po kielbasę wysłał?

Jachozna już był na schodach prowadzących na piętro, ale zawrócił. Podszedł do policjanta i powiedział:

- Żebyś wiedział. Udało mi się kupić całkiem ładny kawał mięsa.

Chcesz zobaczyć? - I nie czekając na odpowiedź odwinął rękę z papieru pakowego.

- Pojechało cię? - krzyknął policjant. - Takie żarty swojej starej rób, nie mi.

- Jak to mówią: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni - odpowiedział Jachozna, zawijając rękę z powrotem. A potem ruszył ku schodom, które go zaprowadziły na pierwsze piętro komisariatu. Po kilku krokach stanął przed drzwiami swojego zwierzchnika. Chwilę postął, potem zapukał, a gdy usłyszał „wejść”, wszedł.

- Co tam znowu? - przywitał go inspektor Filipowski, wciąż nie dający się wygnąć na emeryturę policjant pamiętający czasy komuny.

- Jest problem - odpowiedział Jachozna i odwinąwszy rękę z papieru, położył ją przed inspektorem na biurku.

- Zwariowaliście?! Zabierzcie mi to stąd! - krzyknął inspektor, chowając śledzie do szafki.

Aspirant posłusznie zabrał rękę z biurka szefa, potem usiadł bez pytania na krześle dla petentów i pomału zaczął zawijać rękę w papier.

- Gadajcie, co to za ręka.

- No to jest właśnie problem szefie, nie wiadomo, co to za ręka, bo to ręka jakiegoś młodego inteligencika, a ofiarą tego wypadku kolejowego, do którego pojechaliśmy dzisiaj rano, był jakiś pijany starszawy drwal. Chyba drwał, bo znaleźli przy nim siekiere. Sprawa w toku, na pewno wyjaśni się na dniach.

Filipowski zapalił papierosa, po czym zapytał:

- Myślicie, że ta ręka ma coś wspólnego z tym drwalem?

- Nie mam pojęcia.

- Zdjęliście chociaż odciski palców? Może to notowana ręka? To znaczy właściciel tej ręki może być notowany.

- Nie zdjąłem, nie miałem kiedy. Pojechałem z nią szybko do szpitala, bo słyszałem, że trzeba szybko z taką ręką, żeby można ją było przyszyć.

- No to teraz już macie kiedy. Zdejmijcie odciski, a przede wszystkim obdzwońcie wszystkie szpitale, czy mają kogoś bez ręki.

No i dajcie rękę do badania naszym specjalistom. Czy ja was muszę uczyć, co się robi w takich wypadkach? A sprawę drwala przekażę komu innemu, wy zajmijcie się tym łapskiem.

Jachozna wstał i ruszył do wyjścia. Już miał nacisnąć klamkę, gdy przyszło mu coś do głowy:

- Myśli szef, że dadzą radę ją przyszyć?

- Co wy z tym przyszywaniem? - zdenerwował się inspektor. - Manię jakąś macie, czy

co? Weźcie się do roboty. Tu jest posterunek policji, a nie klinika ortopedyczna. I obdzwońcie kostnice - może gdzieś mają trupa bez ręki.

Kilka dni później Jachozna zdał swojemu przełożonemu relację z aktualnego stanu swej wiedzy oraz opowiedział jak ją nabył.

Najpierw udał się z ręką do Zakładu Medycyny Sądowej, gdzie przekazał ją do zbadania. Patolog powiedział mu, że ręka należy do młodego mężczyzny i na pewno odciął ją fachowiec. Nie została ucięta w żadnym wypadku, ktoś zrobił to celowo. Przyszło mu do głowy, że rękę uciął pijany drwal, który wpadł pod pociąg pod Warszawą, ale patolog wyprowadził go z błędu: to na pewno nie była siekiera, to były specjalistyczne narzędzia chirurgiczne. Na podstawie pobieżnych oględzin nic więcej nie potrafił mu powiedzieć, ale to wystarczyło, żeby nabrał podejrzeń, że ma do czynienia z poważną sprawą, bo z jakimś chirurgiem psychopatą. Na wyniki bardziej skomplikowanych badań niż oglądanie musiał poczekać, więc po dalszą pomoc poszedł do ekspertów od daktyloskopii. Dzięki nim dowiedział się, że właścicielem ręki jest niejaki Potasiński, znany też jako Potas, zamieszkały w Gdańsku kieszonkowiec, któremu odciski palców zdejmowano nie raz. Tamtejsza policja, o czym dowiedział się telefonicznie, ustaliła, że Potasiński trzy dni temu zginął w wypadku samochodowym. Dokładniej rzecz biorąc zmarł w drodze do szpitala.

Tego nie rozumiał. Z początku myślał, że Potasińskiemu amputowano rękę na stole operacyjnym, gdzie - tak to sobie wyobrażał -

próbowano ratować mu życie, ale gdy usłyszał, że zmarł w drodze do szpitala, fachowo amputowana ręka przestała mu pasować do wypadku. Najpierw pomyślał, że albo patolog się pomylił, albo ci od daktyloskopii, ale zaraz wykluczył obydwie możliwości i postanowił do nich wrócić, jeśli nie sprawdzi się trzecia hipoteza. Z kolegami z Gdańska podzielił się swoimi wątpliwościami i zaproponował, żeby sprawdzili w kostnicy zwłoki Potasińskiego. Zgodnie z jego przewidywaniami były bez ręki. Potasiński rękę stracić musiał już po śmierci, w prosektorium - i to była właśnie ta trzecia hipoteza!

Zwłoki Potasińskiego przewieziono do tamtejszego zakładu medycyny sądowej i wszczęto dochodzenie w sprawie zbezczeszczenia zwłok. Miał inną koncepcję niż zbezczeszczenie. Powiązał z sobą odciętą rękę, śmierć w wypadku i fach Potasa, i wyszło mu, że zarówno śmierć, jak i ucięta ręka to zemsta jakiejś ofiary kieszonkowca. Szybko jednak odrzucił tę hipotezę, jako absurdalną, bo żadna ofiara kieszonkowca nie zadawałaby sobie tyle trudu, żeby tak się zemścić. O co więc w tym wszystkim chodziło? Nie było wyjścia jak

zabrać z sobą przodownika Kowalewskiego i jechać do Gdańska.

Ręka wyprzedziła ich o dwa dni, pogrzeb o jeden, więc nie mogli na własne oczy zobaczyć zwłok Potasa. Trochę był zły, że nie zaczekano na nich z pogrzebem, ale nie mógł się zbytnio awanturować, bo wkrótce mógł potrzebować pomocy kolegów z Gdańska. Na rozmowy z lekarzem, który widział Potasa bezpośrednio po wypadku, a także z policjantem, który przyjechał do tego wypadku oraz z dzielnicowym, który z racji pełnionych obowiązków najlepiej znał Potasa, wysłał Kowalewskiego. Później dowiedział się, że pierwszy potwierdził Kowalewskiemu to, co już wiedział wcześniej, czyli że

Potas zmarł w drodze do szpitala i miał wtedy obydwie ręce; drugi twierdził, że nic nie wskazywało na zabójstwo (Potasiński wracał mocno podchmielony z jakiejś imprezy i po prostu wpadł pod samochód), a czwarty uważał, że Potas to był drobny kieszonkowiec i idiotyczny jest pomysł, że ktoś z zemsty go zabił w upozorowanym wypadku, a potem odciął mu to, czym go tamten kiedyś okradł w jakimś tramwaju.

Podczas, gdy przodownik Kowalewski przesłuchiwał wytypowanych przez niego ludzi, on sam najpierw zapoznał się z zeznaniem pracownika przyszpitalnego prosektorium, na którego dyżurze najprawdopodobniej doszło do okaleczenia zwłok Potasińskiego, a potem postanowił dodatkowo przesłuchać go po swojemu.

Jan Pituła, bo tak nazywał się ów człowiek, mieszkał na ulicy

Dubois we Wrzeszczu, w mieszkaniu po matce, która zmarła kilka lat temu. Nie wiedzieć czemu wyobrażał sobie, że zobaczy jakiegoś nieogolonego, zgarbionego faceta po sześćdziesiątce. I nie zawiódł się.

- Dzień dobry, jestem z policji. Chciałbym z panem porozmawiać.

- A skąd mam wiedzieć, że nie z gazowni?

Mignął mu przed oczami odznaką.

- Już złożyłem zeznanie.

- A pewny pan jest, że chcę rozmawiać w sprawie, w której pan już złożył zeznanie?

- O co chodzi?

- Chce pan o tym rozmawiać tutaj? Proszę bardzo. Chodzi o skargę...

- Niech pan wejdzie.

Blefował. Pituła mógł dorabiać pobieraniem nielegalnych opłat od rodzin zmarłych, ale nie musiał. Blef na szczęście okazał się skuteczny..

- To pomówienia - usłyszał już w mieszkaniu.

- Nagrali pana na dyktafon - blefował dalej. - Taki w telefonie komórkowym. Ciężkie

czasu, wszędzie trzeba uważać. Usiądziemy gdzieś, czy dalej będziemy stać w przedpokoju?

Mężczyzna nic nie odpowiedział tylko ruszył w głąb mieszkania.

Szedł za nim długim korytarzem, z którego prowadziło czworo drzwi, zapewne do pokoiów, kuchni i łazienki. Wszedł za nim przez jedyne otwarte do pokoju, który charakteryzował się klimatem późnego PRLu. Jedną ścianę zajmowała meblościanka, drugą okno balkonowe, trzecią drzwi, a czwartą narożnik, dwa fotele i ława.

Pituła usiadł na kanapie, on zajął miejsce na jednym z dwu foteli.

- O co chodzi? O co chodzi naprawdę?

Pytanie nieco go zaskoczyło. Pomyślał, że nic nie wskóra grając temat naciągania rodzin zmarłych. Wbrew sobie pociągnął go jednak dalej:

- O to, o czym już powiedziałem.

- Nieprawda. Nikt nie mógł złożyć na mnie skargi, bo nie było na co. Tak samo nikt nie mógł nic nagrzać. Niech władza się rozejrzy - czy to mieszkanie kogoś, kto ciągnie szmal na boku? Czy odnajmowałbym jeden pokój, gdybym dorabiał do pensji na lewo?

- Odnajmuje pan pokój?

- Tak, jednemu takiemu...

- Gdzie on teraz jest?

- Wyjechał. Dostał jakieś zaproszenie i wyjechał w poniedziałek wieczorem.

Pomyślał, że jeśli lokator Pituły wyjechał wieczorem, to na przedmieściach Warszawy był w nocy, co by pasowało do czasu znalezienia ręki, a to z kolei nakazywało przyjrzeć mu się bliżej.

- Dokąd? - zapytał.

- Czy to ważne?

- Tak, to może być ważne - odpowiedział spokojnie i sięgnął po papierosa. Dopiero, gdy się zaciągnął, zapytał Pitułę, czy zapali. Ten nie chciał, chociaż na ławie stała popielniczka. Pomyślał, że gospodarz albo nie chciał zapalić od niego, albo jest tolerancyjny dla swoich gości i dlatego trzyma na ławie popielniczkę, chociaż sam jest niepalący.

- Ważne, w jakiej sprawie?

- W sprawie morderstwa. To już nie jest pieprzone okaleczenie zwłok, to już jest znacznie poważniejsza sprawa.

- Morderstwa? - zdziwił się Pituła. - Jakiego morderstwa? Kogo zamordowano?

- Nie oglądał pan nigdy kryminałów? To nie policjantowi zadają pytania, ale on je zadaje. No, więc gdzie wyjechał?

- Naprawdę nie wiem.

Mężczyzna wyraźnie zmienił ton. Był lekko wystraszony i wreszcie gotowy do współpracy.

- Ma pan klucz do jego pokoju?

- Tak. Chce pan tam wejść?

- A po co innego pytałbym o klucz?

Pituła westchnął, wstał, podszedł do barku w meblościance i wyjął stamtąd klucz, a potem skierował się ku wciąż otwartym drzwiom pokoju. Nie pozostało mu nic innego, jak spetować papierosa w popielniczce i pójść za nim.

Pokój lokatora byłby kopią pokoju Pituły, gdyby nie spora liczba płyt kompaktowych, dziwny, bo lampowy wzmacniacz, do którego - co też go zdziwiło - nie były podłączone żadne kolumny, oraz laptop leżący na ławie i podłączony kablem do routera, jakby nie wymyślono bezprzewodowych kart sieciowych.

- Ten zabytek pewnie już nie gra? - zapytał, wskazując głową wzmacniacz.

- To nie jest zabytek. To bardzo nowoczesny słuchawkowy wzmacniacz lampowy. I bardzo drogi. Słuchawki też.

- Zna się pan na tym?

- Nie, Piotr mi mówił.

- A jak się nazywa ten Piotr?

- Baruch. Piotr Baruch.

- Meloman - lubi słuchać przez słuchawki.

- Nie wiem. Nie pozwalałam słuchać głośno muzyki, więc może dlatego słucha przez słuchawki.

- Na tym zdjęciu to on? - zapytał, biorąc do ręki zdjęcie młodego, przystojnego bruneta z dziewczyną, oprawione w ramkę i stojące na jednej z szafek.

Pituła potaknął głową.

Sięgnął po pierwszą z brzegu płytę i przeczytał tytuł: „Grand Wazoo”. Na okładce walczyli z sobą muzycy ubrani w stroje rycerzy.

Odwrócił pudełko i przeczytał: „Zappa”. Sięgnął po drugą płytę i przeczytał: „Waka Jawaka”. Nic mu to nie mówiło, ale pokiwał ze zrozumieniem głową. Potem włączył wzmacniacz. Gdy po chwili rozjarzone lampy przypomniały mu stare radio jego ciotki na wsi, założył słuchawki, wysunął kieszeń odtwarzacza CD i włożył tam drugą z płyt, które oglądał.

Pierwszy utwór miał tytuł „Big Swifty”.

To nie była piosenka. Usłyszał coś, czego nie umiałby opisać. Zdjął słuchawki i powiedział:

- To wariat.

- Baruch? - zapytał Pituła.

- Też - odpowiedział i zaczął przechadzać się po pokoju, bacznie lustrując wszystkie sprzęty i zerkając na podłogę. Szukał zaproszenia. Pituła chyba domyślił się tego, bo powiedział:

- Mógł go wyrzucić do kosza na śmieci w łazience.

Przyszło mu do głowy, że jeżeli zaproszenie było dla Piotra Barucha ważne, to nie powinien go wyrzucać do kosza, ale postawić na honorowym miejscu albo trzymać tam, gdzie trzyma wszystkie ważne dokumenty, ewentualnie zabrać ze sobą. Mimo to powiedział:

- Pokaże mi pan, gdzie to jest? - Jednocześnie pomyślał, że warto by było zajrzeć do laptopa.

Łazienka była tak samo „nowoczesna” jak i cała reszta mieszkania, a kosz nie zawierał nic interesującego. Pomyślał, że albo Baruch wziął ze sobą zaproszenie, albo Pituła robi go w konia. Nie było innego wyjścia jak złapać Pitułę za gardło i wycisnąć to z niego.

- Nie ma pan prawa!

- Mam prawo - jestem silniejszy.

- Oszalał pan.

- To ty oszalałeś, jeśli myślisz, że uda ci się z tego wywinąć. Zginął człowiek, rozumiesz? I choćbym miał cię utopić w tej śmierdzącej wannie pamiętającej szczyny twojej babki, to wyśpiewasz mi wszystko, co wiesz!

- Dobra - zgodził się wystraszony Pituła. - Powiem wszystko, co wiem.

Puścił go więc, a potem wskazał krawędź śmierdzącej wanny pamiętającej szczyny babki Pituły i kazał mu tam usiąść. Sam stanął krok dalej.

- Tego dnia, co Baruch wyjeżdżał, przyszło rano do prosektorium dwóch dziwnych gości.

- Dlaczego byli dziwni?

- Ten jeden to jeszcze mógł wyglądać na kogoś bliskiego tego kieszonkowca Potasa, ale ten w garniturze i z walizką za cholerę nie pasował do tego towarzystwa. No i nie mieli nic, co by potwierdzało, że są jego bliskimi.

- Nic prócz kilku banknotów, zapomniałeś dodać.

- No i ci faceci...
- Zgadza się?!
- Tak, zgadza się. Blefowałem, że pan nie może mieć nagrania.
- Nie, to ja blefowałem.
- Że co?
- Że mam nagranie. I co dalej?
- Dalej to może mnie pan w dupę pocałować.

Domyślił się, o co chodzi Pitule, więc wyjął z kieszeni komórkę z opcją dyktafonu, puścił fragment ich rozmowy i zapytał:

- Pewny jesteś, staruszk?

Staruszek poczerwieniał i ze złości i ze wstydu i rzekł:

- Chcieli zostać sami ze zwłokami.

- A ty się zgodziłeś, oczywiście nie za darmo i oczywiście nie wtedy straciłeś dziewictwo zawodowe. Co to była za walizeczka?

- Nie wiem. Acha - przypomniał sobie nagle Pitula. - Ten w koszuli flanelowej miał pojemnik.

- Jaki pojemnik?

- Nie wiem, jakiś plastikowy.

- Nawijaj dalej.

- Wyszli po pół godzinie i ten ochlapus w koszuli flanelowej powiedział, że jak będę niegrzeczny, to będę wyglądał jak Potas.

- A gdy wróciłeś do sali ze zwłokami, zobaczyłeś, że Potas nie ma jednej ręki.

- Tak, ucięli mu ją między nadgarstkiem a łokciem.

- Nie mogłeś nikomu o tym powiedzieć, bo by się wydało, że dorabiasz na lewo w prosektorium. Często pozwalasz obcym na zabawy z trupami?

- No coś pan! - oburzył się Pitula. - Za kogo mnie pan bierze?

- Za kanalię, którą jesteś. Co dalej?

- To już wszystko.

- Nie pitol mi tu Pitula, gadaj wszystko, co wiesz. Gdzie i po co pojechał twój lokator?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Nie spowiadał mi się.

- Założmy, że nie łiesz. Jak wyglądali?

- Mówiłem już. Jeden za cholerę nie pasował do Potasa, a drugi to był więcej taki ochlapus. Przynajmniej przy tym w garniturku tak wyglądał. Może to przez ten ząb.

- Jaki ząb?

- Nie miał zęba na przedzie.

- To chyba przez brak zęba. Oj, Pituła, Pituła... A dokładniej?

Jak dokładniej wyglądał?

- A czy ja pamiętam? Nie przyglądałem im się. A co ja pedał?

Młodszy ode mnie byli, ale starsi od pana kapitana.

- No, dobra. Posłuchaj mnie teraz. Widzę, że jesteś cały obsrany, więc zostawiam cię tutaj, żebyś doprowadził się do porządku. Co by ci nikt nie przeszkadzał, zamknę cię od zewnątrz. Masz jakieś 15 minut, powinno ci wystarczyć. Rozumiemy się?

- Rozumiemy. Tylko, żeby mi nic nie zginęło.

- A palnął cię ktoś kiedyś w łeb? No, to uważaj.

Laptopa włączył z nadzieją, że Baruch nie był zbyt przezorny. Po chwili okazało się, że niezupełnie miał rację. Przystopował go profil użytkownika zabezpieczony hasłem. Było kilka możliwości. Najtrudniejsza, to odpalić laptopa z bootowalnego pendriva, którego na szczęście miał przy sobie, i odpowiednimi programami odczytać hasło; znacznie łatwiejsza, ale pozostawiająca ślad, to zresetowanie hasła do profilu; a najłatwiejsza, to wejście „przez Administratora”.

To jednak wymagało, by nie było kolejnego zabezpieczenia hasłem.

Tym razem miał szczęście i wystarczyło przy logowaniu wcisnąć jednocześnie klawisze Ctrl, Alt i Delete dwa razy, wpisać „Administrator” i zostawić pole „hasło” puste, żeby mógł uruchomić przeglądarkę. Przyjął, że domyślny portal, który Baruch ustawił w przeglądarce, to jednocześnie portal, na którym założył sobie konto pocztowe, więc po wczytaniu strony startowej kliknął na „pocztę”.

Okazało się, że jego szczęśliwe minuty wciąż trwały - Baruch miał włączoną opcję zapamiętywania haseł. Początkowo bardzo się temu dziwił, ale wytłumaczył to sobie tak, że widocznie chłopak nie obawiał się starego Pituli i uznał, że profil z hasłem wystarczy jako zabezpieczenie. W każdym razie nie musiał uruchamiać programu do łamania hasła na pocztę i wszedł na nią bez żadnego problemu. Cieszył się z tego, bo to zaoszczędzało mu wiele cennego czasu. Czekał na wczytanie się poczty pomyślał, że kiedyś niektórzy gliniarze nosili przy sobie wytrychy, a dziś bootowalne pendrivy z hackerskim oprogramowaniem. Czasy się zmieniają i już nic nie będzie takie, jak dawniej. Za wyjątkiem tego, że ludzie zawsze będą się mordować. Albo z powodu kobiet, albo pieniędzy, albo z zemsty, ale zawsze będą to robić odkąd Abel zabił Kaina... A może Kain Abła...

W każdym razie kilka ostatnich maili było od niejakiego jefimowicza50, jeden

wcześniejszy z Rockserwisu, a jeszcze wcześniejszy z Allegro. Reszta, jeśli jakowaś była, została usunięta; podobnie było w „wysłanych”. Na początek poszła korespondencja z jefimowiczem50. I w zasadzie na tym mógłby poprzestać. Dzięki niej poznał powód wyjazdu Barucha. To nadawca tych maili przysłał po Piotra Barucha samochód, a chodziło o bliżej nieokreśloną pracę z bliżej nieokreśloną „Ewelinką”, w bliżej nieokreślonym miejscu pod Warszawą. Do samochodu dołączonych miało być trzech mężczyzn o imionach Marek, Darek i Henryk, którzy mieli się do niego zgłosić.

Nie zgadzał mu się środek lokomocji, bo spodziewał się pociągu.

Postanowił sprawdzić, skąd wysłano maila. IP odczytane z informacji o mailu wskazywało na... Gdańsk. Tego też się nie spodziewał. Co to mogło oznaczać? Że ktoś robił Barucha w konia. Gdyby Baruch był ostrożniejszy i gdyby wiedział, jak sprawdzać maile, dowiedziałby się o tym raz dwa. Ale albo nie był ostrożny, albo nie wiedział jak sprawdzić maila, albo jedno i drugie.

Z pozostałej poczty dowiedział się, że właśnie wysłano zamówioną przez Barucha płytę „XXII Century Sound Pioneers” Mitch & Mitch, a kupione przez niego słuchawki Sennheiser HD518, z przesyłką będą go kosztowały 389 zł. Zapisał IP jefimowicza50, wyłączył komputer, wziął z półki zdjęcie, o które wcześniej pytał Pitulę i poszedł go wypuścić. Na dowidzenia pokazał mu dyktafon i zapytał:

- Rozumiemy się? - Mina Pitulę mówiła, że się rozumieją, ale na wszelki wypadek powiedział mu, że jak będzie zbyt gadatliwy, to on tu wróci, urwie mu łeb i nasra do szyi.

Gdy wyszedł z budynku, rozejrzał się po okolicy z miną zwycięzcy. Gdy zobaczył szyld „Kawiarenka Internetowa”, pomyślał, że szczęście nie przestaje go opuszczać. Mina mu trochę zrzędała, gdy wszedł do środka i zamiast rzędu stanowisk komputerowych, zobaczył dużą gablotę z telefonami komórkowymi, kilka stojaków z zawieszkami obciążonymi pokrowcami, bateriami i innym akcesoriami gsm, oraz stojaki i półki z akcesoriami komputerowymi.

- Przepraszam - powiedział. - Szukam kawiarenki internetowej.

- To tutaj.

Spojrzał podejrzliwie na młodego człowieka stojącego za ladą, więc ten wyjaśnił:

- Właściwie to tutaj była kiedyś kawiarenka internetowa. Teraz każdy może mieć Internet w domu i kawiarenka się nie opłaci. Przerzuciliśmy się na gsm. Głównie gsm. Ale dwa stanowiska jeszcze zostały, tam dalej za regałami, więc jeśli pan chce... Są wolne. Prawie zawsze są wolne.

Uśmiechnął się w środku i idąc we wskazanym kierunku zapytał:

- Macie tu stałe IP?

- Tak.

Wystarczyły mu trzy minuty, żeby stwierdzić, że to stąd pisał do Barucha tajemniczy jefimowicz50. Ciekaw był, czy pisał gdzieś jeszcze. To mogłoby mu pomóc w ustaleniu jego tożsamości. W grę wchodziły tylko dwa komputery, więc nie powinno mu to zająć zbyt wiele czasu. Pod komputer, przy którym siedział, podpiął swój pendrive i uruchomił odpowiedni program. Na konta pocztowe nie logował się nikt o loginie jefimowicz50, a to znaczyło, że ten, którego szukał, pisał z drugiego komputera.

- Przepraszam - krzyknął do obsługi. - Czy mogę się przesiąść na drugi komputer?

- Przykro mi - odpowiedział ten sam mężczyzna, który wyjaśnił mu wcześniej, dlaczego w kawiarence internetowej są tylko dwa komputery. - Ale niedawno jeden z klientów sformatował nam twardy dysk na tym komputerze i jeszcze nie zainstalowaliśmy systemu. Nie było potrzeby, więc sam pan rozumie, nie spieszyliśmy się. Wyobraża pan to sobie? Sformatował nam twardy dysk.

- To ciekawe - powiedział, podchodząc do mężczyzny. - Może mi pan powiedzieć jak on wyglądał?

- Nie pamiętam. A po co to panu?

- Nie pamięta pan gościa, który sformatował panu dysk? Jakoś nie wierzę. Zwłaszcza, że podobno mało klientów macie. Może było ich dwóch, jeden w garniturze, a drugi we flanelowej koszuli?

Mężczyźnie najwyraźniej nie spodobał się ton jego głosu, bo założył ręce na piersi, zmienił minę z życzliwej na lekko obrażoną i powiedział:

- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że sformatował, więc nie starałem się go zapamiętać. Poza tym nie mam pamięci do twarzy. A w ogóle to nie muszę odpowiadać na pana pytania. Skończył pan?

Piętnaście minut, płaci pan złoty pięćdziesiąt.

Zapłacił, po czym zapytał:

- Macie tu jakieś nowe telefony na sprzedaż?

Mieli. Jak się okazało, a na co liczył, niektóre nie były tak zupełnie nowe. Były zaledwie kilkudniowe i w atrakcyjnej cenie. Chociaż znał odpowiedź, zapytał, co to za telefony. Jak się spodziewał, mieli dwa rodzaje takich telefonów. Jedne to te, które ludzie wzięli na przedłużenie umowy abonamentowej i sprzedali, bo nie mają kasy.

A drugie, które ludzie wzięli na raty i od razu sprzedali za gotówkę, bo... nie mieli

kasy. Szczególnie ten drugi rodzaj go interesował.

- A wiecie, że to paserka? - zapytał.

Nie wiedzieli i nie rozumieli. No to pokazał im swoją legitymację i wytłumaczył, że telefon kupiony na raty staje się własnością kupującego dopiero w chwili spłacenia ostatniej raty, czyli jeśli taki telefon zostanie sprzedany wcześniej, to w zasadzie jako kradziona rzecz, a więc ten, kto go kupuje, jest paserem. Gdy skończył, jeszcze raz zadał pytanie o parę mężczyzn, jeden w garniturze, drugi w koszuli flanelowej, przy czym mężczyźni mogło być trzech, być może mieli imiona Marek, Darek i Henryk. Tym razem dostał odpowiedź.

Klientela kawiarenki to niemal wyłącznie stali klienci, więc obsługa pamiętała mężczyznę bez zęba na przedzie za to z śmiesznym wąsikiem i niewyraźną mową, w wieku nieco więcej niż średnim.

Zwłaszcza, że był tu pierwszy raz i sformatował dysk na stanowisku.

- Streszczajcie się, Jachozna - ponaglił go inspektor Filipski. - Jaki z tego wniosek?

- Moim zdaniem taki - odpowiedział szybko aspirant. - Że trzech gości o imionach Marek, Darek i Henryk uprowadziło Piotra

Barucha, udając kogoś, komu on mógł zaufać. Ci sami goście skrócili w przyszpitalnym prosektorium rękę kieszonkowcowi Potasińskiemu.

- Uprowadzili Barucha samochodem, a potem wyrzucili rękę Potasa przez okno pociągu? To się Jachozna kupy nie trzyma. Szukajcie dalej. Sporo znaleźliście, ale to chyba jeszcze nie to. Ja ugrzęzłem w tej pieprzonej biurokracji. - Tu z obrzydzeniem i złością rozrzucił po biurku jakieś papierzyska. - I chyba nieprędko się z tego wygrzebię.

- Czyli póki co, muszę sam. Trudno. Uważa pan inspektor, że ręka Potasa nie ma nic wspólnego z Baruchem?

Inspektor milczał. Po chwili powiedział:

- A może rękę Potasa wyrzucono nie z pociągu, lecz z samochodu? Zdaje się, że tam blisko szosa jest?

- Tak - zamyślił się Jachozna. - Tak właśnie mogło być. Ten nieszczęśliwy kolejowy wypadek „drwala”, jak przezwano byłego dyrektora podstawówki Tarasińskiego, mógł nas wprowadzić w błąd.

- Dziwi mnie tylko jedno Jachozna: ci domniemani porywacze byliby tak głupi, żeby myśleli, że ich nie znajdziemy po śladach, które za sobą zostawiają?

- Zostawiają, ale starają się je zacierać. Pituła raczej zapamiętałaby śmieszny wąsik, a ci z kawiarenki flanelową koszulkę. Może to amatorzy, którym wydaje się, że są

zawodowcami? Jest jeszcze jedno rozwiązanie. Jeśli ich plan zakłada, że Baruch wróci do domku zanim ktokolwiek zacznie go szukać, to nie muszą się zanadto przejmować tymi śladami.

- A propos: czy wy go w ogóle szukaliście, Jachozna? Chyba ma jakąś rodzinę, pracę, znajomych..

- To się jeszcze pierze. Kowalewski nad tym pracuje.

- No to nie mamy, aspirancie, wyjścia, musimy poczekać. Ale on się odnajdzie. Prędzej, czy później oni wszyscy się odnajdują. Żywi lub martwi, ale się odnajdują. Niech z Gdańska przyślą nam zdjęcie tego Barucha. Trzeba je rozesłać po komisariatach.

- Nie ma potrzeby - powiedział Jachozna, uśmiechając się lisio i wyjmując coś z teczki, którą miał ze sobą. Przed komisarzem położył zdjęcie przedstawiające przystojnego młodego bruneta obejmującego dziewczynę. - Zabrałem to z jego szafki przed samym wyjściem.

* * *

Tracąc resztki świadomości, osowiały i zmęczony pracą Paweł zapadał w sen kilka dni później w fotelu, a obok na stole stały dwie puste butelki po piwie. Katarzyna nie lubiła, gdy pił i nie lubiła, gdy spał w dzień, ale dzisiaj nie miała najmniejszej ochoty nie tylko na kłótnie z nim, ale nawet na jakąkolwiek, nawet najbanalniejszą rozmowę. Po cichutku wyszła z pokoju i poszła do kuchni, żeby zrobić sobie kawę.

Kuchnia była mała, mieściło się w niej zaledwie kilka szafek.

Na stół i na krzesła nie było już miejsca. Pieniądze, które oddała Ryszardowi kilka dni temu, z pewnością przydałyby się jej i Pawłowi, ale nie mogła ich zatrzymać. Już taka była i nic nie mogła na to poradzić. Nie była nawet pewna, czy zdobędzie się na to, żeby sprzedać prezenty od Ryszarda i kupić za to coś do domu.

„Niby z jakiej racji - oburzyła się na samą siebie - mam je sprzedawać?! Są moje i moje pozostaną. Chociaż to będę po nim miała.”

Wiedziała, że jeszcze długo, a być może zawsze będzie pamiętała o Ryszardzie. Gdyby już nic ciekawego nie miało się zdarzyć w jej życiu, będzie miała chociaż to wspomnienie.

I zobaczyła za mgłą pokój, a w nim poważnego, czule, z oddaniem uśmiechającego się

do niej Ryszarda. Ona taka mała, szczupła, niemal chuda, i on - duży, trochę zbyt gruby, w okularach, patrzący z miłością i podziwem na jej nagie ciało, które bez żadnego skrępowania, bez żadnych wyrzutów sumienia pozwalało mu błądzić po każdym centymetrze ud i piersi.

W tym momencie kawa z ekspresu już nakapała do filiżanki i Katarzyna mogła opuścić ciasną kuchnię, by przenieść się do tylko trochę większego pokoju.

Tylko, że wcale nie miała na to ochoty. Tam czekał na nią Paweł, jej nowe życie, a ona...

„Nie - odezwało się coś w jej głowie - tak nie można. Musisz kiedyś wrócić do Pawła taka, jaka byłaś przed poznaniem Ryszarda i nie możesz z tym zwlekać w nieskończoność, najlepiej zrób to od razu.”

Weszła do pokoju i poczuła się, jakby przekraczała jakąś granicę.

Zmusiła się do uśmiechu, ale nie miała do kogo się uśmiechać, bo Paweł cały czas spał. Ni to siedział, ni to leżał w fotelu, duży i nawet w ubraniu widać było, że pięknie zbudowany, i spał jak przysłowiowy suseł. Katarzyna postawiła filiżankę z kawą na stole i usiadła w drugim fotelu. Patrzyła w telewizor, w którym Paweł wyłączył głos i zastanawiała się nad tym, dlaczego jej chłopak zawsze musiał mieć w pokoju jeszcze kogoś do towarzystwa. Mogły to być nieme postacie z telewizora, ale musiały być; musiały się ruszać, coś przeżywać, dokąds dążyć, śmiać się lub płakać. Jednocześnie musiało grać radio albo jakaś płyta, bo Paweł nie znosił ciszy. Teraz, gdy muzyka już dawno się skończyła, w pokoju słychać było tylko odległy sygnał samochodu policyjnego, a może strażackiego. Mogła to być także karetka pogotowia, ale nie miało to dla Katarzyny żadnego znaczenia. Chwilami miała wrażenie, że już nic nigdy nie będzie miało dla niej znaczenia.

„Zapomnij o Ryszardzie - rozkazała sobie w myślach i pociągnęła łyk kawy. - Wyobraź sobie, że go nigdy nie było. A nawet, jeśli był, to co były warte te wasze schadzki? Nic, dokładnie nic. No dobra, były coś warte i to nawet dużo, ale już ich nie będzie, więc po co o tym myśleć? Gdybyś zgodziła się na to, co proponował, gdybyś została jego nową żoną - bo chyba to sugerował - to, co zostałoby z magii waszych spotkań? Nic. Więc powiedz sobie wyraźnie: było cudnie, ale przyszedł czas rozstania.”

To wszystko miało sens, ale Katarzyna z trudem wczuwała się w rolę, jaką próbowała sobie narzucić. Popijała kawę małymi łydkami i starała się nie patrzeć na Pawła. W końcu spojrzała na niego i z zadowoleniem stwierdziła, że nie czuje do niego ani żalu, ani nienawiści. Bo i czemu miałyby czuć? W końcu on niczemu nie był winien. Miała nawet ochotę podejść do niego, przytulić się i opowiedzieć wszystko, a przynajmniej pożalić się na Ryszarda. Mogłaby też opowiedzieć Pawłowi o wrednej żonie Ryszarda i o tym, jak wynajął

dla niej kochanka.

Pokusa była silna, ale rozsądek zwyciężył i została na miejscu.

Zbeształa się nawet za te idiotyczne pomysły, potem spojrzała na dno pustej filiżanki po kawie i powiedziała do śpiącego Pawła:

- Pobudka, panie Pawle, czas zacząć nowe życie.

Ale Paweł nie zamierzał zaczynać nowego życia - spał dalej, a Katarzyna nawet nie wiedziała, o czym śnił. Myślała, czy by mu nie pomóc w powrocie do rzeczywistości, gdy zadzwonił telefon.

„O nie - pomyślała - tym razem niech dzwoni, aż mu się bateria wyczerpie.”

Telefon nie przestawał dzwonić.

„Może obudzić Pawła? Nie, niech śpi. W końcu temu komuś znudzi się czekanie.”

Telefon dzwonił dalej.

„Niech cię szlag trafi!” - krzyknęła w myślach, a potem zerwała się z fotela, wzięła do ręki aparat i podeszła do Pawła.

- Paweł - powiedziała. - Obudź się, telefon dzwoni.

Paweł otworzył oczy, spojrzał na nią nieprzytomnie i zapytał:

- Co?

- Telefon dzwoni.

Jak oparzony złapał słuchawkę i przytknął ją do ucha.

- Halo?... Tak, to ja, Paweł... Dobrze, zaraz będę... A o której planowany jest powrót?... Rozumiem. Dobrze, zaraz będę... Nie, nie trzeba, wezmę taksówkę. No dobra, będę czekał przed domem. Zna szef adres? No tak, jasne. Dobra, będę czekał.

- Kto to był? - zapytała.

- Szef - odpowiedział i ruszył w kierunku łazienki. - Zaraz po mnie przyjedzie. Dzisiaj polowanie. To trochę potrwa, wrócę pewnie w nocy.

- Ty na polowanie? - zdziwiła się.

- To nie jest zwykłe polowanie - tłumaczył, wychodząc z łazienki, gdzie szybko umył twarz. - To polowanie na ludzi, w dodatku na prawników, a dokładnie na dwóch prawników.

- No to rzeczywiście nie jest zwykłe polowanie. Mógłbyś mi to wytłumaczyć?

- A co to, przesłuchanie?

- A żebyś wiedział. Patrz mi prosto w oczy.

- Tortury...

- Co to za polowanie?

- Tortury...

- Powiesz mi wreszcie?

- Niekończące się tortury...

- Dobra, jak sobie chcesz. - Katarzyna odwróciła się na pięcie i zaczęła wychodzić z pokoju. Paweł złapał ją za rękę.

- To taka zabawa dla dużych i bogatych chłopców. Wytłumaczę ci, jak wrócę, okey? A teraz daj mi się ubrać. Zaufaj mi.

- Chwileczkę - przytrzymała mu spodnie. - A skąd ja mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

Patrzył na nią chwilę, a w końcu rzekł:

- Dobra, daj mi aparat, zrobię kilka zdjęć, najlepiej Zorką 5.

Mówię poważnie, przynieś cyfrówkę.

Poszła po aparat, on w tym czasie zakładał buty. Podała mu go i powiedziała:

- Nie daj się zabić.

Pocałował ją w czoło i rzekł:

- Śmierć zdrajcom.

A potem wyszedł, zostawiwszy ją kręcącą głową i uśmiechającą się. Wyglądała, jak matka patrząca za synem, który idzie na niezwykle ważną bitwę o podwórko.

Z ciekawości wyjrzała przez okno. Wkrótce zobaczyła podjeżdżający pod ich blok samochód terenowy, a potem wsiadającego do niego Pawła. Samochód wydał jej się znajomy, ale nie mogła skojarzyć, dlaczego.

* * *

W tym czasie przodownik Kowalewski telefonicznie opowiadał aspirantowi Jachoźnie o swoim dochodzeniu w sprawie tajemniczego zniknięcia niejakiego Piotra Barucha.

Dość szybko ustalili, że ich Piotruś to Piotruła, aktor filmów porno, który zerwał kontakty z rodziną po tym, jak dowiedział się, że jest dzieckiem adoptowanym, w dodatku oddzielnym od rodzeństwa. Jego przybrani rodzice od dawna nie wiedzą mają pojęcia, gdzie się podziewa. Jedyne dzięki „życzliwym” znajomym wiedzą, w jakim filmie widziano go ostatnio. A widziano go w filmie niejakiego Rasputina, czyli w pornosie.

- To pseudonim? - upewnił się aspirant Jachozna, wychodząc z pokoju, w którym do tej pory oglądał z żoną telewizję.

- Tak jest, Grigorij Jefimowicz Rasputin był...
- Jak powiedziałeś?
- No, Rasputin był...
- W całości powiedz.
- Grigorij Jefimowicz Rasputin był... A o co chodzi?
- A o to, że Baruch ostatniego maila dostał od jefimowicza, a dokładnie jefimowicza50
- wyjaśnił aspirant, zamykając za sobą drzwi do drugiego pokoju, który był pokojem do pracy jego żony, nauczycielki matematyki. To tu udzielała korepetycji, którymi zarabiała w sumie więcej od męża.
- To by się zgadzało. Waclaw Motylewski, czyli nasz Rasputin, urodził się w 1950 roku. Myśli szef, że to on go porwał?
- Albo ktoś, kto się pod niego podszył. Tak, czy siak zacząć musimy od rozmowy z Rasputinem. Mam nadzieję, że adres już zdobyłeś.
- A nie od Domu Dziecka? - zapytał nieco zdziwiony i zawiedziony Kowalewski. - Może ten Baruch szuka swojego rodzeństwa, więc może...
- To zaczeka. Dobrze kombinujesz, ale to zaczeka.
- Zwłaszcza, że Rasputina mamy na miejscu.
- To co Baruch robił w Gdańsku?
- Nie wiem. Może dowiemy się od Rasputina.
- Kiedy?
- Na pewno nie dziś, już prawie noc. Jutro rano.

* * *

Ulica żyła jeszcze resztkami dnia, ale parkingi przed blokami już były zatłoczone do granic możliwości. Prezes Nowak z trudem znalazł wolne miejsce. Czekając na chłopaka, myślał o swoim Kwiatuszku. Wyobrażał sobie ich wspólną przyszłość. Pod baldachimem na łóżku w sypialni Jolanty leżała jego naga Szeherazada i opowiadała mu bajki, a on zasłuchany w jej głos i zapatrzony w jej piękne ciało, palił fajkę siedząc w szlafroku w wielkim fotelu.

Jego marzenia przerwał Paweł wsiadający do samochodu:

- Musiałem tłumaczyć się przed dziewczyną. Wie szef, jak to jest.
- Zazdrosna? - zapytał i włączył silnik.

- Jak diabli. Wziąłem aparat fotograficzny, cyfrowy. Powiedziałem, że zrobię trochę fotek.

CMoknął niezadowolony i gdy ruszyli powiedział:

- Ja nie mam nic przeciwko temu, ale nie wiem, co na to pozostali. Bracia Neon mogą się nie zgodzić, Inżynierek też może postawić veto.

- No to pstryknę sobie fotkę tylko z szefem, w odpowiedniej scenerii rzecz jasna, to powinno wystarczyć.

- Żeby co? Wystarczyć, żeby co?

- Żeby nie miała wątpliwości, że nie byłem na dziwkach.

- O, kochany - odpowiedział prezes. - Zdjęcie w scenerii komputerów wcale nie musi świadczyć o tym, co powiedziałaś. Znam ludzi, którzy od „polowania” wolą właśnie dziwki. Wirtualne dziwki.

Inżynierek się tym nie zajmuje, ale znam takich, którzy już zaczynają robić na tym pieniądze. To może być kolejna rewolucja seksualna.

- Myśli szef, że wirtualne życie to przyszłość?

- Biedoty.

- Biedoty? - zdziwił się Paweł. - Przecież takie zabawy kosztują krocie, sam mi szef to mówił nie dawno.

- W tej chwili. Kiedyś będą tańsze od możliwości głupiego spaceru brzegiem prawdziwego morza. Wczasy w starożytnej Grecji, być może ze scenariuszem opartym na mitologii greckiej, będą przez jakiś czas hitem, ale to się bogaczom szybko znudzi. Wracając do wirtualnych dziwek - jak myślisz, czy to już zdrada, czy jeszcze nie?

- Z taką wirtualną panienką? - upewnił się Paweł. - Nie wiem.

To zależy.

- Od czego?

- Nie wiem.

- Nie wiesz. Wiesz, że zależy, ale nie wiesz, od czego.

- Niech się szef nade mną nie znęca, dobra?

Śmiejąc się szef odpowiedział:

- Okey, okey.

Przez chwilę jechali w milczeniu, które przerwał chłopak:

- Tak się zastanawiam, czy może się zdarzyć jakaś niebezpieczna dla nas awaria komputera? Przecież to tylko sprzęt.

- I o to chodzi, że może się coś takiego zdarzyć. Bez adrenaliny życie nie miałyby

sensu. Ale troszeczkę się mylisz. Program, z którego będziemy korzystać, jest wprawdzie podrasowaną wersją, ale wersją programu, z którego korzysta wojsko, więc nie jest to amatorka, bo wojsko mamy przecież zawodowe.

Paweł nie wiedział, czy jego szef żartuje, czy mówi poważnie.

Przypominał sobie za to, że wcześniej mówił coś o grze przeciwko jakimś braciom. Mówił, że będzie to gra na pieniądze. Wtedy go o to nie wypytał, bo za bardzo był zajęty przeżywaniem podwyżki.

- No właśnie, kim są ci, z którymi będziemy grać, co to za jedni? - zapytał teraz.

- To prawnicy, wkrótce ich poznasz. To już niedaleko.

- Jeszcze jedno, chodzi o te pieniądze.

- Nic się nie martw. Forsy to ja mam jak inni kłopotów. Wygramy, dostaniesz połowę. Przegramy, moja strata.

Pawłowi wcale to się nie podobało. Poczul na sobie olbrzymią odpowiedzialność, w dodatku pomału przestawał rozumieć swojego szefa. To, że ten chciał, by on sypiał z jego żoną za jego pieniądze, to jeszcze rozumiał. To, że się założyli, on i jego żona, z kim bardziej będzie trzymał, to też był w stanie zrozumieć, w końcu ten świat zbudowany jest na ludzkiej głupocie. Ale tego, że ten facet ryzykuje teraz kupę pieniędzy... Nie, tego zrozumieć nie potrafił.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział więc głośno. - Mógłby szef wziąć na partnera do „polowania” kogoś doświadczonego i z forszą, a wziął mnie - dlaczego?

- Nie wiem. Jakiś taki bliski mi się stałeś.

„Jezu - pomyślał Paweł - przecież to jest chore!”

- No to i dojechaliśmy - powiedział wtedy Ryszard, zatrzymując samochód przed bramą jakiegoś parterowego domu na przedmieściach Warszawy. Brama po chwili otworzyła się i Ryszard ruszył.

Zaparkował samochód z tyłu domu obok innej terenówki, potem wziął z tylnego siedzenia niedużą walizeczkę i zarządził wyjście. Gdy wyszli, Paweł miał zapytać o tę walizeczkę, gdy idący ku nim nieduży, łysawy mężczyzna w okularach zapytał:

- Gotowi na śmierć?

Ryszard uśmiechnął się i powiedział:

- Dawaj tu tych sukinkotów; niech zobaczę kogo dzisiaj rozwalę.

- A potem przedstawił mężczyznę Pawłowi: - Poznajcie się: to Paweł, a to...

- Witam w klubie morderców, Korkoran; możesz do mnie mówić Inżynierek.

„Inżynierek zasrany” zagrało w głowie Pawła Lao Che, jednak głośno, i to

uśmiechając się, powiedział swoje imię. Wtedy z budynku wyszło jeszcze dwóch mężczyzn, starszych od niego, a młodszych od Ryszarda.

- Bracia Neon - przedstawił ich Inżynierek, a oni po kolei przywitani się z nim:

- Mateusz.

- Łukasz.

Gdy Paweł drugi raz wymienił swoje imię, podając rękę drugiemu z nich, ten pierwszy zaśmiał się:

- Niech mnie diabli, Nowy Testament prawie w komplecie, brakuje tylko Jezusa, co?

Paweł uśmiechnął się, ale Korkoranowi żart się nie spodobał, co było widoczne w wyrazie jego twarzy. Ryszard, zwracając się do niego, zaproponował:

- Może zaprosisz nas do środka?

- Jasne - odparł tamten. - Nie traćmy czasu.

Jeszcze niedawno Paweł przeżyłby mały szok, widząc tak bogato urządzone mieszkanie, teraz jednak, po stażu u Nowaków, dom

Inżynierka nie zrobił na nim większego wrażenia. Dopiero po wejściu do pokoju, w którym miało się rozegrać „polowanie”, troszkę zwątpił, czy rzeczywiście widział już wszystko.

To, co najbardziej rzucało się w oczy, to cztery wypukłości, jakby wystające z podłogi wierzchołki dużych kul, każda otoczona barierką, a nad każdą zwisające z sufitu pasy przypominające samochodowe pasy bezpieczeństwa. Drugą rzeczą, która przykuła jego uwagę, była wielka, cicho szumiąca szafa stojąca pod ścianą. W pokoju były też dwa tradycyjne komputery i stolik oraz dwie kanapy.

- To, co - powiedział Korkoran. - Zaczynamy. Czy może wyjaśnić to i owo Pawłowi?

- Podstawy wytłumaczyłem Pawłowi po drodze - odpowiedział

Ryszard. - Wie, o co chodzi. Reszty dowie się w trakcie. Ponieważ gra pierwszy raz, proponuję puścić go pierwszego, żeby się przyzwyczaił, a potem dołączy reszta.

- Nie chciałbym nikogo urazić - powiedział Inżynierek. - Ale jeśli to jego pierwszy raz, powinien przynajmniej trochę potrenować.

Inaczej będzie mięsem armatnim.

Ryszard najwyraźniej w myślach przyznał rację Inżynierkowi, bo zapytał:

- Co na to bracia?

Bracia nie mieli nic przeciwko temu i wkrótce Paweł, uprzednio się rozebrawszy w sąsiednim pomieszczeniu, zakładał specjalny skafander i hełm. Potem wszedł za jedną z

barierek i stanął na wierzchołku kuli, która przesuwiała się pod nim, gdy przebierał nogami. Żeby nie tracił równowagi, Inżynierek przypiął go pasami zwisającymi z sufitu, które pozwalały na dość dużą swobodę ruchów, a jednocześnie chroniły przed upadkiem. „Więc tak będą wyglądały zabawy bogaczy?”, zdziwił się w myślach i podał Inżynierkowi wystające ze skafandra kable. Ten popodłączał je do - jak to określił - portu, a potem usiadł przy jednym z komputerów. W tym czasie Ryszard Nowak i bracia Neon przeszli do innego pokoju.

Paweł usłyszał w słuchawkach głos Inżynierka:

- Zaraz znajdziesz się w wirtualnym świecie. To będzie plansza treningowa. Potrenujesz tu chodzenie, bieganie, schyłanie się, branie do ręki różnych przedmiotów, strzelanie i tak dalej. Bardzo ważne jest ustawienie progu bólu. Im niższy próg bólu, tym większą masz kontrolę nad sobą i przedmiotami, ale też bardziej cię zaboli, gdy oberwiesz. Gotowy? Zaczynamy?

- Zaczynamy.

Przed oczami Pawła pojawiły się buty. Były inne niż te, w których wchodził na kulę. Podobnie było z pozostałą garderobą. Podniósł głowę i zobaczył niebo. Było błękitne, tylko tu i ówdzie przepływały białe obłoki. Przesunął wzrok niżej - przed nim rozciągała się piaszczysta droga. Spojrzał w bok - łąka, a dalej las. Zrobił pierwszy, niepewny krok i pomyślał, że pewnie tak czuł się Armstrong na

Księżycu. Skojarzenie spowodowało, że podskoczył, a potem przeszedł kilka kroków raz wolniej, raz szybciej.

- No i jak ci się podoba? - usłyszał głos Inżynierka.

- Bomba - odpowiedział szczerze. - To wszystko jest bardzo realistyczne.

- No to teraz kopnij kamień leżący koło drogi.

Paweł rozejrzał się, a gdy zlokalizował kamień, podszedł do niego i lekko go kopnął. Prawie nic nie poczuł.

- Podkręcić? - zapytał Inżynierek.

- Co?

- Próg bólu, czyli czucia. Ból to bardzo pożyteczny wynalazek, wierz mi.

- Tak? No to podkręcić.

- Gotowe, kopnij znowu.

Paweł kopnął i poczuł ból nieproporcjonalny do siły kopnięcia.

Dopiero za piątym razem udało się ustawić sensowny próg.

- No to najważniejsze mamy za sobą - powiedział wtedy Inżynierek. - Reszta to bułka

z masłem. Rozejrzyj się tu, a ja pójdę do reszty ekipy. Wrócę za jakieś piętnaście minut. Jeszcze tylko włączę noc, żebyś potrenował w warunkach zbliżonych do tych, jakie będą w grze.

Podczas gdy Paweł trenował chodzenie, bieganie, siadanie, wstawanie, a także strzelanie z pistoletu, który znalazł na drodze, reszta mężczyzn siedziała w sąsiednim pokoju i delektowała się kawą, którą podała im młoda blondynka. Gdy postawiła ją przed Korkoranem, ten powiedział:

- To wszystko na dziś, możesz już jechać do domu.

Gdy dziewczyna, uprzednio się pożegnawszy, wyszła, Łukasz Neon zapytał:

- Inżynierek, a może byś kiedyś zagrała z nami o nią?

- Gdyby była botem, to by zagrała, ale ma świadomość, więc nie zagra - odpowiedział za niego Mateusz Neon i zapytał nie bez ironii: - Prawda, inżynierze?

- Zejdźcie ze mnie.

Bracia jednak nie zamierzali tego robić.

- Przepraszam bardzo, ale skąd u licha mamy wiedzieć, że nie jest botem? - drążył temat Łukasz. - Jeśli materia nie istnieje, to po czym poznać, czy dane wrażenia zmysłowe są przejawem istnienia istoty obdarzonej świadomością, czy tylko dekoracją? A może dobry Bóg umieścił na tym łóżku blondynki, żebyśmy mogli je podszczypywać jako rekompensatę za trudy życia?

- Poszedłbym nawet dalej - wtrącił się drugi Neon. - Proponuję przyjąć, że wszyscy, nad którymi ktokolwiek się znęca, to boty. One są ku uciesze sadystów.

- Z małą poprawką - dopowiedział jego brat. - Z wyjątkiem masochistów.

Bracia wybuchli śmiechem, a potem Mateusz dodał:

- To by rozwiązywało problem istnienia zła w świecie stworzonym przez dobrego Boga.

Zaczerwieniony ze złości Korkoran powiedział:

- Odpowiedziałbym wam, gdyby to was rzeczywiście interesowało, ale za dobrze was znam, żeby mieć takie złudzenia.

- Ależ bardzo nas to interesuje! Ja na przykład chętnie dowiedziałbym się, jak wytłumaczysz ewolucję zmysłów, jeśli materia nie istnieje. Ewolowały w odpowiedzi na istnienie czego? Mateusza pewnie też to interesuje.

- Ale mnie nie interesuje - wtrącił się do rozmowy Ryszard Nowak. - Proponuję zakończyć dyskusję. To ciężki temat; ja tu przyjechałem się rozerwać, a nie prowadzić

filozoficzne dyskusje.

- Mam nadzieję, że Inżynierek umieścił na planszy trochę granatów - zaśmiał się Mateusz. - I nie sprawimy ci zawodu.

Wszyscy prócz Inżynierka zaśmiali się, a potem Ryszard, kierując pytanie właśnie do niego, mając na myśli Pawła, zapytał:

- Może już wystarczy? To pojętny chłopak.

Ten szybko odpowiedział:

- Treningu nigdy za dużo. - A potem, mówiąc już wolniej, zwrócił się do braci Neon: - Jeśli was dobrze zrozumiałem, to uważacie, że istnienie zła przeczy istnieniu Boga?

- Uważamy, że takie dyskusje to pierdolenie kotka za pomocą młotka - w imieniu obydwu braci odpowiedział Łukasz, a drugi

Neon dodał: - Głędzić każdy może, jeden lepiej, drugi trochę gorzej.

- Filozofowanie nazywacie głędzeniem? - uśmiechnął się Inżynierek.

- Nie każde głędzenie to od razu filozofia - odparł na to Mateusz. - Bądźmy, Korkoran, szczerzy, twój Bóg to konkretny Bóg, Bóg

Biblii. Zamiast dociekać tego, czego dociec się nie da, zajmijmy się konkretami.

- Na przykład?

- Na przykład, drogi inżynierze, pochodzeniem Jezusa od Dawida poprzez Józefa, który nie był ojcem Jezusa.

- Albo - dodał Mateusz. - Zakręceniem Jezusa i jego uczniów na rychłym końcu świata. „Nazywaj rzeczy po imieniu, a zmienią się w oka mgnieniu”: Jezus pomylił się w swoich przewidywaniach bliskości królestwa niebieskiego, a co za tym idzie apokaliptycznego końca świata; krótko mówiąc: był fałszywym prorokiem.

Zaraz po tym, jak Mateusz skończył, Łukasz wskazał palcem Korkorana i powiedział:

- Raz, dwa, trzy, teraz ty.

Korkoran już otwierał usta, gdy Ryszard Nowak niemal krzyknął:

- Dość tego. Przyszedłem tu grać, a nie wysłuchiwać ateistycznej agitki!

Pomimo tych słów Korkoran rzekł:

- Macie racjonalne argumenty - rajcują mnie niezmiernie. Wydaje wam się, że Amerykę odkryliście. Znam to wszystko i jeszcze więcej. Dobrze wiecie, że mógłbym przedstawić kontrargumenty na wszystko, co tu gadacie, ale to nie miejsce i nie czas na to. Chcecie podyskutować? Proszę bardzo. Możemy się spotkać gdziekolwiek w realu albo w internecie, grup dyskusyjnych nie brakuje. Ale teraz - Ryszard ma rację - róbmy to, po co tu przyszliśmy. A przyszliśmy w celach rozrywkowych, prawda?

Przynajmniej Łukasz zgodził się z takim punktem widzenia, bo zapytał:

- Pewni jesteście, że temu młodemu dżentelmenowi taki krótki trening wystarczy?

- Jasne - odpowiedział prezes Nowak. - Zasady przypomnimy mu przed grą. Wpuścimy go też kilka minut przed nami, żeby jeszcze bardziej się z tym wszystkim oswoił.

- Czy ty nas Ryszardzie aby nie lekceważysz? - odparł na to Mateusz. - No, ale dobra, chodźmy.

Gdy znaleźli się w pokoju gry, Inżynierek usiadł przed komputerem, a Ryszard podszedł do Pawła. Bracia Neon stali kawałek dalej i coś sobie szeptali do uszu.

Gdy Paweł zdjął hełm, Ryszard zapytał:

- No i jak?

- Prawdę mówiąc jestem w szoku - odpowiedział chłopak. - Nie spodziewałem się czegoś tak realistycznego.

- Cieszę się, że ci się podoba. Gotowy do gry? Jak czegoś nie wiesz, to pytaj, bo potem będzie za późno.

- Przydałoby się, żebym dokładniej znał regulamin. Prawdę mówiąc prawie go nie znam.

- Słusznie - zgodził się z Pawłem prezes i zawołał Inżynierka.

Ten zaczął mówić, a w miarę jak mówił, zebrani mężczyźni siadali na kanapach w rogu pokoju, gdzie stał także nieduży stolik, a na nim samotna popielniczka, którą wkrótce wykorzystał Ryszard.

Paweł dowiedział się, że nikt nie może wyjść z gry na własne życzenie. Nie ma takiej opcji. Wyjście z gry jest jedynie i automatycznie w momencie jej końca, w momencie wirtualnej śmierci lub w momencie osiągnięcia krytycznego poziomu bólu, który każdy z graczy ustala dla siebie przed grą w skali od 1 do 10, przy czym im mniejsza cyfra, tym mniej odczuwa się ból, ale też ma się słabszy kontakt dotykowy z otoczeniem, co w praktyce przekłada się na mniejszą sprawność fizyczną. O śmierci decyduje główny komputer lub on, Inżynierek, na podstawie tak zwanych parametrów życia i poziomu bólu, jaki osiągnął dany gracz. Te parametry są na bieżąco pobierane przez komputer z ciała uczestników poprzez czujniki w skafandrach i hełmie. Gdy komputer lub on uznają, że obydwaj zawodnicy któreś z drużyn nie żyją, gra zostaje przerwana, a pozostali przy życiu uczestnicy wracają do realnego życia, przy czym pamiętają wszystko, co się wydarzyło w trakcie zabawy. Ci, co wcześniej wyjdą z gry, dalszy jej ciąg mogą sobie oglądać na ekranach monitorów. Zwycięzcy zgarniają wszystko, a jeśli gra nie zostanie rozstrzygnięta w ciągu czterech godzin, całą pulę

przejmuje on, jeśli więc chcą sobie tylko pobiegać po wirtualnym lesie przez cztery godziny i postrzelać na wiwat, to on nie ma nic przeciwko temu. Po wejściu do gry Paweł ma jeszcze pięć minut na dodatkowy trening, potem dołączają do niego Ryszard i bracia Neon. Drużyny ruszą na siebie z dwóch końców lasu, spotkają się, gdzie ich los rzuci. Teren jest nowy, ani Ryszard, ani bracia na nim nie grali.

Na koniec Inżynierek jeszcze raz zapytał Pawła, czy ma jakieś pytania, a ponieważ ten nie miał, a przynajmniej nie miał takich, którymi chciałby się głośno podzielić z innymi, Ryszard Nowak powiedział:

- No to założmy wreszcie te cholerne skafandry i ruszajmy w bój.

* * *

Veto nudzie, veto kapciom i emeryturze! Teraz czuje, że żyje!

Chociaż - musiał to przyznać - radość mieszała się w jego sercu z lękiem. Jednocześnie cieszył się, że zagra i jednocześnie bał się tego wszystkiego, co mogło się zdarzyć w tym nieznanym mu wirtualnym świecie gier dla dorosłych i bogatych chłopców.

Założył hełm i po chwili z ciemności i ciszy wyłonił się przed nim las w porze nocnej, oświetlony jedynie światłem księżyca, ze swoimi nocnymi odgłosami zwierząt i szumem drzew na lekkim wietrze.

Najpierw starał się jak najbardziej wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć jak najdalsze obszary lasu, a potem zjechał wzrokiem w dół aż zobaczył swoje stopy ubrane w trekkingowe buty. Potem obejrzał swoje ręce i ze zdumieniem stwierdził, że w jednej z nich trzyma pistolet. Pobiegał trochę to w jedną, to w drugą stronę, potem trochę postrzelał na wiwat, a wreszcie stanął i rozejrzał się wokół. Po chwili zobaczył wychodzącego zza drzew Ryszarda. Był to niewątpliwie Ryszard, chociaż twarz miał nieco zmienioną, jakąś dziwnie usztywnioną, jakby miał sparaliżowane niektóre mięśnie. Podobnie było z całą jego sylwetką. Zaczął się zastanawiać, kiedy do tego przywyknie i czy on też tak wygląda.

- Czy jestem podobny do siebie? - zapytał.

- Tak - odpowiedział Ryszard. - Dałem Inżynierekowi tyle twoich zdjęć, a nawet filmów, żeby komputer odwzorowywał cię tak samo dobrze, jak mnie.

- Filmów? - zdziwił się. - Nic o tym nie wiedziałem.

- To teraz najmniej ważne. Ochłonałeś trochę?

- Trochę.

- Najważniejsze to się przyzwyczaić i robić wszystko tak, jak w normalnym życiu.

„Łatwo powiedzieć” - pomyślał, a głośno zapytał:

- Co dalej?

- Teraz zobaczmy, co jest w tym cholernym lesie. Inżynierek mówił, że braci wpuści w drugim jego końcu. Nie wierzę, żeby planszą był jedynie las, to by było za nudne i do Korkorana niepodobne.

Gdzieś w tym lesie jest jakaś niespodzianka. Jakiś dom, polana, czołg, w zasadzie wszystko jest możliwe. Dobrze by było dotrzeć do tego przed prawnikami i się tam na nich przyczaić. Próbowaleś już jak się biega?

- Trochę.

- No to teraz będziesz miał okazję się w tym wprawić.

Biegli obok siebie przez jakiś czas, aż wreszcie Ryszard zatrzymał się, przykucnął za jednym z krzaków i spojrzał w głąb lasu. Podążył za jego wzrokiem, ale nic nie widział, gdyż w tym miejscu było niemal zupełnie ciemno.

- Może zaświecić? - zapytał, pokazując latarkę, którą znalazł w kieszeni kurtki.

- Boże broń! - syknął Ryszard. - Chcesz pokazać, gdzie jesteśmy?

- Myśli szef, że już by tu dobiegli?

- Dlaczego nie, są szybcy.

- Poważnie? Nie wyglądali mi na zbyt bystrych.

- I tu się mylisz. Są lepsi, niż byś mógł przypuszczać. W realu trenują biegi i strzelanie.

- A co się stanie, jeśli przegramy?

- Obydwoj poczujemy, jak umieramy, a ja dodatkowo stracę sporo szmału.

Bez nadziei w głosie zapytał:

- To żart?

Ryszard tylko spojrzał na niego, a on wiedział już, że odpowiedź brzmi „nie”.

- Nie wierzę - powiedział mimo to.

- Widzisz za drzewami po prawej to bagno?

- Nie, nie widzę - odpowiedział zgodnie z prawdą

- Przyjrzyj się dokładniej.

Wyteżył wzrok i wkrótce dostrzegł nie tylko bagno, ale i zająca pod jednym z

krzaków. Przez chwilę zastanawiał się, czy za tym zającem kryje się prawdziwy zając. Wyobraził sobie zająca z całym oprzyrządowaniem gracza i uśmiechnął się mimowolnie.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał Ryszard.

Tego się nie spodziewał. Pytanie Ryszarda świadczyło o tym, że albo system czyta w myślach, albo reaguje na zmianę mimiki twarzy. Był w szoku, ale nie dawał tego po sobie poznać i jakby nic odpowiedział na wcześniejsze pytanie Ryszarda:

- A tak, teraz widzę.

- Podejźmy tam teraz po cichu i rozejrzemy się.

Potaknął głową, ale był jakby nieobecny. Jego głowę zaprzętała myśl, czy za zającem, którego przed chwila widział, kryje się jakiś człowiek. Może Inżynierek?

Swoją drogą, myślał, to ciekawe, po co Ryszard wziął takiego żółtodzioba jak on, w dodatku kochanka swojej żony, na „polowanie”,

które nie tylko kosztuje kupę szmalu, ale potrzebny jest na nim odpowiedni partner, jeśli chce się wygrać. Chyba tylko po to, żeby się go tu pozbyć. Sekcja zwłok na pewno wykazałaby zawał serca. Utopi go tu albo zastrzeli. Jeśli chce go utopić, to pewnie zrobi to, jak tylko podejda do bagna, a jeśli zastrzelić, to może go na przykład wystawić braciom. Do tego oczywiście potrzebna by była spółka z Inżynierkiem, ale jaki problem dla prezesa go przekupić? Wystarczy, że ten namiesza w programie i zegnaj życie. Albo witaj życie. Śmierć w tak zwanym prawdziwym życiu może być tak samo jak tu powrotem do życia rzeczywiście prawdziwego. W tych tak pięknych okolicznościach przyrody to wszystko nabierało zupełnie innego sensu.

Myślał: bogate, znudzone staruchy bawią się w Indian. Tymczasem oni mogą chcieć go zabić! Żeby tylko! Oni mogą chcieć go torturować! Swoją drogą, co za czasy: kiedyś bogacze grali w pokera, dziś strzelają się jak dzieciaki. Najgorsze jest to, że nie można się z tego wycofać. Chyba, że popełni samobójstwo. Tak, w ten sposób odciąłbym się od danych z komputera i wróciłbym do prawdziwego życia.

Na śmierć ma zawsze czas. Bardziej honorowo będzie zginąć w walce. A może to on powinienem utopić Ryszarda w bagnie i zwiać?

Jakiż jest głupi, przecież Ryszard wróci do normalnego życia wszystko pamiętając, w dodatku będzie miał świadka, zająca. Pod warunkiem, że zając to Inżynierek.

„Tak, kretyne, zając to na pewno Inżynierek. Już widzę jak Ryszard powołuje się na zeznania zająca. Najlepiej będzie - stwierdził ostatecznie, a byli już wtedy na brzegu bagna - jeśli po prostu będę się pilnował.”

- Co z tobą, co się tak gapisz na tego zająca? - Jego rozmyślenia przerwał Ryszard.

- Bo on... on nas śledzi.

- Bzdura. W tym zającu jest tyle samo życia, co w tych drzewach.

- Równie dobrze to może być Inżynierek.

W odpowiedzi Ryszard się zaśmiał:

- Wyobrażasz sobie wirtualne programy do uprawiania seksu w mieszkaniu z rybkami w akwarium, które tak naprawdę są widzami?

- Teraz to ja jestem sobie w stanie wszystko wyobrazić.

- Lepiej dla nas będzie jak zaczekasz z tym do końca gry. Skoncentruj się, bo stracimy tu nie tylko życie, ale, co gorsza, pieniądze.

Widzisz ten samochód po drugiej stronie bagna? - szeptem zapytał prezes i wskazał jakiś ciemny punkt przed nimi.

- Widzę.

- Możemy w niego wsiąść i jechać tą drogą na lewo.

- Po co? - zdziwił się.

- Po to - odpowiedział Ryszard. - Żeby być przed Neonami.

- Gdzie?

- Nie wiem. Inżynierek na pewno coś przygotował, jakiś punkt obronny, jakiś dom. Kto pierwszy tam dotrze, ten będzie miał większe szanse.

Pomyślał, że jak na nową, nieznaną nikomu planszę Ryszard wie za dużo, ale ponieważ był z nim w jednej drużynie, nie przeszkadzało mu to za bardzo i powiedział:

- Proponuję więc sprawdzić, czy ten grat jest na chodzie.

Ryszard uśmiechnął się, a następnie zapytał:

- Więc na co czekasz?

W odpowiedzi wszedł do wody i poczuł jej zimno. Obejrzał się i zobaczył Nowaka wchodzącego za nim. Szli w stronę drugiego brzegu. W najgłębszym miejscu woda sięgała im do pasa. Starali się robić jak najmniej hałasu. Gdy wyszli, Ryszard powiedział, że bracia na pewno jeszcze nie dotarli do samochodu, skoro on tu jeszcze stoi, ale mogą też być gdzieś w pobliżu, więc trzeba być ostrożnym.

Zaproponował, że będzie go ubezpieczał zza kamienia po prawej stronie.

Miał inną koncepcję, ale szef ponaglał go gestami, więc nawet nie próbował jej przedstawić. A szkoda, bo gdy wyszedł zza krzaka, za którym siedział przyczajony, jego głowa została oświetlona silnym strumieniem światła z dwóch latarek. Szybko przekręcił się kilka razy w bok, a zrobił to w samą porę, bo zaraz potem usłyszał strzał.

„A to gnojki!” - krzyknął w myślach i szybko wstał, a potem ruszył biegiem w stronę

kamienia, za którym schował się jego partner.

Cały czas towarzyszył mu snop światła latarek i huk wystrzałów, więc skakał i kluczył jak zając. Gdy był tuż, tuż przy kamieniu, poczuł szarpnięcie prawego rękawa. Dotknął tam ręką, potem obejrzał. Zobaczył krew i poczuł ból.

- Pokaż - powiedział Ryszard. - To tylko draśnięcie. Nic ci nie będzie, ale dobrze by było dotrzeć do punktu opatrunkowego.

- To coś jak zbieranie zdrowia w grach komputerowych? - zapytał.

- Tak - zgodził się z nim prezes. - Inżynierek nie może się z tych stereotypów wyzwolić. Co robimy, co proponujesz?

- Według mnie w samochodzie są obydwaj, bo oświetlili mnie dwiema latarkami.

- Nie sadzę - nie zgodził się z nim Ryszard. - Mogło być tak, że dla zmylenia jeden drugiemu oddał swoją latarkę.

- Też prawda.

- Moim zdaniem - mówił Ryszard. - W samochodzie jest jeden.

Pojedzie teraz szukać miejsca, które Inżynierek przygotował jako twierdzę, a drugi ma za zadanie podejść nas od tyłu, gdy ją będziemy zdobywać, albo gdy będziemy w jej stronę iść.

- Nie ma wyjścia. Jak samochód z jednym z nich odjedzie, trzeba przeszukać teren i zlikwidować tego, co zostanie. Inaczej cały czas będziemy go mieli na karku.

- Nieźle kombinujesz - pochwalił go prezes. - Oczywiście pod jednym warunkiem: że samochodem odjedzie jeden. Jeśli obydwaj, stracimy sporo czasu, a oni w tym czasie lepiej przygotowują się do obrony. Ale chyba nie mamy wyjścia, jak założyć, że jeden odjedzie, a drugi zostanie.

Zaproponował:

- A może warto poszukać jakiejś super broni? Jeśli Inżynierek tak bardzo wzoruje się na tradycyjnych strzelankach, powinniśmy coś znaleźć.

Nie doczekał się odpowiedzi, bo samochód, z którego do niego strzelano, ruszył w tym momencie ostro, a gdy znikł za łukiem idącym w lewo, prezes powiedział szeptem:

- Rób to, co ja. - Po chwili obydwaj siedzieli w wodzie po pas.

Siedzieli tak z pięć minut, gdy ktoś zaczął się zbliżać; robił to bardzo ostrożnie. Ale nawet, gdy doszedł do najbliższego krzaka, nie można go było rozpoznać. Mógł się tylko domyślać, że to jeden z braci. Bo któżby inny? Nie było go widać na tyle dobrze, by go mogli rozpoznać, bo nie zapalił latarki, żeby nie zdradzić swojej obecności, ale wystarczająco, żeby go mogli zastrzelić.

I tak się stało. Kiedy szukał ich wzrokiem po okolicy, Ryszard strzelił, a zaraz po nim i on strzelił i to kilka razy. Tamten upadł na twarz nie okazując żadnych oznak życia. Ruszył szybko w jego stronę, ale Ryszard go powstrzymał mówiąc, że to może być zasadzka, że tamten może udawać, a w rzeczywistości być tylko ranny. Ruszyli więc w stronę leżącego bardzo ostrożnie i w każdej chwili gotowi zarówno do upadku, jak i do strzału. Kiedy byli już zupełnie blisko, zobaczyli w plecach tamtego trzy duże dziury.

- Choćby próg bólu miał ustawiony na maxa - powiedział wtedy Ryszard. - To jest już na tamtym świecie. Nie mógł tego przeżyć.

Zastanawiał się, czy zwłoki prawnika będą tu leżały, czy znikną w jakiś efektowny sposób, gdy Ryszard odwrócił je na plecy. Jego zdziwionym oczom ukazała się wtedy twarz Schwarzeneggera.

- On tak zawsze - wyjaśnił Ryszard. - Zapomniałem ci powiedzieć, sorry. Nie chce grać w swojej skórze, woli udawać któregoś z tych ekranowych twardzieli. Napatrzyłeś się już? To idziemy.

Wymarsz Ryszard nakazał w kierunku, w którym wcześniej odjechał samochód. Szli dość szybko leśną drogą, uważnie rozglądając się na boki i pilnując śladów samochodu. Wprawdzie przyszło mu w pewnym momencie do głowy, że Neon mógł zwolnić i wyskoczyć z jadącego samochodu, a wtedy miałby ich teraz jak na dłoni, ale stwierdził, że wówczas samochód zboczyłby z trasy, co zauważyliby z Ryszardem po śladach, więc ostatecznie nie podzielił się tą myślą ze swoim szefem. Tak samo nie podzielił się myślą, że twarz, którą każdego dnia ogląda w lustrze to być może nie jest jego twarz. Jak zatem wygląda w tym rzeczywistości prawdziwym życiu? Jest kawałkiem mózgu w jakimś szklanym słoju, zlepkiem układów scalonych, czy jeszcze czymś innym? Skoro ta gra tak bardzo przypomina życie, to może życie jest grą w jakimś innym świecie?

Gdy tak sobie rozmyślał, jego szef zauważył koło jednego z drzew rosnących przy drodze apteczkę. Wyglądała identycznie jak te z gier komputerowych, a w środku był bandaż, środki dezynfekujące i tabletki przeciwbólowe. Razem opatrzyli jego ranę, która okazała się bardzo powierzchowna i ruszyli dalej.

Po kilkudziesięciu krokach tym razem to on zauważył pod drzewem niedużą paczkę. W środku były dwa batony. Pośmieli się trochę z Inżynierka, jedząc te batony i cały czas idąc, a potem Ryszard powiedział:

- Ciekawe, czy są jakieś kody na latanie.

- Albo na zmartwychwstanie - dodał, śmiejąc się, bo nie wiedział, że wkrótce bardzo by się przydały Ryszardowi.

Ostatni odcinek drogi wiódł przez teren niemal pustynny. Wokół nie było żadnych drzew, żadnych krzewów, żadnych większych kamieni. Dopiero przed samym budynkiem, który Nowak nazwał twierdzą, znowu były elementy, za którymi można się było chować.

Kiedy wreszcie go zobaczyli, duży i murowany, z dwoma wejściami, zatrzymali się kilkadziesiąt metrów przed nim. Ryszard powiedział, że tu się rozdziela i zaatakują Neona z dwóch stron, przy czym on, Ryszard, robi to pierwszy. Zgodził się z nim, co już było tradycją, i pomyślał, że dotąd miał dużo szczęścia, ale ono zwykle nie trwa wiecznie i teraz pewnie to jemu przyjdzie pożegnać się z grą, bo przecież nie takim starym wygom jak prezes i bracia Neon.

Pomyślał o tym ze smutkiem. Musiał to przyznać przed samym sobą, że „polowanie” wciągnęło go bez reszty. Wdzięczny był szefowi, że go tu przywiózł pomimo tych wszystkich obaw, które miał na początku. Teraz jakby znikły, odeszły gdzieś i tylko chwilami coś go kłuło w serce i pytało: „A jeśli „polowanie” to zasadzka?”

Nie dane mu było odpowiedzieć na to pytanie, bo właśnie wtedy rozległy się strzały i z drzwi wyrzuciło Ryszarda. Dokładnie właśnie tak. Wbiegł tam i zaraz potem coś go stamtąd wyrzuciło.

„O kurwa” - pomyślał i zaczął strzelać na oślep w stronę drzwi.

Spanikowany strzelał tak długo, aż wystrzelał cały magazynek. Pomyślał, że przydałyby się kody na dodatkową amunicję, ale wcale go to nie rozśmieszyło.

Był w niewesołej sytuacji. Został sam i nie miał amunicji. Co teraz, poddać się? To niemożliwe, ta gra czegoś takiego nie przewiduje. Musi albo zginąć, albo zabić, albo uciec i przeczekać gdzieś w lesie do końca gry. Dać się zabić wcale mu się nie uśmiechało, zabić prawnika nie mógł, bo nie za bardzo miał czym, zostało więc uciec i schować się tak, żeby go Neon nie znalazł przed limitem czasu.

Tylko, że nawet to nie było łatwe. Wprawdzie w pobliżu budynku było sporo drzew i kamieni, ale potem aż do samego lasu była praktycznie pustynia. Nie miał jednak innego wyjścia jak zaryzykować, puścił się więc pędem od drzewa do drzewa, od kamienia do kamienia, mając nadzieję, że nim prawnik połapie się w sytuacji, on już będzie na tyle daleko, że cały i zdrowy dobiegnie do lasu, a tam to już jakoś sobie poradzi.

Pierwszy etap planu udał mu się znakomicie. Był naprawdę kawał drogi od budynku, w którym zostawił Neona i wciąż nie było za nim pogoni.

„To dzięki temu - pomyślał - że mam kondycję i odpowiedni próg bólu. Dobrze biegam w prawdziwym życiu to i tu sobie nieźle radzę. Całe szczęście, że się nie wystraszyłem i nie chciałem niskiego progu bólu. Wprawdzie ramię od postrzału by mnie teraz nie bolało, ale nie umiałbym też tak dobrze biegać.”

Krótko po tych myślach spostrzegł, że cieszył się przedwcześnie.

Neon najwyraźniej szybko przeczesał teren wokół budynku, a potem ruszył za nim w pościg samochodem. A z samochodem nie miał najmniejszych szans; aż tak szybko nie biegał. Schować też za bardzo nie miał się gdzie. Jedyne miejsce, jakie chociaż trochę się do tego nadawało to był nieduży kamień z rosnącym tuż obok krzakiem. Spojrzał na migające w dali światła samochodu, które robiły się coraz większe i zaczął łamać gałęzie, by się nimi dodatkowo zamaskować. Wtedy odkrył, że w krzakach leży broń. Trochę się dziwił, że nie zobaczył jej wcześniej, ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było, że pojawiła się w samą porę. A właściwie pojawił, bo był to miotacz ognia. Przez chwilę przyszło mu do głowy, że mógłby wypalić z niego do samochodu, gdy ten go będzie mijał, ale szybko odrzucił tę myśl. Zdecydował, że miotacza użyje w ostateczności. Pierwszeństwo ma plan z przeczekaniem aż skończy się limit czasu gry.

„W nosie z pieniędzmi - pomyślał. - Jest w domu w koszu na brudne ubrania torba pełna szmalu, tę dzisiejszą wygraną mogę sobie darować. Szeff też od tego nie zbiednieje. Inżynierek zarobi.

W sumie należy mu się, świetną zabawę przygotował. A co, mam spalić żywcem jakiegoś człowieka? Jakiego znowu człowieka? Przecież to nie jest prawdziwy człowiek. Ty zresztą też tutaj nie jesteś prawdziwym człowiekiem. Jeśli spalisz, to spalisz wirtualnego człowieka. Spalisz wyobrażenie człowieka, wrażenie. On naprawdę nie istnieje. Ale istnieje ten, którego będzie bolało. Ten istnieje naprawdę i poczuje ból, niezależnie od tego, czy źródłem będzie wirtualny ogień, czy prawdziwy. A Ryszarda nie bolało? A ciebie nie będzie bolało, jak cię Neon dopadnie i na początek przestrzeli ci jedno kolano, a potem drugie? Dlaczego miałyby to robić? Dla zabawy.

Przecież ci ludzie wszystko robią dla zabawy. A ci, co się ścigają nocą po Warszawie, po co to robią?”

Jakby tego było mało, kicał teraz w jego stronę zając. Zatrzymał się kilkanaście kroków przed nim i obserwował go zza drzewa. Pawłowi wydawało się, że macha do niego łapką, ale przecież zające nie machają łapkami do ludzi. Z drugiej strony to nie był normalny zając, więc mógł machać.

Na dalsze rozmyślenia Paweł nie miał czasu, bo właśnie nadjechał samochód. Neon,

jakby coś przeczuwając, zatrzymał go w pewnej odległości i, nie gasząc świateł, wysiadł. Z pistoletem gotowym do strzału szedł w stronę Pawła schowanego za kamieniem, a gdy był tak blisko, że za chwilę na pewno by go zobaczył, chłopak pomyślał, że jak zawsze rozwiązanie znalazło jego, a nie on je, i wyrzucił w stronę prawnika potężny strumień ognia. Ten natychmiast cały stanął w płomieniach. Paweł poczuł, jak go mdli. Neon palił się i krzyczał, a on walczył z odruchami wymiotnymi. „Niech cię diabli - myślał przy tym. - Nie mogłeś ustawić sobie mniejszego progu bólu? Zdechnij wreszcie ty wirtualny gnoju. Kurwa, spaliłem człowieka.” Wreszcie obraz przed jego oczami zaczął ciemnieć, a dźwięki wyciszać. Potem ktoś zdjął mu hełm i powiedział:

- Gratuluję, wygrałeś. A właściwie wygraliście, bo chociaż Ryszard wcześniej odpadł, to do końca byliście jedną drużyną.

Paweł popatrzył na Inżynierka, bo to on był, jak na kogoś obcego i nic nie powiedział.

Tamten podszedł do Neona i zapytał:

- Wszystko w porządku Łukasz, czy wołać lekarza?

- W porządku, zaraz dojdę do siebie - odpowiedział Łukasz, ale cały się trząsł.

- Przepraszam - powiedział Paweł. - Nie chciałem. Sam nie wiem, jak to się stało.

Chyba sytuacja mnie przerosła. Najnormalniej w świecie zapomniałem, że nawet, jakby mnie Mateusz zabił, to bym żył.

- Łukasz - poprawił go Inżynierek.

- W każdym razie...

- Daj spokój - uspokajał go Ryszard. - To tylko gra. Zobacz, że jest cały i zdrowy, nie ma nawet najmniejszego oparzenia.

- I nie zapominaj - wtrącił Inżynierek. - Że on zrobiłby to samo z tobą i to nie, gdyby musiał, ale gdyby miał okazję. Prawda, Łukasz?

Łukasz z pomocą brata zaczął się ubierać i cały czas milczał.

- Może jednak wezwać lekarza? - zaproponował Paweł, który w tym czasie był już prawie ubrany.

- Obejdzie się - odburknął spalony żywcem prawnik, a potem grzeczniej dodał: - Nie trzeba, zaraz mi przejdzie.

- W takim razie usiądźcie i odprężcie się przed odjazdem - zaprosił wszystkich na kanapy gospodarz imprezy.

Paweł usiadł obok Ryszarda, bracia na drugiej kanapie, też obok siebie. Pierwszy odezwał się Ryszard:

- No, no, nie spodziewałem się, gratuluję - zwrócił się do Pawła.

- Ja też. - Wyciągnąwszy rękę, do gratulacji przyłączył się Mateusz.

- I ja. - Listę z zamknął Łukasz, który jednocześnie przed Ryszardem położył większą paczkę pieniędzy, a przed Inżynierkiem znacznie mniejszą. To samo zrobił jego brat Mateusz i powiedział:

- Przeliczcie.

Inżynierek zaczął liczyć swoją należność. Prezes powiedział, że ma pełne zaufanie i nie musi liczyć i jedną z paczek braci przesunął w kierunku Pawła mówiąc:

- To twoja połowa wygranej. - Potem mówił już do wszystkich:

- Prawdę powiedziawszy miałem nadzieję, że Łukasz przejedzie obok Pawła, nie zauważając go. Zgarnąłbym wtedy większą sumkę, bo do końca gry zostało niewiele czasu.

Bracia Neon milczeli. Po ich minach widać było, że mają do kogoś jakieś skrywane pretensje, ale nie bardzo wiedzą, jak o nich powiedzieć. W końcu Mateusz powiedział:

- A ja mam nadzieję, że nie bawisz się w Boga.

- Nie rozumiem - odparł czerwieniejąc na twarzy Korkoran.

- Chodzi o to - tłumaczył brat Mateusza. - Że mamy nadzieję, że w czasie gry nie czynisz cudów.

Ryszard westchnął i zapytał:

- O co wam panowie chodzi? Konkretnie. Mam nadzieję, że nie zaczniecie znowu filozofować.

Bracia spojrzeli na niego i jeden z nich, Łukasz, udzielił mu odpowiedzi:

- Konkretnie proponujemy wprowadzenie do zabawy obserwatorów. Po jednym z każdej drużyny.

- Niezły pomysł - zauważył prezes. - Mogliby brać udział w zakładach. Poszedłbym jeszcze dalej. To mogłaby być jakaś większa grupa. Robiliby zakłady, a przy okazji obserwowaliby grę.

- Sprawa do przemyślenia - odparł Mateusz. - A teraz żegnamy panów.

- Chwileczkę - zatrzymał ich Korkoran, gdy wstali. - Oskarżacie mnie o coś? Nie lubię takich niedomówień.

- Nie - odpowiedział spokojnie Mateusz. - O nic konkretnego cię nie oskarżamy.

- To dobrze, bo musielibyście przedstawić dowody.

- Musielibyśmy? - uśmiechnął się Łukasz, a potem, najwyraźniej traktując swoje pytanie jako retoryczne, zwrócił się do prezesa

Nowaka: - Mam nadzieję, że jeszcze spotkamy się w tym samym składzie i że nie

będę musiał na to czekać zbyt długo.

- Masz moje słowo - rzucił Ryszard do braci idących w stronę wyjścia.

Zaraz potem, jak wyszli, Korkoran powiedział:

- Przepraszam was panowie, nie chcę nikogo wyganiać, ale teraz muszę coś załatwić. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pożegnaj was. Oczywiście zapraszam, kiedy trochę odpoczniecie, bracia Neon są niesamowicie spragnieni zemsty.

Ryszard i Paweł nie mieli nic przeciwko temu, żeby wynieść się z mieszkania Inżynierka, ale Paweł miał na koniec prośbę:

- Przepraszam, szefie, czy pan Korkoran mógłby nam pstryknąć fotkę na tle tego sprzętu? Rozumie szef, to dla mojej dziewczyny.

Szef rozumiał i wkrótce w pamięci aparatu Pawła zamieszkało jego zdjęcie z Ryszardem na tle pokoju gry.

Gdy wyszli z domu Inżynierka, Paweł po chwili wahania powiedział:

- To niesamowite, jakie to wszystko tam było realistyczne.

- Robi wrażenie, co? - Ryszard bardziej stwierdził niż zapytał.

- Nie tylko - odparł na to Paweł. - Gdy tak tam biegaliśmy i strzelaliśmy...

- A także paliliśmy ludzi żywcem - wszedł mu w słowo Ryszard.

- Musi mi to szef przypominać?

- Przepraszam, mów dalej.

- No więc, gdy tak tam biegaliśmy i strzelaliśmy, pomyślałem, że nasze życie jest być może taką grą, tylko o tym nie wiemy.

- Nie gniewaj się, ale to dość banalna uwaga. Widziałeś „Matrix”?

Pawłowi zrobiło się głupio. Chciał opatentować tyle odkrywczych myśli, a tu okazało się, że to otwarte drzwi.

- Fakt - powiedział więc tylko, a zaraz potem weszli do samochodu i ruszyli w stronę miasta.

* * *

Wjeżdżali na szosę prowadzącą do miasta, gdy Ryszard Nowak powiedział:

- Chcę cię o coś prosić, Pawle.

Paweł wyczuł w jego głosie wyjątkową powagę i coś na kształt zawstydzenia. Podobało mu się to, co wyczuł.

- Wal śmiało, szefie.

- Chciałbym, żebyś strzelił do mojej żony. Z pistoletu, jest w schowku. Zgadza się, w tym, na który teraz patrzysz.

To dziwne, ale ta wiadomość nie zdziwiła go ani nie oburzyła.

- Po co? - zapytał tylko.

- Chcę jej dać nauczkę.

- Za mnie?

- Zgadza się.

- Nic z tego. Przykro mi, ale nic z tego. Obiecałem jej, że jej nie zdradzę. Przykro mi.

Ryszard nie był z tej odpowiedzi zadowolony.

- A wiesz chociaż o co tu chodzi? - zapytał po chwili.

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wolę, żeby wszystko zostało tak, jak jest.

- Chodzi o zakład - mimo to wyjaśniał Ryszard. - Założyłem się z Jolą o ciebie. Ona twierdziła, że owinie sobie ciebie wokół małego paluszka, a ja uważałem, że będziesz trzymał ze mną.

- No to myliliście się oboje - odpowiedział wściekły Paweł. - Trzymam z sobą.

- W porządku. Rozmowy nie było. Wiem, co czujesz.

Pomimo późnej pory ruch na szosie był całkiem spory, a im bliżej byli centrum, tym większy. Zbliżali się do niego nieuchronnie i Paweł poczuł, że ma coraz mniej czasu na decyzję i zaraz może być za późno. Na co? Tego tak naprawdę nie wiedział.

- O co jest ten zakład? - zapytał.

- O jaguara.

- Chodzi o samochód?

- Albo o kota. Joli jest wszystko jedno.

- Ile kosztuje taki jaguar?

- Dużo więcej niż wygraliśmy dzisiaj od prawników. Mnie na pieniądzach nie zależy, jedynie na honorze.

Paweł bez przekonania powiedział:

- Mnie to nie interesuje.

- Rozumiem, że nie płacę ci mało, ale sądziłem, że masz większe aspiracje.

- Że niby te pieniądze mogłyby być moje? - zdziwił się.

- Czy nie są warte tego, o co cię proszę?

Musiał przyznać, że prawidłowa odpowiedź brzmiała: „tak”.

- Jak to miałyby się odbyć? - zapytał, a potem dodał: - Nie, żeby się zgadzałem, pytam z ciekawości.

- Jutro rano, a właściwie to już dzisiaj, będę leżał ze swoją małżonką w łóżku w jej sypialni. Ty wejdiesz o dziewiątej plus minus 10 minut i powiesz, że cię zawiodła i strzelisz do niej. Będzie huk i ona dowie się, że przegrała zakład. To wszystko.

- Nie wystarczy, że będę tylko do niej mierzył? - Paweł zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie. Musisz strzelić. Nabój będziesz miał tylko jeden. Teraz załadujemy dwa, żebyś strzelając we mnie mógł się przekonać, że to faktycznie ślepaki, a potem zostanie ci jeden. Ma narobić huk, chcę zobaczyć minę mojej żony, gdy do niej wymierzysz, a potem strzelisz. Musisz strzelić, bo inaczej ona nie uzna mojej wygranej.

I będzie miała rację, ja też bym nie uznał.

- A co się stanie, jeśli nie trafię?

- Zgłupiałeś? - zaśmiał się Nowak. - Przecież to pistolet z nabojami hukowymi.

Ponieważ Paweł milczał, Ryszard zapytał:

- Więc jak?

Chłopak pomyślał: „Chrzań się”, ale głośno, nie wiedząc czemu, powiedział:

- Nie wiem. Muszę to przemyśleć.

- Masz rację. Stawką jest miłość mojej żony.

- Do kogo? - zapytał Paweł, pomału zaczynając się w tym wszystkim gubić.

- Do ciebie, bo przecież nie do mnie. Mnie nie kocha już od dawna.

- A pan ją?

- Nie wiem. Chciałbym jej nie kochać, ale, jak mi Bóg miły, nie wiem.

- Pan myśli, że ona kocha mnie?

- Na to pytanie musisz sobie sam odpowiedzieć.

Paweł znał odpowiedź. Jeśli rzeczywiście był przedmiotem zakładu, to Jola nie kochała go ani trochę. Wszystko wyglądało teraz tak prosto i... parszywie. Poczł jak nienawiść w nim rośnie. Ryszard kupował go „polowaniem” i pieniędzmi. Jola seksem, czułyimi słówkami i tanimi minami. Boże, jaki był głupi i naiwny! Jak dziecko. Powinien ich teraz znienawidzić. Znienawidzić i wziąć zapłatę za zrobienie go w konia. Wtedy będą kwita.

- A co będzie, jeśli strzelę do pana? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Prezes westchnął, zaśmiał się sztucznie i powiedział:

- Pamiętaj braci Neon? Przyjdą do ciebie po forszę i przekażą ci pozdrowienia ode mnie. A wierz mi, że mają takich przyjaciół, przed którymi nie zdołasz się schować.

- Czyli wdepnąłem w niezłe gównno?

- To zależy tylko od ciebie, czym okaże się to, w co wdepnąłeś.

- Zamierza mi pan zapłacić z góry?

- Tak. To znaczy teraz dostałbyś zaliczkę, moją część z wygranej, a po robocie resztę.

Ale jeśli zrobisz coś nie tak, prawnicy przywiozą cię do Inżynierka i sobie na ciebie zapolują. Nie muszę ci chyba mówić, z jakiej broni będą do ciebie strzelać? Wygrałeś nią dzisiaj od nich kupę pieniędzy, więc powinna ci się podobać. Chociaż...

Łukasz miał kiedyś taki pomysł, żebyśmy w grze byli zwierzętami.

On chciał być tygrysem, jego brat miał być niedźwiedziem. Tobie pewnie przypadłaby rola zająca.

Paweł nie patrzył na Ryszarda. Patrzył, jak drzewa migają za oknem samochodu. Na dobrą sprawę mogłyby nie istnieć, tak mało ważne były teraz dla niego. Sprawiały wrażenie plastikowych, sztucznych. Jego szef też miał dziwną twarz; zupełnie, jakby mu sparaliżowało część mięśni odpowiedzialnych za mimikę. On sam też był zresztą jakoś dziwnie sztuczny. Wiedział, że istnieje, ale nie był pewien, czy powinien swoje istnienie utożsamiać na przykład z tą ręką, która teraz bawi się pistoletem wyjętym przez niego ze schowka. Pomyślał, że to będzie cud, jak nie zwariuje, a potem usłyszał jak ten nowy, obcy Paweł, mówi:

- Więc ustalmy warunki konkretnie i ostatecznie. Płatne z góry?

- Tak.

- To poproszę te dwa naboje.

- Musimy zjechać w boczną drogę, tutaj jest za duży ruch.

Gdy po kilku minutach wjeżdżali na teren jakiegoś opuszczonego zakładu, Paweł pomyślał, że byłaby to dobra plansza do „polowania”. Ryszard zaparkował za jakimś dużym budynkiem i wysiadł z samochodu. Paweł zrobił to samo, chociaż miał lekkiego pietra.

Rozejrzał się po okolicy oświetlonej niemal jedynie przez księżyc i gwiazdy i zapytał:

- Skąd szef wie, że nikogo tu nie ma?

- Bo to moje. Kupiłem to. - Zatoczył krąg ręką. - Niedawno. Będziesz umiał załadować?

- Prawdę mówiąc - zaczął Paweł. - ...nie za bardzo.

Ryszard zaczął wkładać naboje do magazynka, a Paweł pomyślał:

„Teraz mnie tu zastrzeli. Ale należy mi się, dałem się podejść jak idiota.” Głośno zaś rzekł:

- Chwileczkę. Pozwoli szef, że ja będę podawał naboje?

Prezes westchnął i oddał mu je.

Bawił się nimi chwilę, a potem podał swojemu szefowi, jakby je losował, najpierw jeden, a potem drugi. Ten je kolejno załadował i, podając Pawłowi broń, powiedział:

- Gotowe.

To jakaś farsa, pomyślał Paweł. Albo sen. Może się uszczypnąć?

Nie, to nic nie da, próbował godzinę temu - zabolalo, a przecież był w grze. Zresztą: czy to nie wszystko jedno? Nawet jeśli to prawdziwe naboje, najwyżej wyprawi kogoś w daleką podróż, to wszystko.

Zdejmie mu skafander, nic więcej.

- Czemu nie strzelasz? - zapytał Ryszard. - Nie bój się.

I Paweł strzelił. Prócz huku nie stało się nic. A mimo to upuścił pistolet, skoczył za samochód i zaczął wymiotować, myśląc, że już chyba nic innego nie będzie robić do końca życia. Nie mógł widzieć, że Ryszard w tym czasie podmienił broń.

* * *

„Yesterday” - lubiła tę piosenkę. Dlaczego obudziła się w środku nocy? W nocy muzyka brzmi zupełnie inaczej. No tak, ale przecież nie po to się obudziła, żeby słuchać muzyki. A po co? Po nic. Obudziła się i już. Więc dlaczego? A kto to wie? „Śpij, głupia; on na pewno robi to, co mówił. Akurat. Nie wierzysz mu? To dlatego, że sama nie jesteś czysta.”

Katarzyna miała wyrzuty sumienia, ale były schowane pod dużą warstwą podejrzeń. Bo niby dlaczego miałyby wierzyć Pawłowi, że pojechał na jakieś dziwne „polowanie na ludzi”? Wprawdzie ma jej potem wszystko opowiedzieć, a nawet pokazać zdjęcia, ale kto jej zapewni, że przez ten czas, kiedy ona tu leży i daremnie próbuje zasnąć, on nie wymyśla jakiejś zgrabnej historyjki i nie obrabia zdjęcia Photoshopem?

Miała i inne powody, by tak myśleć. Chodziło rzecz jasna o seks.

Nie dawała mu w łóżku tego, czego od niej oczekiwał i teraz poszedł po to do obcej. Gdyby była inna, gdyby w domu dawała mu to, czego tak potrzebował, wtedy miałyby prawo zamordować go za każde spojrzenie na obcą kobietę. Ginąłby wtedy kilkanaście razy dziennie. Może powinna mu wybaczyć? Głupia jest. Nawet nie wie, czy jest co wybaczać, a poza tym nigdy w życiu mu nie wybaczy, jest na to za wredna. A może go nie kocha? Gdyby go nie kochała, wybaczyłaby mu. Gdyby go nie kochała, byłoby jej wszystko jedno. Powinna się zdecydować. Samo niech się zdecyduje. Czy ktoś majstruje przy drzwiach, czy tak jej się

tylko wydaje?

Nie wydawało jej się, rzeczywiście ktoś majstrował przy drzwiach (wyglądało to na otwieranie zamka), a potem wszedł. Miała ochotę zapytać, czy to Paweł, ale wtedy wydałoby się, że nie śpi, a tego nie chciała. Bała się więc, bo tak do końca nie była pewna, czy to Paweł i starała się być jak najciszej. Nie było to trudne, bo przecież leżała w łóżku, a mimo to miała wrażenie, że bicie jej serca słyszą u sąsiadów.

- Śpisz? - usłyszała szept Pawła, który - tak jej się zdawało - dochodził z drugiego końca pokoju.

Nie zamierzała mu odpowiadać.

- Katarzyna, śpisz?

„Uparciuch. Zdrajcauparciuch” - pomyślała.

- Katarzyna.

„Nie ma mowy”.

Pomimo zamkniętych oczu zobaczyła światło. Domyśliła się, że włączył nocną lampkę. Przez chwilę myślała, żeby otworzyć oczy i zobaczyć, co robi, ale ostatecznie uznała to za zbyt ryzykowne.

Mógł w tej chwili obserwować, czy obudziło ją światło. Leżała więc dalej z zamkniętymi oczami i nasłuchiwała. Po chwili usłyszała jak się oddala. Ostrożnie otworzyła oczy. Stał tyłem do niej i coś chował do szafki. Nie była pewna, ale miała wrażenie, że to coś chciał przed nią ukryć. Przez chwilę pomyślała, że to mogą być majtki jego kochanki, ale było to tak głupie, że aż się zdenerwowała na samą siebie. Potem jej wzrok powędrował ku czemuś, co leżało na stole, a czego z pewnością nie było tam, gdy kładła się spać. Była to papierowa torba. Musiała być bardzo ważna, skoro Paweł zabrał ją z sobą do łazienki.

Co też on tam schował?, zastanawiała się, patrząc na drzwi szafki, przy której przed chwilą stał Paweł. A ta torba? Musi pilnować, żeby z nią nie wyszedł. I to coś w szafce - tego też musi pilnować. A może to aparat fotograficzny? Nie, ten leży na stole. Może wstać i sprawdzić teraz? Nie, on zaraz wróci, nie zdążyłaby.

Istotnie Paweł zaraz wrócił, zgasił lampkę i położył się do łóżka.

Wrócił bez torby, czyli musiał zostawić ją w łazience.

- Kochanie, śpisz? - usłyszała tuż przy swoim lewym uchu jego szept. Nie był to szept podniecający - przynajmniej nie ją - ale podniecony był na pewno.

„Zapomnij - pomyślała. - Nie myśl sobie. Myślisz, że po tym, co zrobiłeś, wystarczy wziąć prysznic?”

- Kasiu, śpisz? Nie śpij, już jestem.

Warknęła groźnie i odsunęła się od niego.

- Katarzyna. - Nie dawał za wygraną. - To ja, Paweł.

Odsunęła się jeszcze bardziej.

Chwilę leżał w bezruchu, a w końcu poddał się i wrócił na swoją połowę łóżka.

Boże, jaka jest niesprawiedliwa... Przecież on może być zupełnie niewinny. Jest zazdrosna. Dlaczego wcześniej o nic go nie podejrzewała? Bo sama nie była w porządku. Może nawet chciała, żeby ją zdradzał, żeby mieć czyste sumienie. Wszystko jest możliwe; dokładnie wszystko. W każdym razie jak tylko zaśnie, sprawdzi, co jest w szafce. I w torbie. Pewnie wepchnął ją pod wannę. Teraz w nocy?

Nie, musiałyby palić światło, obudziłby się; sprawdzi rano, kiedy jeszcze będzie spał, a już będzie na tyle jasno, że nie będzie musiała zapalać światła.

- Witaj, kochanie - powiedziała do jego zaspanych oczu, gdy je wreszcie otworzył. Z początku były małe, ale im dłużej na nią patrzył, tym większe się robiły i tym więcej było w nich zdziwienia, a nawet strachu.

„To pewnie dlatego, że celuję do niego z pistoletu” - pomyślała i zaśmiała się głośno.

- Skąd to masz? - zapytał.

- Cóż za zbieg okoliczności - odpowiedziała. - Właśnie o to samo miałam zapytać ciebie.

Usiadł na łóżku i ziewając powiedział:

- To prezent od szefa. Pamiątka z „polowania”. Proszę cię, odłóż to tam, gdzie było. I na drugi raz nie grzeb w moich rzeczach.

- Ani pod wanną? - zapytała i zanim zdążył odpowiedzieć zadała następne pytanie: - A co by się stało, gdybym teraz do ciebie strzeliła?

- Nic. Prawie nic.

- Oprócz tego, że zrobię ci dziurkę w głowie?

- Nic oprócz hałasu i oprócz tego, że nie będę mógł wykonać polecenia szefa.

- A jakież to polecenie? - zapytała, przesadnie się dziwiąc, cały czas trzymając go na muszce.

- To tajemnica.

- Masz kogoś zabić, tak?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i zapytał:

- Skąd ci coś takiego przyszło do głowy?

- Nie wiem. Może cię wynajął? Przecież istnieją tak zwani płatni mordercy, prawda?

Podejrzewam, że nie tylko w tandetnych filmach.

- Istnieją, ale dlaczego pomyślałaś, że ja mógłbym być kimś takim?

- Dlaczego pomyślałam, że mógłbyś być bohaterem tandetnego filmu? Ależ ja nie to pomyślałam.

- Nie drażnij się ze mną; to naprawdę nie jest odpowiedni moment. Dobrze wiesz, co miałem na myśli.

- Nie ruszaj się, bo strzelę. Wtedy albo cię zabiję...

- Albo szef zabije mnie - dokończył za nią.

- Surowego masz szefa.

- Owszem.

- Opowiedz mi, co robiłeś w nocy?

- Polowałem na dwóch prawników, jednego spaliłem żywcem, okropne doświadczenie.

Przeładowała pistolet i powiedziała:

- Jasne, każdy od czasu do czasu poluje na prawników i jednego pali żywcem.

Westchnął i spojrzał na nią zrezygnowanym wzrokiem, a potem powiedział:

- Mam zdjęcie, chcesz zobaczyć? Robione cyfrówką, nawet nie trzeba wywoływać.

- Skąd masz tyle pieniędzy?

Poczerwieniał na twarzy i zapytał:

- Skąd wiesz? Nie spałaś, gdy wróciłem? Udawałaś?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- To ja zadaję pytania.

- Nie muszę na nie odpowiadać.

- Na pewno?

Nie wyglądał na wystraszonego. Był tylko zły; nawet nie zdenerwowany. Taką minę miał zawsze, gdy straszyla go, że obetnie sobie włosy. Brała nożyczki, przykładala je do swoich długich włosów i mówiła:

- A teraz zniszczymy ulubioną zabawkę Pawła. Robił wtedy taką samą minę, jak teraz.

- Jeśli strzelisz - mówił spokojnie, jakby tłumaczył dziecku, że bawi się nieodpowiednią zabawką. - Narobisz tylko huku. Zlecą się sąsiedzi, ktoś zawiadomi policję, a ja stracę kupę forsy. Tam jest tylko jeden nabój, straszak, nabój hukowy, i jeśli go nie będzie...

Niepotrzebnie czekała, aż dokończy zdanie. Błyskawicznie złapał ją za rękę i zaczął

odbierać jej pistolet. Wiedziała, że jest silniejszy i że nie ma z nim szans, mimo to postanowiła walczyć do końca.

Szarpnęła się raz, drugi i... rozległ się huk.

Gdy otworzyła oczy, które przy wystrzale zamknęła odruchowo, zobaczyła, że Paweł wygląda, jakby uszła z niego cała krew. Twarz miał bladą i cały był sztywny, a włosy na czubku głowy nagle mu posiwiały. Zdziwiło ją to i dotknęła ich. Na dłoni został biały ślad.

Spojrzała ku górze, tam, gdzie strzeliła i zobaczyła dziurę w suficie.

Paweł podążył za jej wzrokiem i wycharczał:

- O kurwa; to sukinsyn.

Rzuciła pistolet i zaczęła się trząść. Patrzyła na niego z niedowierzaniem i mówiła:

- Oszukałeś mnie. Czy wiesz, co by było, gdybym... Och, Paweł! - Wybuchnęła nagle płaczem i rzuciła mu się w ramiona.

On przytulił ją i powiedział:

- Spokojnie, już dobrze, ciii... Wybacz mi, nie wiedziałem... Musisz mi uwierzyć, proszę... Przecież nie leżałbym tak spokojnie, gdy we mnie celowałaś, gdybym wiedział, że to prawdziwa kula. Wierzysz mi? Musisz mi wierzyć.

Nic nie mówiła. Płakała tylko i nic nie mówiła. Nie wiedziała nawet, czy mu wierzy.

- Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Jak to wszystko się skończy, opowiem ci, jak do tego doszło. Powiedz coś, proszę.

- Paweł? - zapytała. - W co ty się wpakowałeś?

- Nie wiem - odpowiedział. - Naprawdę nie wiem, ale muszę to doprowadzić do końca. - Po czym wstał i szybko się ubrał, następnie wybiegł z mieszkania nim przyjechała policja. Nawet nie zamknął za sobą drzwi na klucz.

* * *

Komisarz Kotowski z Komendy Rejonowej nie był zachwycony poleceniem wyjazdu do jakiegoś bloku na Pradze Południe, w którym ktoś słyszał strzał. Zaplanował sobie na dzisiaj z aspirantem

Majewskim zupełnie co innego. Miał nadzieję na udaną operację schwytania na gorącym uczynku handlarza narkotyków, który najwyraźniej nie wiedział jeszcze, że komórka jednego z jego odbiorców wpadła w ręce policji i, niczego nie podejrzewając, zadzwonił

wczoraj pod przechwycony numer i umówił się na spotkanie. Chociaż do spotkania było jeszcze pięć godzin, komisarz był zły, że zawracają mu głowę jakimś hukiem! Jeśli to się okaże petarda, spadnięty garnek, strzał w filmie, który ktoś za głośno oglądał, albo coś równie idiotycznego, to powiesi dyżurnego na sznurku od jego własnych gaci. A jeśli jego gacie nie mają sznurka, to powiesi go na swoim sznurku, bo jego gacie mają sznurek! Zrobi to razem z Majewskim.

Mieszkanie wskazała im ta sama kobieta, która zawiadomiła policję o strzale. Kotowski zadzwonił do drzwi i czekał. Przez wybrzmiewający gong usłyszeli zapłakane „proszę”. Kiwnął na Majewskiego, żeby otworzył drzwi. Były otwarte, więc od razu weszli.

Sam poszedł prosto do pokoju, a aspiranta wysłał do kuchni. Na niepościelonym łóżku siedziała młoda, ładna i zapłakana dziewczyna. Wyjął odznakę i powiedział:

- Dzień dobry, komisarz Kotowski z Komendy Rejonowej. Mieliśmy zgłoszenie, że w tym mieszkaniu ktoś strzelał.

- To ja strzelałam - odpowiedziała dziewczyna i wskazała głową sufit. Komisarz podążył wzrokiem we wskazanym kierunku, po czym nieproszony usiadł w fotelu i powiedział: - Proszę opowiedzieć wszystko po kolei.

- Po kolei? - odpowiedziała. - To chyba musiałabym zacząć od tego, jak Paweł dostał nową pracę.

- No to może nie po kolei. Dlaczego pani strzelała i gdzie jest pistolet?

- Do nikogo nie strzelałam. Szamotałam się ze swoim chłopakiem i pistolet wypalił. Miał mieć ślepe naboje, a tu, o, jaka dziura.

- Gdzie jest broń?

- Mój chłopak ją zabrał ze sobą.

- Ten Paweł, o którym pani wspomniała na początku, to pani chłopak?

- Tak.

- A pani jak ma na imię?

- Katarzyna.

- Dokąd poszedł?

- Nie wiem. Powiedział, że musi doprowadzić sprawę do końca i gdzieś poszedł.

Kotowski wstał, podszedł do Katarzyny, nachylił się nad nią i bardzo poważnie, spokojnie, niemal prosząco powiedział:

- Proszę nam powiedzieć, gdzie poszedł. To bardzo ważne. Niech pani zrozumie, że poszedł z bronią i prawdopodobnie po to, żeby kogoś zastrzelić.

Dziewczyna zasłoniła się kołdrą i wystraszona prawie łkała:

- Ale ja naprawdę nie wiem, gdzie poszedł. Może do tego faceta, z którym był na polowaniu.

- Na jakim polowaniu?

- Na prawników.

- Słucham?

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak mi powiedział, że idzie na polowanie na prawników. Ale nie na takie zwykłe polowanie, tylko wirtualne.

- Z kim tam był? Nazwisko i adres, szybko do cholery!

- Nie mam pojęcia, mówiłam już panu! Może w aparacie jest jego zdjęcie, Paweł miał się z nim sfotografować, żebym mu uwierzyła, że nie poszedł na dziwki.

- Gdzie ten aparat?

- To pewnie ten. - Przyszedł z pomocą komisarzowi Majewski, podając mu aparat cyfrowy leżący na stole. Kotowski zaczął oglądać zdjęcia. Większość przedstawiała Katarzynę, kilka chłopaka, którego już gdzieś widział. Na jednym ten chłopak stał z jakimś starszym mężczyzną obok terenówki Mercedesa.

- Kto to jest? - zapytał, pokazując zdjęcie dziewczynie.

- O Boże - wyszeptała. - To Ryszard.

- Jaki Ryszard? Szybko.

- Nie wiem - odpowiedziała dopiero po chwili, najwyraźniej pochłonięta jakimiś myślami. - Wiem tylko, że jest bogaty i ma na imię Ryszard. Prezes czegoś tam, nawet nie wiem, czego.

- Skąd go znasz?

- Czy to ważne? Znam.

Kotowski już miał się wydrzeć na dziewczynę, gdy Majewski, wskazując na trzymaną w ręce papierową torbę, powiedział:

- Niech pan popatrzy na to.

Komisarz wstał z łóżka, na którego brzegu siedział, i podszedł do policjanta. Zajrzał do torby i zobaczył pieniądze. Zagwizdał z podziwu i zwrócił się do dziewczyny:

- Zgadnę, jeśli powiem, że nie wiesz, co to za pieniądze?

- Zgadnie pan - odpowiedziała obrażonym tonem. - Nie wiem.

Przyniósł je w nocy Paweł. - A potem cała przykryła się kołdrą.

Kotowski dopiero teraz dokładniej rozejrzał się po mieszkaniu.

Jego uwagę zwróciły kolumny głośnikowe, wzmacniacz, odtwarzacz CD i stojak z

płytami. Wyjął pierwszą z brzegu, miała tytuł „Jo'e Garage” i była autorstwa niejakiego Zappy. Jego uwagę zwrócił tytuł „Why Does It Hurt When I Pee?”. Uśmiechnął się, powiedział:

- Fajny tytuł. - I przeczytał, tłumacząc na polski: - „Dlaczego mnie boli kiedy sikam?”

- Może posłuchamy? - zaproponował aspirant.

- Nie ma czasu - odpowiedział Kotowski i odłożył płytę. Potem wrócił do dziewczyny, znowu usiadł na krawędzi łóżka, następnie po raz wtóry pokazał jej zdjęcie z jej chłopakiem i Ryszardem, jak nazwała starszego mężczyznę, i poprosił, żeby sobie przypomniała, co o nim wie, bo to bardzo ważne. Dziewczyna milczała, a on wpatrywał się w zdjęcie i zastanawiał się skąd zna chłopaka. W końcu sobie przypomniał.

- Przecież to jeden z poszukiwanych! - powiedział głośno i wstał. Podeszedł od razu do Majewskiego i wskazał na chłopaka na wyświetlaczu cyfrowki.

- Zaraz porównamy - powiedział ten i zaczął coś wpisywać w swoją komórkę. Po chwili pokazał aspirantowi zdjęcie poszukiwanego Piotra Barucha zamieszczone na stronie Komendy Stołecznej Policji.

- To ten. To na pewno ten.

- O czym pan mówi? - zainteresowała się dziewczyna, która chwilę wcześniej zdjęła z głowy kołdrę.

Kotowski wziął z rąk Majewskiego komórkę i podeszedł do dziewczyny. Pokazał jej zdjęcie Pawła Barucha i zapytał:

- Kto to jest?

Dziewczyna spojrzała na zdjęcie i odpowiedziała:

- To Paweł, mój chłopak. Skąd pan ma to zdjęcie?

Kotowski chwilę milczał, a potem, wstając z łóżka, powiedział:

- Nie, proszę pani, to Piotr, Piotr Baruch. Chyba, że Piotr Baruch i Paweł, pani chłopak, to ta sama osoba. Wygląda na to, że pani chłopak prowadzi podwójne życie. A może nawet potrójne. Czy pani wie, że pani chłopak jest poszukiwany przez policję? Ale wróćmy do naszego tajemniczego Ryszarda, bo prawdopodobnie grozi mu niebezpieczeństwo ze strony pani chłopaka. Więc nie powie nam pani, kto to jest i gdzie mieszka? To naprawdę bardzo ważne.

- Nie powiem, bo nie wiem. O co chodzi z tym poszukiwaniem?

To jakaś pomyłka. I kto to jest Piotr Baruch?

Policjanci milczeli, a Katarzyna patrzyła wystraszonym wzrokiem to na jednego, to na drugiego.

- Szeffie, może byśmy spróbowali tą moją nową komórką? - W pewnym momencie zaproponował nieśmiało aspirant Majewski.

Komisarz Kotowski spojrział na niego nieprzyjawnym wzrokiem i warknął:

- Już raz próbowałeś. - Dobrze pamiętał, jak Majewski, chcąc zaprezentować możliwości swojej nowej komórki, zrobił mu zdjęcie i powiedział, że teraz wyszukiwarka znajdzie go w Internecie na podstawie zdjęcia. Wśród wielu wyników nie było ani jednego zdjęcia Kotowskiego, za to na pierwszym miejscu był... owczarek niemiecki. Na Komendzie opowiadają to sobie do dziś.

- Szeffie, ale to jest inna sytuacja. Jeżeli ten prezes to jakaś znana figura, to pewnie są w Internecie jego zdjęcia.

Komisarz chwilę się wahał, w końcu pomyślał, że nie ma nic do stracenia i, podając zdjęcie aspirantowi, powiedział:

- Macie okazję się zrehabilitować, ty i twój gadżet. - Majewski wykadrował Ryszarda Nowaka i zrobił mu zdjęcie swoją komórką, która potem przesłała je do Internetu, żeby znaleźć w nim wszystko to, co je przypominało. Wkrótce Kotowski głośno przeczytał jeden z wyników: „Ryszard Nowak, prezes firmy „NowakBud”, a potem pokazał zdjęcie wciąż siedzącej na łóżku Katarzynie i zapytał:

- Czy to ten?

Ta, robiąc wielkie oczy, odpowiedziała:

- Tak. - A potem dodała znacznie głośniejszym głosem: - W co wpakował się mój chłopak?!

- Też chcielibyśmy to wiedzieć - odparł komisarz, a potem zwrócił się do Majewskiego: - Pamiętasz, kto poszukuje tego Barucha?

Ten odpowiedział, że zaraz się dowie i zaczął wybierać jakiś numer. Po chwili poprosił kogoś o sprawdzenie, jaka Komenda poszukuje Piotra Barucha, którego zdjęcie jest na stronie Stołecznej.

Dziewczyna była coraz bardziej wystraszona, więc Kotowski postanowił to wykorzystać.

- Pani posłucha. Jeśli nie chce pani, żeby pani chłopak narobił sobie jeszcze większych kłopotów, to niech nam pani powie wszystko, co pani wie o tym cholernym prezesie Ryszardzie.

- Ale ja naprawdę nic więcej nie wiem. Jest bardzo bogaty i jest prezesem, nie wiem, czego. To wszystko, co wiem, naprawdę.

- Dzięki - powiedział wtedy Majewski do komórki, a potem zwrócił się do Kotowskiego: - Komenda w Łomiankach.

- Co Komenda w Łomiankach? - zapytała dziewczyna.

- Poszukuje pani chłopaka - odpowiedział jej komisarz, a Majewskiemu polecił, żeby tam zadzwonił i powiedział, że mają ich zgubę. Zaraz jednak się rozmyślił, bo przecież tak naprawdę to wciąż jej szukają.

- Czy prezes Ryszard mieszka albo pracuje w Łomiankach? - znowu zwrócił się do dziewczyny.

- Nie mam pojęcia.

- Nie powinno być problemu ze znalezieniem jego adresu - zauważył Majewski, jednocześnie wstukując w wyszukiwarkę dane prezesa. - Namiary na takiego gościa powinny być w sieci.

I istotnie, po chwili znali zarówno adres firmy Ryszarda Nowaka, jak i jego adres domowy

- To wieś niedaleko Wołomina - powiedział komisarz, zobaczywszy domowy adres prezesa na wyświetlaczu komórki. - Trzeba powiadomić tamtejszą komendę, że być może tam zmierza w tej chwili ich zguba. My też tam pojedziemy.

- Mogę jechać z wami? - zapytała dziewczyna, patrząc błagalnie w oczy Kotowskiego.
- Bardzo proszę. Ja muszę jechać.

- No, dobra. Tylko proszę się szybko ubrać. My w tym czasie zadzwonimy do Wołomina. Mają bliżej, więc powinni być tam przed nami. Dzwoń do nich Majewski, dzwoń!

Aspirant Majewski nie tylko zadzwonił do Wołomina, ale też podzielił się z komisarzem Kotowskim uwagą, że być może prezes Ryszard jest kochankiem dziewczyny, a jej chłopak dowiedział się o tym i pojechał go zabić. Komisarz Kotowski przyznał, że to bardzo prawdopodobne. A potem zaproponował Majewskiemu, żeby wreszcie przeszli na ty, co ten przyjął z wdzięcznością wyrażoną uśmiechem.

* * *

Gdyby Ryszard Nowak wiedział o ostatnich zdarzeniach w mieszkaniu Katarzyny i Pawła, na pewno nie byłby w tym momencie w tak dobrym nastroju. Ale nie wiedział, więc zadowolony z przebiegu sytuacji zadzwonił do Inżynierka i powiedział mu, że człowiek, którego dał mu na przechowanie prawdopodobnie nie będzie mu do niczego potrzebny. Inżynierek, robiąc sobie zimny okład na głowie i popatrując z trwogą na spuchnięty

wskazujący palec odpowiedział, że to dobrze, bo ten skurwiel uciekł.

- Jak to uciekł?

- Jakimś cudem się oswobodził, a potem na mnie napadł.

- Mam nadzieję, że nic mu o mnie nie powiedziałaś? - z groźbą w głosie zapytał Ryszard.

- No skąd - skłamał Inżynierek.

* * *

Zastanawiał się, czy Jola wiedziała o wszystkim. Jeśli tak, myślał, to oni są chorzy. Po prostu chorzy. Jaki był głupi! Jak mógł im ufać?!

Nie mniej niż na małżeństwo Nowaków, Paweł był zły na siebie.

Zdawał sobie sprawę z tego, że dał się przekupić i nie chodziło tu wyłącznie o pieniądze. Życie, jakie poznał dzięki Joli i Ryszardowi, spodobało mu się, jak podobały mu się niektóre filmy. Tylko, że to nie był film i trzeba było za wszystko płacić najtwardszą walutą na świecie - własnym losem.

Jechał teraz taksówką do rezydencji Nowaków i chociaż wiedział, co będzie tam robił krok po kroku, to nie był przez to spokojniejszy nic a nic. A przecież zadanie miał o tyle ułatwione, że wszystko było z góry przygotowane przez Ryszarda, a częściowo także i przez Jolę.

Najbardziej jednak martwiła go Katarzyna. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, zostawiając ją samą w domu.

A może powinien dać sobie z tym spokój? Może powinien wziąć forszę, napisać do Nowaków list i zwać z Kasią na drugi koniec świata? Nie, Ryszard znalazłby ich, zanim zdążylibyśmy kupić bilety na samolot. Musi to rozegrać inaczej. Ale jak?

Zastanawiał się właśnie nad tym, patrząc przez okno taksówki, którą jechał, gdy zobaczył jakiegoś mężczyznę grzebiącego w śmietniku i mówiącego coś do drugiego mężczyzny, tak samo nędznie odzianego, brudnego i popijającego coś prosto z butelki, na oko jakieś tanie wino. Paweł oczywiście nie słyszał, co mężczyzna mówi, nie czuł też jak ów śmierdzi, a jedynie widział, jak wyciąga z kosza magnetofon. Był to moment, w którym ów mężczyzna wpłynął na losy prezesa Nowaka, o czym żaden z nich nigdy się nie dowiedział.

Zaraz potem Paweł zatrzymał taksówkę i wysiadł z niej, a kierowcy kazał zaczekać.

Gdy wrócił, kazał się zawieźć pod adres, który podał wcześniej, czyli do rezydencji Nowaków mieszczącej się w jednej z podwarszawskich wsi.

Z dostaniem się na teren rezydencji, a także z wejściem do domu, a potem na piętro, do sypialni Jolanty Nowak, gdzie ona i Ryszard już na niego czekali, jak zwykle nie miał najmniejszych problemów.

Leżeli w jednym łóżku - Jola z piersiami na wierzchu, w ogóle nie skrupowana i tylko trochę niespokojna, jakby za chwilę miało się odbyć losowanie w grze, w której brała udział, Ryszard przejęty niczym ojciec panny młodej na ślubie.

Paweł spojrzął na kobietę i powiedział teatralnym głosem:

- Więc to tak mnie kochasz? Mówiłaś, że z nim nie sypiasz.

Na twarzy Joli pojawił się strach. Z początku był mały, ale gdy

Paweł wyjął pistolet i wymierzył w nią, zaczął zamieniać się w coś naprawdę dużego. Pawłowi chciało się śmiać, powstrzymał się jednak i spojrzął na Ryszarda. Ten ni to siedział ni to leżał na łóżku obok Joli, a na jego twarzy malowała się radość wymieszana z pewnością siebie, a także... wzruszeniem?

- Nie wygląda pan na zmartwionego - zauważył Paweł i lufę pistoletu skierował w jego stronę. - Raczej na wzruszonego. Chociaż nie jestem pewien, czy to właściwe określenie. Przypomniało mi się

- kontynuował z przesadnie skupioną miną. - Że coś obiecałem pana żonie.

Jola uśmiechnęła się do niego i dumnie wypięła pierś do przodu.

On spojrzął na nią i powiedział:

- Nie jestem tylko pewien, co powinno być ważniejsze - obietnica dana kobiecie wiarolomnej i zepsutej, czy wierność pracodawcy.

- Kończ już tę zabawę - głośno powiedział Ryszard.

- Dlaczego sam pan jej nie skończy? - zapytał. - Niech pan wstanie i zabierze mi pistolet. A, boi się pan. Ale czego? Że strzelę?

Ślepaków się pan boi? Zwykłych naboju hukowych?

Ryszard patrzył na Pawła z nienawiścią, zdziwieniem i niedowierzaniem.

- Może się dogadamy? - zaproponował.

- Może. Co proponuje pana żona?

- Ja nie wiem, o co chodzi - wydukała Jola.

- Czyżby? - zaśmiał się Paweł. - O zakładzie też pani nic nie wie?

Kobieta zaczerwieniła się i zakryła piersi kołdrą.

- Jeszcze by kto pomyślał, że jest pani wstydliva. - Paweł zaczynał bawić się coraz lepiej. - Powinna pani grać w teatrze. Role komediowe, oczywiście. A może tragiczne? Sam już nie wiem, co do pani bardziej pasuje. Bawiliście się mną jak dzieckiem. Walczyliście o moją duszę, ale to nie była walka dobra ze złem. To była walka zła ze złem.

- Nie ma dobra ani zła - przerwał mu Ryszard. - Jest tylko skuteczność.

Paweł zapytał:

- Skuteczność, w czym?

- W osiągnięciu celu, oczywiście - odpowiedziała za Ryszarda jego żona.

- A cel oczywiście nie może być dobry albo zły - kpił Paweł.

Ryszard odchrząknął i powiedział:

- Cel zawsze jest ten sam: żeby nam było fajnie.

- No to macie pecha - uśmiechnął się Paweł i kontynuował: - Bo, żeby mi się zrobiło fajnie, to ja teraz muszę któreś z was zastrzelić. Tylko, które? Co powiecie na małą wylizankę? Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, w tego - bum.

Wypadło na Ryszarda. Mężczyzna zbladł i niemal krzyknął:

- Nie zrobisz tego!

- Tak dużo znaczy dla pana przegrany zakład? - zdziwił się Paweł przesadnie. - Bo w końcu tylko o to chodzi, prawda?

- Przestań się wydurniać.

- Pani Nowak. - Paweł skierował lufę w jej stronę, bo to ona przed chwilą się odezwała. - Czy wiedziała pani o zakładzie?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jeśli tak jest w istocie, to nic się nie stanie, jeśli...

- Dobrze. - Kobieta nie wytrzymała. - Powiem wszystko, co wiem.

- Słuchamy.

- Podejrzewam, że mój mąż chce mnie zabić.

- Pytanie pierwsze - powiedział Paweł tonem, który wskazywał na to, że wiedział, co powie kobieta. - Dlaczego? Pytanie drugie - od kiedy? Dlaczego tak pani myśli i od kiedy?

Ryszard spojrzał na swoją żonę i rzekł:

- Nie doceniałem cię.

- Ani ja ciebie - odpowiedziała mu, a potem znowu zwróciła się do Pawła: - Zaczęłam coś podejrzewać, odkąd zwolnił Grzegorza.

Po spotkaniu z nim... Pewności stuprocentowej nie miałam, ale brałam to pod uwagę.

- Liczyłaś na to, że twój kochanek zastrzeli mnie. - W głosie Ryszarda było

niedowierzenie. - Dlatego tak chętnie zgodziłaś się na zakład? Ryzykowałaś więc życiem myśląc, że cię pokochał?

- Gdyby mąż nie planował morderstwa. - Paweł zwrócił się do

Jolanty Nowak. - Wygrałaby pani jaguara, a gdyby planował, zabiłbym go. Wszystko zależało od tego, jakie będzie miał naboje pistolet, który da mi pani mąż. Wiedziała pani o tym, a mimo to...

Przerwał, bo ktoś nagle otworzył drzwi. Nawet nie zdążył się odwrócić. Metalowa rurka, którą dostał w głowę od Roberta była bardzo ciężka, a Robert nie był słabeuszem, więc nic dziwnego, że nie usłyszał, jak ten powiedział:

- Obiecałem ci, że się jeszcze kiedyś spotkamy. - Nie usłyszał też jak Ryszard powiedział do detektywa Krokusa, który wpadł do pokoju zaraz za Robertem Lewińskim: - Co tak późno? No dalej, na co czekasz?

* * *

Źle skrojony płaszcz komisarza Filipskiego robił przykrość oczom prezesa Nowaka, czym jednak inspektor Filipski nie przejmował się wcale. Zdjął swój anachroniczny kapelusz z łysej głowy i położył go na stoliku przy łóżku, a gdy rozpiął marynarkę, ukazała się równie anachroniczna kamizelka, którą pod nią nosił. Wyglądał na człowieka, który lubi dobrze zjeść i wypić, więc chociaż sypialnia

Jolanty Nowak nie należała do najmniejszych, to zajmował w niej sporo miejsca. Trzeba przyznać, że z całego towarzystwa on najbardziej pasował do wystroju wnętrza. Stał i patrzył milcząco na młodego mężczyznę leżącego na podłodze. Odezwał się dopiero po chwili, a zrobił to uprzednio sprawdzwszy puls na szyi mężczyzny, wytarłszy chusteczką lekko przykurzone buty i zaciągnąwszy się łapczywie papierosem.

- Pamiętam kogoś podobnego - mówił ni to do siebie, ni to do ludzi w pokoju. - Chciał wiedzieć, czy szukam guza, gdy zapytałem, dlaczego rozrabia w moim mieście. Nie wiem, po co o to zapytał, skoro od razu zdzielił mnie w brzuch pięścią wielką jak bochen chleba, potem poprawił kolanem twardym jak serce komornika, a zakończył splunięciem na moje nic nie czujące ciało. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem nad sobą kobietę. Przez chwilę pomyślałem, że jestem w niebie - taka była piękna - ale gdy zgasła papierosa na moim policzku,

zrozumiałem, że tak nie jest. Powiedziałem, że miło mi ją poznać i spróbowałem wstać. Nogę miała ciężką. W całości wyglądała zwiewnie i delikatnie, ale nogę miała ciężką. No i ten obcas - stanowczo za cienki i za długi. Miałem wrażenie, że przeszyje mnie nim na wylot, potem wbije go w posadzkę i nie będzie mogła go stamtąd wyciągnąć. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie to, że ten cholerny obcas wchodził w moje ciało jak nóż w masło. Uwierzycie, że pół godziny później miałem powód, by pomyśleć, że jej usta są jak maliny? Różnica była tylko taka, że maliny jeszcze nigdy mnie nie ugryzły. Nie było to zbyt mocne ugryzienie, ale wystarczyło, żebym poczuł coś w ustach. Znałem ten smak doskonale - to była moja krew.

Jeżeli inspektor czekał na oklaski, to na próżno. W sypialni Jolanty Nowak panowała cisza. Milczeli zarówno trzej mężczyźni - w tym jeden w szlafroku - których tu zastał, jak i dwaj mundurowi oraz aspirant Jachozna, którzy tu z nim przyjechali, gdy powiadomiono Komendę, że poszukiwany przez nich Piotr Baruch prawdopodobnie zmierza do rezydencji prezesa Nowaka, prawdopodobnie w celu popełnienia morderstwa. Trudno powiedzieć, czy policjanci milczeli porażeni widokiem bollywoodzkiej sypialni, przemową swojego szefa, czy sytuacją.

- Zguba się znalazła, aspirancie Jachozna - dodał do swojej poprzedniej kwestii inspektor. - Mówiłem, że prędzej czy później, żywi albo martwi, ale zawsze się znajdują.

- Przepraszam bardzo - odezwał się wtedy prezes Nowak. - Może zechciałby pan inspektorze wysłuchać, co mam do powiedzenia?

Nazywam się Nowak, Ryszard Nowak, prezes Ryszard Nowak.

Chciałbym wraz z tu obecnymi Robertem Lewińskim i Markiem

Krokusem złożyć zeznania. Przypominam, że o zaistniałych zdarzeniach powiadomiliśmy telefonicznie policję, zanim panowie przyjechali.

Inspektor spojrzał wrogo na prezesa i powiedział:

- Wiem, że pan zadzwonił na Komendę. Poinformowano nas o tym, gdy byliśmy w drodze. Szkoda, że się spóźnił. Tak niewiele brakowało... A teraz niech pan słucha. Ja tutaj decyduję, kto mówi, a zdecydowałem, że pan teraz milczy. Rozumiemy się? Wszyscy milczą. Sprawdźcie dokumenty denata, Jachozna.

Jachozna sprawdził, ale zamiast dokumentów, z wewnętrznej kieszeni dżinsowej bluzy denata wyjął dyktafon.

- Wygląda na to, że nie będzie pan musiał nic nam opowiadać. - Z lekkim uśmiechem zwrócił się do Ryszarda Nowaka inspektor

Filipski. Nim skończył, Robert Lewiński odtrącił policjanta pilnującego drzwi i

wybiegł na korytarz od razu kierując się ku lewym schodom. Tam zobaczył biegnącego ku niemu Pana Kota, a za nim... Pawła? To niemożliwe, przecież go zabił. Nie miał czasu na roztrząsanie tego problemu, więc odwrócił się i pobiegł w stronę schodów po prawej. Tymczasem Pan Kot dogonił go i biegli tym samym torem - on, starając się nie nadepnąć na kota, a kot próbując uniknąć nadeptnięcia. I byłoby to nawet zabawne, gdyby nie to, że pośliznąwszy się na Panu Kocie, Robert spadł po schodach na sam dół niczym Meryl Streep w filmie „Ze śmiercią jej do twarzy”. Z tą jednakże różnicą, że ona potem wstała.

Pierwszy z pokoju wybiegł aspirant Jachozna i... stanął jak wryty.

Przed sobą miał nieboszczyka z sypialni, z której przed chwilą wybiegł. Zaraz za nim na korytarz wtoczył swoje duże ciało inspektor

Filipski. Wyszeptał tylko: „o, kurwa”.

Aspirant wycelował w chłopaka i krzyknął:

- Policja, nie ruszać się! - Potem cofnął się o krok i zajrzał przez ramię do pokoju.

Zwłoki leżały na swoim miejscu. - O, kurwa - wyszeptało echo, którym stał się jego głos.

- Nazwisko!

- Piotr Baruch - odpowiedział Baruch inspektorowi.

- Chodźcie ze mną. A wy, Jachozna, sprawdźcie, co z tym na dole - polecił podwładnemu i wszedł z powrotem do sypialni Jolanty

Nowak. Baruch, odprowadzany lufą pistoletu Jachozny, ruszył za nim. Gdy chłopak wszedł do środka, Jachozna zbiegł po schodach na dół, żeby stwierdzić, że Robert Lewiński nie żyje. Zadzwoił po odpowiednie służby, a potem szybko wrócił do sypialni. Tam młody brunet wciąż leżał martwy na podłodze, a przy łóżku, na którym leżała martwa kobieta, wciąż stał starszy mężczyzna w szlafroku.

W pokoju byli jeszcze inspektor i dwóch mundurowych. Zmieniło się tylko to, że nagą kobietę ktoś przykrył jakąś wzorzystą tkaniną, a do towarzystwa dołączył Piotr Baruch, który na swoją kopię leżącą na podłodze i na martwą kobietę leżącą na łóżku patrzył, jakby nic nie rozumiał.

* * *

Żołądek podszedł mu do gardła po tym, jak Marek wyrzucił odciętą rękę przez okno samochodu i zagroził mu przypalaniem kikuta papierosem. Ale już chwilę potem wrócił na

swoje miejsce, a strach zastąpiła nienawiść. Najpierw wyrznął Marka łokciem w bok, a potem, gdy ten się skulił, poprawił w ucho. Miał jednak za mało miejsca, by to wszystko zrobić porządnie, poza tym wciąż dysponował tylko jedną ręką, więc ostatecznie mężczyzna zdołał go unieruchomić, a wtedy Henryk, przez Marka nazywany doktorem, wstrzyknął mu jakieś świństwo, które rzuciło go w objęcia Morfeusza. Zanim zasnął, zobaczył, jak Marek poprawia sobie odklejającą się bródkę.

Morfeusz ze swych objęć wypuścił go dopiero w piwnicy jakiegoś domu, gdzie według jego obliczeń więziony był około tygodnia.

W tym czasie nikt z nim nie rozmawiał, a jedzenie przynoszono mu pod drzwiami korytarza, za którymi, jak się domyślał, były schody prowadzące na górę. Podejrzewał, że we wszystkich pomieszczeniach, do których miał dostęp, w tym w łazience, ukryto kamery, dzięki którym wiedziano, kiedy można bezpiecznie przynieść mu jedzenie i zostawić je za drzwiami bez obawy, że zobaczy, kto go więzi, albo spróbuje ucieczki. Za każdym razem, prócz jedzenia na wózku, były też książki. Początkowo je ignorował, ale któregoś dnia zaczął je drzeć w nadziei, że ktoś przyjdzie. Skończyło to się tak samo, jak zawsze, gdy robił coś zabronionego, na przykład, gdy zaczynał hałasować: usłyszał syczenie, a potem zasnął. Po tych zaśnięciach zawsze potem źle się czuł, więc w końcu nabrał przekonania, że jedyne, co może sensownego robić, to czekać grzecznie i cierpliwie, a czas czekania uprzyjemniać sobie tym, co miał do dyspozycji, czyli Trylogią Sienkiewicza, ćwiczeniami w siłowni i kiepską muzyką z odtwarzacza mp3, który dostał czwartego dnia, chyba za dobre sprawowanie. Nienawidził tego urządzenia. Obwinał je za całe zło, jakie jego zdaniem spadło na muzykę. To empetrójki spowodowały, że ludzie zaczęli słuchać muzyki z różnych brzęczków zamiast z porządnego sprzętu, w dodatku muzyki, którą kradli z Internetu. Mogli jej teraz słuchać wszędzie: w drodze do szkoły albo pracy, w samochodzie i na rowerze, a nawet, gdy dzwoniła ich komórka. Ale czy to było prawdziwe słuchanie muzyki? Nie. To być może skończyło się wraz z erą płyty winylowej, którą trzeba było najpierw kupić, potem delikatnie wyjąć z koperty, następnie równie delikatnie położyć na talerzu gramofonu, a wreszcie nie mniej delikatnie opuścić na nią ramię z igłą. To wszystko sprawiało, że czas słuchania muzyki musiał być czasem przeznaczonym właśnie na słuchanie muzyki, więc siłą rzeczy wtedy muzyki rzeczywiście się słuchało. Czy kupowanie i słuchanie kompaktów było zdradą własnych ideałów?

Częściowo tak, bo ta czynność nie wymagała takiego oddania się jej, jak to było w przypadku winyli. Z drugiej jednak strony, dlaczego miałby płacić dodatkowe pieniądze za dodatkowe szumy i trzaski?

A jednak żal mu było tych chwil, gdy słuchając muzyki oglądał okładki płyt winylowych. Małe kartoniki upchnięte w pudełko kompaktu zdecydowanie nie robiły takiego wrażenia, jak duże okładki winyli. Podobnie widoku kręcącego się czarnego krążka nie mogła zastąpić myśl, że w szufladzie odtwarzacza CD kręci się płyta.

W czasie okresu uwięzienia tylko jedna rzecz go ucieszyła. Już na drugi dzień zdecydował się odwinąć bandażę, a wtedy zobaczył swoją lewą rękę całą i zdrową. Chciał to zrobić zaraz po przebudzeniu, ale ciągle się bał, że sobie tym zaszkodzi tak, jak mu o tym w samochodzie opowiadał doktor. Teraz wstyd mu było przed samym sobą, że tak łatwo dał się nastraszyć.

Jedna rzecz go ucieszyła i jedna zastanawiała. Dlaczego obok jego łóżka jest jeszcze jedno? Tego nie dowiedział się do końca swojego uwięzienia, bo do końca pozostało puste.

Od kilku dni był grzecznym więźniem, więc zdziwił się, gdy usłyszał znajome syczenie, a zaraz potem poczuł senność. Obudził się na łące. Z początku myślał, że leży na tej łące, bo wskazywała na to perspektywa, z jakiej widział trawę i na dalszym planie las, ale okazało się, że tak nie było. On na tej łące stał. A właściwie kuczał. I miał zajęcze łapy. Niewiele więcej mógł zobaczyć, ale to, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie; miał szare, nieco wyleniące futerko. „O, ja pierdole!” - pomyślał, a zaraz potem coś spowodowało, że zaczął kicać i nie mógł przestać.

Coś albo ktoś dokicało go do niedużego stawu. Chociaż był już późny wieczór, w wodzie zobaczył odbicie zająca. Pomachał do niego łapką. Zając zrobił to samo. Pomyślał, że śpi i postanowił się uszczypnąć. Niestety, jego łapki na to nie pozwalały, musiał zadowolić się pacnięciem w pyszczek. Zabolalo. „Więc to tak” - pomyślał i zaraz potem sam siebie zapytał: „czyli jak?” Nie wiedział. Rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu odpowiedzi. Okolica była przyjemna.

Wokół, jak to na łące, rosły kwiatki i trawa, w stawie kumkały żaby, a kilkadziesiąt kroków dalej rósł las. Wszystko było lekko oświetlone światłem księżyca i wszystko miało w sobie jakąś bliżej nieokreśloną nienaturalność. Postanowił przejść się kawałek. Nie mógł.

Strach zaczął w nim narastać. Najwyraźniej był zdany na czyjąś łaskę i niełaskę. Ten ktoś mógł go na przykład wkicać do stawu i utopić albo dokicać pod pysk wilka i pozwolić, by wilk zjadł go żywcem.

Mógł z nim zrobić wszystko, a mimo to zadowolił się jedynie dokicaniem go w pobliże dużego kamienia. „Ludzki pan” - pomyślał

Piotr sarkastycznie, a potem zobaczył dwóch mężczyzn idących w jego kierunku. Gdy

podeszli bliżej, mógł im się przyjrzeć dokładniej. Jeden z nich miał jego twarz. Ale skoro on miał twarz zającą, to dlaczego ktoś inny nie miałby mieć jego twarzy, na przykład jakiś zając? O czym więc miałyby świadczyć to, że ten człowiek ma jego twarz? To kolejne pytanie, na które nie znał odpowiedzi. Przypomnił sobie wtedy, że chociaż nie może się poruszać, to może machać łapką i pomachał do tego, który miał jego twarz. Tamten jednak nie odmachął. Piotr pomyślał, że byłby idiotą, gdyby odmachał zającowi i uznał, że skoro nie odmachął, to idiotą nie jest.

Potem jeszcze raz go zobaczył, gdy palił żywcem człowieka o twarzy Sylwestra Stallone. W niezłym towarzystwie jestem, pomyślał wtedy, a potem wszystko zgasło, jakby ktoś wyłączył światło. To było gorsze od tego, co widział przed chwilą i gorsze od myśli, że zaraz może go na przykład zjeść wilk albo ktoś, na przykład człowiek o jego twarzy, może go usmażyć żywcem. Jeszcze nigdy tak się nie bał, nawet w samochodzie, gdy pokazano mu uciętą rękę z jego zegarkiem na nadgarstku. Ta myśl przypomniła mu o łapce. Ciężko oddychając sięgnął nią do twarzy i poczuł nie futerko, ale twarde plastik. Czuł także, że znowu ma palce. Obmacał plastik dokładniej i już się domyślał, co to jest: hełm. Zdjął go nie bez trudności i zaczął z półmroku wydobywać zarysy różnych mebli i przedmiotów.

Leżał na czymś w rodzaju łóżka, do którego był przypięty pasami.

Od dziwnego rękawa, w który ktoś mu ubrał prawą rękę, odchodziły kable. Prawdopodobnie podłączone były do szafy szumiącej pod ścianą, ale pewny tego nie był, bo wciąż leżał unieruchomiony na łóżku. Do tej samej szafy prawdopodobnie biegły też kable od hełmu. Inne kable zaprowadziły jego oczy od tej szafy do dużego monitora stojącego w rogu pokoju, na ekranie którego rozpoznał łękę, po której niedawno kicał. Dżojstik stojący obok monitora spowodował, że pomału zaczynał wszystkiego się domyślać. Chciał mieć pewność, a przede wszystkim chciał stąd uciec. Z pozycji, w jakiej był, nie mógł zobaczyć pasów, których trochę się domyślał, a trochę je wyczuwał rękoma, więc próbował je poodpinać na oślep. W końcu mu się udało. Trwało to dość długo i porządnie go wymęczyło, ale warto było. Wreszcie był znowu wolny i tym razem nie był w piwnicy.

„Gdzie jest ten sukinsyn?” - pomyślał o Marku i rozejrzał się za czymś ciężkim. Najcięższą rzeczą, jaką znalazł była Biblia w bardzo grubej okładce. Leżała na biurku obok dżojstika i monitora. Dziwne zestawienie, pomyślał, a potem zaczął się z nią za drzwiami. Na czas oczekiwania włączył sobie w głowie „And I Love Her”, ale nie w oryginale, lecz w wykonaniu, które najbardziej lubił, czyli The Ramsey Lewis Trio. Patrząc na Biblię trzymaną w dłoniach, przyszło mu do głowy, że powinien Bogu podziękować za umiejętność odsłuchiwania w głowie muzyki, ale pomyślał, że to trochę głupio, żeby niewierzący za coś

dziękował Bogu i zrezygnował z tego pomysłu. Nie miałby zresztą na to czasu, bo ktoś właśnie zbliżał się do drzwi. Podniósł Biblię, a jak tylko drzwi się otworzyły i do pokoju ktoś wszedł, uderzył go z całej siły w głowę. Ten osunął się na podłogę, tracąc przytomność. Piotr odwrócił go twarzą do góry i nie zobaczył tego, którego zobaczyć się spodziewał. Początkowo nieco się tym zmartwił, ale już po kilku sekundach pomyślał, że ten człowiek może mu pomóc - pewnie nie dobrowolnie - odnaleźć Marka.

Położył go na łóżku, na którym przed chwilą sam leżał, po czym przypiął go do niego tymi samymi pasami, z których niedawno się wyzwolił. Krótco po tym, jak skończył, jego więzień odzyskał przytomność.

- A teraz powiesz mi, o co tu chodzi - powiedział do niego, siadając na krawędzi łóżka.

- Prezes cię zabije - usłyszał w odpowiedzi.

- Jaki prezes?

- Odepnij mnie.

- A co, chciałbyś pomacać się po bolącym łbie?

- Rozepnij mnie!

- Nie wrzeszcz. Mam dla ciebie propozycję. Ja cię nie zrobię zającem, a ty mi powiesz co tu jest grane.

- Ja nic nie wiem, a ty nie masz pojęcia, jak zrobić ze mnie zająca.

Piotr westchnął, a potem powiedział:

- Masz rację, nie znam się na tym. Ale ty wiesz więcej niż twierdzisz i ja to z ciebie wycisnę. W taki czy inny sposób, ale to z ciebie wycisnę.

Początkowo przeszukiwał sąsiednie pomieszczenia ostrożnie, ale wkrótce zorientował się, że w domu nie ma nikogo więcej i nie musi się skradać w półmroku nocy, która chociaż była księżycowa, to do wnętrza domu wpuszczała niewiele światła. Jego szczególne zainteresowanie wzbudziło pomieszczenie z dziwnymi kulistymi wypukłościami w podłodze i komputerami, ale tam nie znalazł nic, co by mu się przydało. Inny pokój przypominał szatnię, z tą różnicą, że były tam dziwne skafandry i hełmy takie, jak nie dawno miał na swojej głowie. Sąsiedni pokój okazał się pokojem gościnnym, na co wskazywały kanapy, barek i inne sprzęty, które zwykle znajdują się w takim pomieszczeniu. Dopiero w warsztacie zobaczył rzeczy, które mogły mu się przydać. Wziął wiertarkę, młotek i obcęgi. Wychodząc, odwrócił się przed zgaszeniem światła i zobaczył coś jeszcze.

Była to łapka na szczury.

Na widok wiertarki jego więzień zaśmiał się:

- Już widzę, jak mi wiercisz dziurę w brzuchu.

Piotr nic nie powiedział, tylko wziął dłoń mężczyzny i mocno przytłukł mu młotkiem wskazujący palec. Mężczyzna krzyknął z bólu. Piotr nastawił łapkę i zapytał:

- Mam ci teraz przytrzasnąć tego palucha? To duża łapka, ma porządną sprężynę, na pewno zaboli. Może nawet złamie ci palec, skoro przetrąca szczurze karki.

Na czoło mężczyzny wystąpiły krople potu. Na pewno się bał, a mimo to powiedział:

- Pierdol się.

Piotr wsadził jego spuchnięty palec w łapkę i sprężyna wyzwoliła z siebie energię, która wydobyła z gardła mężczyzny przeraźliwy krzyk. Piotr spokojnie podłączył wiertarkę do prądu. Włączył ją i zapytał:

- Będziesz gadał, czy jednak mam ci wywiercić dziurę w brzuchu?

Mężczyzna podał adres prezesa Nowaka i powiedział, że to prezes kazał mu go tutaj przetrzymać kilka dni, a dostarczył go jakiś mężczyzna bez zęba na przedzie, którego widział pierwszy raz. Powiedział jeszcze, że z prezesem Nowakiem był tu jego sobowtór. Ta wiadomość bardzo Piotra zainteresowała, ale nawet zbliżenie kręcącego się z zawrotną prędkością wiertła do oka mężczyzny nie spowodowało, że dowiedział się czegoś więcej. Uznał, że ten nic więcej nie wie i zostawił go przywiązanego pasami do łóżka. Jak tylko wyszedł z pokoju, od razu pobiegł do łazienki i tam zwymiotował.

W końcu pierwszy raz w życiu torturował człowieka. Miał nadzieję, że ostatni.

Co wiedział teraz? Niewiele więcej. Tylko tyle, że kobieta, którą najprawdopodobniej miał zabić, leżała teraz martwa na łóżku trzy metry od niego, podobnie jak jego sobowtór. Domyślał się jeszcze, że starszy mężczyzna w szlafroku stojący obok łóżka, to prezes Nowak, który kazał go porwać, straszyć czyjąś ręką, a potem uwięzić.

Czego nadal nie wiedział? Tego, dlaczego kobieta miała zginąć, jak zginęła, kim był jego sobowtór i dlaczego zginął. Nie wiedział dlaczego ochrona wpuściła go na teren posesji, chociaż przybywał tu po raz pierwszy i nie wiedział, dlaczego kot na jego widok zaczął uciekać, jakby zobaczył swojego największego wroga. Więcej nie wiedział niż wiedział.

Te naprędce przeprowadzone rozmyślenia przerwał Baruchowi inspektor Filipski:

- No, to posłuchajmy, co się nagrało - powiedział, po czym cofnął nieco taśmę i włączył. Wszyscy usłyszeli głos Ryszarda:

- Jest jeszcze jedna sprawa, z którą trzeba będzie się uporać.

Drugi bliźniak nawiał. To będzie, Marek, zadanie dla ciebie. Z wiadomych powodów.

- Jaki bliźniak? - zapytał Robert.

- Szkoda, że mu tej łapy naprawdę nie upierdoliłem – mówił Marek, zignorowawszy pytanie Roberta.

- Nie ucieliście mu jej? - Ryszard najwyraźniej był zdziwiony i zły. - Przecież mieliście go tym zastraszyć. Miał dzięki temu zrozumieć, że jesteśmy zdolni do wszystkiego, jeśli nie będzie robił, co mu się każe. Spierdoliliście robotę. Całe, kurwa, szczęście, że nie był nam potrzebny. Kto ci wstawiał tego zęba Krokus? Nie najlepsza robota, dam ci adres swojego dentysty.

- To przez tego doktora, co mi go szef przysłał do pomocy - odpowiedział Marek, ignorując uwagę o zębie. - Kombinował, jakby tu tego nie zrobić, aż wykombinował. Jak usłyszał, że młodzian wynajmuje pokój u pracownika prosektorium, to wpadł na pomysł, żeby rękę upierdolić jakiemuś trupowi, a bliźniakowi wmówić, że to jego ręka.

- I on uwierzył? - zdziwił się Ryszard.

- Już doktorek się o to postarał. Ścisnął mu pięść bandażem lekko nasączonym krwią, żeby ręka wydała się chociaż trochę krótsza i jakimś specyfikiem mu ją unieruchomił. Jak pokazałem chłopakowi tę uciętą z jego zegarkiem na nadgarstku, to zbladł. Ostatecznie wyrzuciłem to łapsko przez okno samochodu, bo mnie wkurzył.

- Czy ja się wreszcie dowiem, o jakiego bliźniaka chodzi? - dociekał Robert.

- Teraz to i tak nieważne - odparł prezes Nowak. - A może nawet lepiej, że tak się stało, bo bliźniak nam niepotrzebny i można go odesłać do domu. Bez ręki byłby podejrzany. Mogliby po niej dojść do nas.

- A widzi szef? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- A po ręce trupa z prosektorium to już nie dojdą? – ironizował Robert.

Po chwili ciszy Ryszard Nowak zapytał:

- Niby jak? Niby jak mieliby w Warszawie po ręce jakiegoś anonimowego trupa z Gdańska dojść do nas?

- No właśnie - zgodził się z Nowakiem detektyw Krokus. - Musielibyśmy mieć cholernego pecha. Powiedziałbym nawet, że to musiałby być pierdolony pech, nie tylko cholerny. A pierdolone pechy zdarzają się tylko w filmach.

- Ty się tak nie ciesz, Krokus. Musisz się jeszcze wytłumaczyć ze swojego refleksu szachisty. Dlaczego tak późno weszliście, co? Przecież chłopak mógł do mnie strzelić. Nie po to kazałem wam warować pod drzwiami, żebyście mogli sobie posłuchać, jak do mnie strzela. Mieliście nasłuchiwać, a nie podsłuchiwać. Ale wy najwyraźniej nie rozumiecie tej subtelnej różnicy.

- Tak jakoś wyszło - nieporadnie tłumaczył się Robert. - Czekaliśmy na odpowiedni

moment.

- Niewiele brakowało i byście go przegapili. I dlatego na wszelki wypadek urabiałem chłopaka. A na wypadek, gdyby się okazało, że urobić się nie dał, wy mieliście być w pogotowiu.

- Ma prezes głowę na karku - przyznał detektyw. - Przezorny zawsze ubezpieczony.

Po tej kwestii Krokusa, inspektor Filipowski wyłączył dyktafon i powiedział do Jachozny:

- No to kilka spraw nam się wyjaśniło.

- Mnie też - cichutko, jakby do siebie, powiedział Piotr Baruch.

- Wygląda na to, że po raz drugi straciłem brata. Tym razem na amen.

Jachozna zaproponował:

- Mógłby inspektor cofnąć jeszcze dalej? - A potem zwrócił się do dwóch mundurowych, którzy tu z nimi przyjechali: - Wy skujcie wreszcie tych dwóch.

Mundurowi zaczęli wykonywać polecenie aspiranta, a Filipowski cofać taśmę. Po chwili wszyscy, także ci skuci kajdankami, usłyszeli najpierw kobiecy krzyk „Nie!”, a potem huk wystrzału. Zaraz po nim

Ryszard Nowak mówił:

- Teraz Krokus wytrzymaj pistolet i włóż go w dłoń chłopaka. Ty, Robert, dzwoń po policję. Ja zakładam szlafrok i czekam. Przypominam: usłyszeliście kłótnię, więc wbiegliście do pokoju. Młody strzelił do mojej żony i mierzył do mnie, więc Robert zdzielił go rurką w łeb, żeby zapobiec drugiemu morderstwu. Wszystko jasne?

Wszystko było na tyle jasne, że detektyw Krokus nie miał złudzeń co do swojej przyszłości. Nie mógł jednak nic zrobić, bo na rękach miał kajdanki, w drzwiach stało dwóch policjantów, a prócz tego w pokoju było jeszcze dwóch innych. Na ucieczkę nie miał szans.

Miał za to szansę na łaskawość wymiaru sprawiedliwości, w którym wciąż pracowali niektórzy z jego starych znajomych.

Ryszard Nowak, w przeciwieństwie do Krokusa, nie myślał ani o ucieczce, ani o ewentualnej łaskawości sądu. Patrzył ze smutkiem przez okno na piękny park i piękne wiosenne niebo i zastanawiał się, co teraz porabia jego Szeherazada. Cokolwiek robiła teraz i cokolwiek miała robić w przyszłości, to już nie z nim. Ta myśl tak go zasmuciła, że zapragnął stąd odlecieć. Wyobraził sobie jak odlatuje coraz wyżej i wyżej, aż dla tych na dole jest już tylko malutkim punkcikiem. A potem dał nurka w okno i, wybijając szyby swoim ciałem, wyleciał na zewnątrz. Nie wzbił się jednak ku niebu, jak to sobie uroił, lecz spadł na podjazd tuż przy samochodzie, który właśnie nadjechał, a w którym siedziała Katarzyna.

Żył, ale nie mógł się ruszyć, żeby przykryć nagość, którą odsłonił szlafrok rozwiązawszy się w czasie lotu. Pomyślał, że tak się kończy nurkowanie do basenu bez wody i zobaczył nad sobą twarz swojej Szeherezady.

- Po raz pierwszy to ty jesteś nagi w czasie naszego spotkania - powiedziała. - Ale wiesz, co? Nie czuję w tym żadnej magii. Żadnej.

To koniec naszej bajki.

Gdy kończyła, z budynku wybiegło dwóch nieznanym jej mężczyznom, w tym jeden łyśy, i ktoś jeszcze. Rozpoznała w nim swojego chłopaka Pawła.

Przez całą drogę modliła się, żeby nic mu się nie stało. I żeby nikogo nie zabił. A konkretnie Ryszarda albo jego żony. Bo jak tylko zobaczyła na zdjęciu Pawła z Ryszardem, od razu pomyślała, że Paweł jest tym kochankiem żony Ryszarda, o którym Ryszard powiedział jej jednego z ich magicznych wieczorów. Pomyślała tak dlatego, bo Paweł wcześniej wybiegł z mieszkania z pistoletem, a ona - żartem, ale jednak - podpowiedziała tamtego wieczoru Ryszardowi, żeby kochanka wystawić na próbę. Dobrze pamiętała, jaką próbę wymyśliła. Miała wrażenie, że to wszystko widać na jej twarzy, więc schowała się przed policjantami pod kołdrą. Im oczywiście nawet do głowy nie przyszło, jak naprawdę sprawy się mają, bo i niby dlaczego miałyby im przyjść? Ale ona знаła całą tę potworną prawdę.

Wszystko teraz tak pięknie, a zarazem tak wstrętnie układało się w sensowną całość. Jej chłopak najwyraźniej zgodził się na próbę, a któreś z małżonków postanowiło to wykorzystać do pozbycia się swojej drugiej połowy, prawdopodobnie Ryszard. Najgorsze, że miała w tym swój udział i to podwójny. Po pierwsze była powodem, dla którego Ryszard chciał zamordować żonę, a po drugie osobiście podpowiedziała mu, jak może to zrobić: rękoma kochanka żony, czyli rękoma Pawła. Była więc jednocześnie wściekła na swojego chłopaka, bała się o niego i miała wyrzuty sumienia.

Takie właśnie myśli i uczucia towarzyszyły Katarzynie przez całą drogę do domu Ryszarda, który w jego planach miał stać się jej domem. Domem, przed którym jej niedawny kochanek leżał teraz sparaliżowany, i domem, z którego wychodził Paweł. Żywy Paweł. Tylko, że w innym ubraniu niż to, w którym rano opuścił dom. A to według niej znaczyło, że spał ze swoją kochanką. Nie mogło być inaczej, skoro się rozebrał, a musiał się rozebrać, żeby założyć tę idiotyczną koszulkę z Zappą siedzącym na sedesie ze spodniami opuszczonymi do samych kostek, którą chciał kiedyś kupić, a ona mu nie pozwoliła. Skąd się

teraz na nim wzięła? Widocznie ta dziwka, żona Ryszarda, nie miała nic przeciwko temu, żeby chodził u niej w czymś takim.

Czerwieniejąc ze złości - miała nadzieję, że tylko od środka - spokojnie i z uśmiechem podchodziła do chłopaka. Miał dziwną minę. Patrzył na nią z zainteresowaniem. Coś jej w tej minie nie pasowało, ale kontynuowała plan. Gdy znalazła się w odpowiedniej odległości, z całej siły uderzyła go w twarz.

- I co się tak głupio dziwisz? - zapytała zaraz potem.

- Przepraszam - wydukał bezbrinnie chłopak. - Ale to chyba jakaś pomyłka.

Dziewczyna uderzyła go jeszcze raz i powiedziała:

- Jasne, że pomyłka. Pomyliłam się co do ciebie. A ty pewnie...

- Pani pozwoli, że jej coś wytłumaczę.

Spojrzała na inspektora Filipskiego, który jej przerwał i niezbyt uprzejmym tonem rzekła:

- No niech pan próbuje. Byle to się kupytrzymało.

- To nie jest Paweł, pani chłopak. To jest jego brat bliźniak, Piotr.

Katarzyna prychnęła drwiąco, ale zaraz potem zaniemówiła. Gdy odzyskała mowę, powiedziała:

- Niech mnie ktoś uszczypnie, to jakaś farsa. Zresztą Paweł nie ma brata, w dodatku bliźniaka, wiedziałabym coś o tym.

- On sam o tym nie wiedział.

Po tych słowach inspektor Filipski ruszył do samochodu, a Jachozna podążył za nim. Mundurowi prowadzili do drugiego samochodu skutego kajdankami detektywa Krokusa, zaś prezes Nowak wydawał z siebie dźwięki przypominające jednocześnie płacz i śmiech. Zwróciło to uwagę Jachozny.

- Czy ktoś już zadzwonił po pogotowie? - rzucił w stronę pozostałych policjantów. Majewski podniósł do góry palec na znak, że on.

- W takim razie, gdzie jest Paweł? - zapytała dziewczyna, ale nikt nie śmiał jej odpowiedzieć. Miny policjantów sprawiły, że biegiem ruszyła w kierunku drzwi wejściowych spodziewając się najgorszego. Komisarz Kotowski zatrzymał ją w momencie, gdy przed domem zatrzymały się trzy samochody. Z karetki pogotowia wysiedli sanitariusze z noszami i podbiegli do Ryszarda, z vana ubrani po cywilnemu mężczyźni z walizkami i aparatami fotograficznymi, a z drugiej karetki także sanitariusze z noszami. Ci ostatni nie zatrzymali się jednak przy prezesie Nowaku, ale podobnie jak mężczyźni z walizkami, weszli do domu. Już nie musiała pytać, gdzie jest Paweł. Wiele razy widziała w telewizji ekipy przyjeżdżające na

miejsce zbrodni.

KONIEC